

WYBOR POWIESCI
J. I. KRASZEWSKIEGO

(WYDANIE TANIĘ)

Serya II.

T. 5.

DZIECI WIEKU

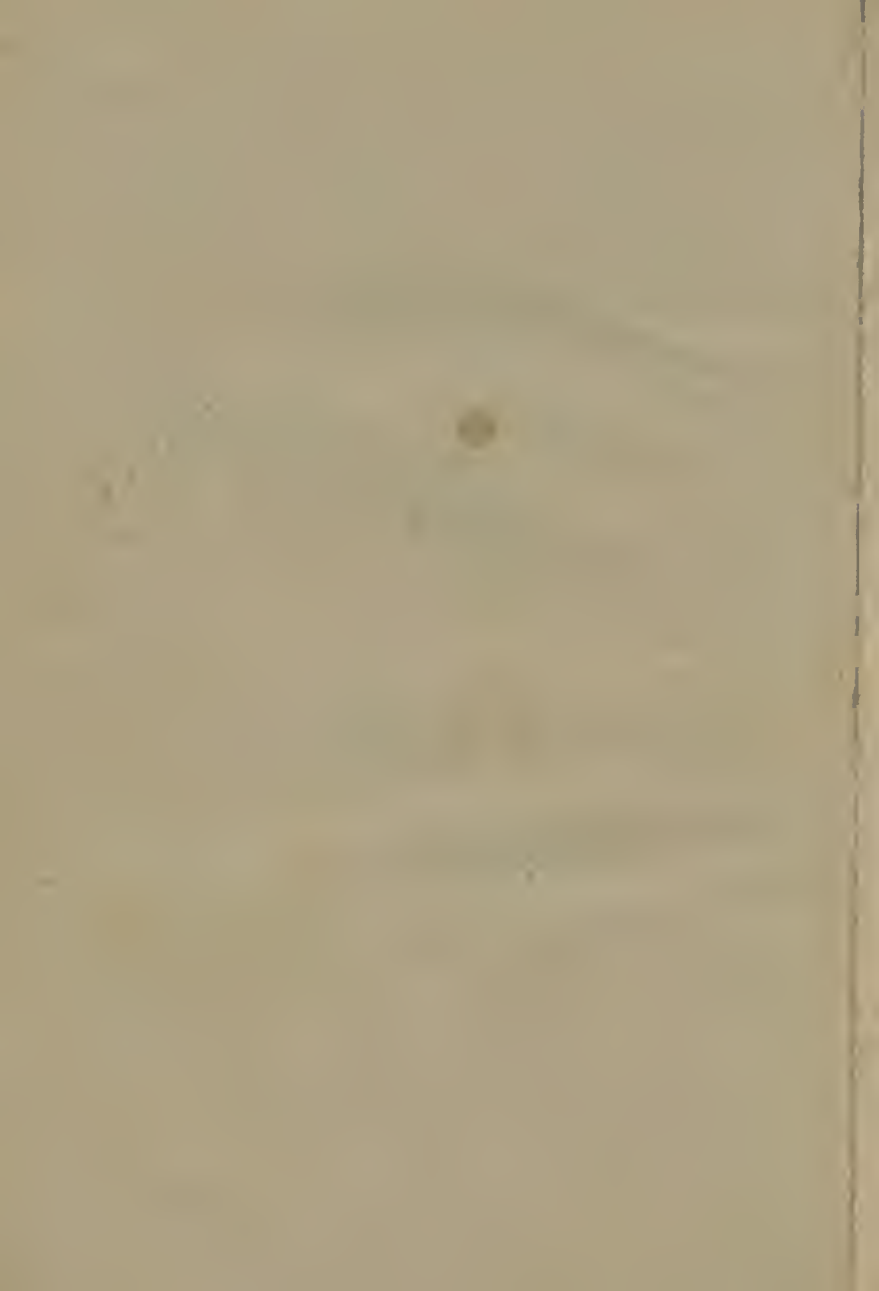
POWIEŚĆ

Tom II.

WARSZAWA

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA

1883.



WYBÓR POWIEŚCI

J. I. KRASZEWSKIEGO

(WYDANIE TANIE).

SERYA II.

Tom piąty.

DZIECI WIEKU.

POWIEŚĆ

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

TOM II.



WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

—
1883.

Nov. 23

1914

1914



1914

1914

ROZDZIAŁ I.

Roger Skalski napróżno w pocztowej gospodzie szukał barona Helmolda; nie było go tam, chociaż niewyjechał dotąd z miasta. Służący nieumieli powiedzieć gdzie się podział. wiadomo było, iż tu żadnych nie miał stosunków. zrazu więc pan Roger przypuścił, iż może się z nim rozminął w drodze i pośpieszył do domu. w nadziei, że go tam zastanie. Ale i tu go nie było, wielce zaintrygowany tem młodzieniec, trochę nawet tajemniczością tego kroku. pobytem. wszystkim podrażniony, mimo wstępu jaki miał do miejsc publicznych w miasteczku. zaszedł do cukierni Gorconiego, aby tu zasiadłszy w oknie na powrót znikłego barona czatować.

Cukiernia Gorconiego w tym samym rynku położona. nieopodal od restauracyi pani Pauze. samą naturą rzeczy była w antagonizmie i walce z sąsiadką.

Gorconi dawał kawę. herbatę. poncz. przekąski. mięsne nawet, co szkodziło restauracyi. szylł jego bardzo ozdobny często znęcał podróżnych. Gorconi się zdobył na bilard nawet.

Pani Pauze utrzymywała, że to jest truciciel, szalbierz. i że w jego domu dzieją się rzeczy, o któ-

rych pocziwa gęba mówić nie może, nawzajem arystokratyczniejszy Gorconi śmiejąc się mawiał, że u pani Panze sama gawiedź i bajbardzo się zbiera.

Na wysmianie nieco kulawego jej bilardu brakło wyrażen sąsiadowi, który się chlubił nowym, doskonałym i ustawionym wedle wymagań czasu i prawideł sztuki. O kawie, czekoladzie i ponczu restauracyi Gorconi nawet mówić nie chciał, w jednym wyrazie zamykał swój sąd o nich — pomyje.

Nie dziw, że pani Panze, której donoszono potwarze, jakich się Szwajcar dopuszczał, na te pomyje odpowiadała jednym też wyrazem — trucizna.

Odnawiano sobie sługi, w miasteczku podzielono się na partye Gorconistów i Panzistów — ale do wojny innej prócz na języki, nie przyszło.

Można sobie wystawić, jak przyjemnie być musiało Gorconiemu, gdy ujrzał arystokratycznego młodzieńca, wchodzącego o białym dniu do jego zakładu — owego Skalskiego, który nigdzie bywać nie raczył. Nie dziw też, iż sam Gorconi rękę przykładając do białego beretu, przypadł do dostojnego gościa, że chłopcy wszyscy zbiegli się z pokoiów, i że cała cukiernia stanęła na nślugi jegomości.

Roger padł na krzesło przy stolicku u okna, ruchem ręki majestatycznym odprawił służbę, wziął gazetę i cicho szepnął, dając znak Gorconiemu, aby mu podał kieliszek biszofu.

Że ów biszof był spreparowany starannie, za to można zaręczyć, ale gdy na tacce udającej srebrną, z serwetką w ręku sam Gorconi przyniósł go i postawił, pewien swojego tryumfu — doznał, pewnie przykrego uczucia — gdyż nie rychło do ust raczył go ponieść pan Roger. Oczy miał wprawdzie utkwione w gazetę, ale nie czytał, myśl jego błąkała się w przypuszczeniach, a wzrok ukradkowo pilnował rynku.

Przechodziło pojęcie co się z baronem stać mogło? Najprzód, po co do Turowa jeździł? powtórnie, z czem z niego powrócił? nakoniec, gdzie i za czem uganiał się po miasteczku? Interesa pieniężnego nie-

podobna było przypuszczać. młodość barona, powierzchowność jego. pewne wieści z Warszawy jeszcze. ka-zały się domyślać. iż miał serce i rękę do zbycia! Szło więc o hrabianki! Jakiegoż środka dla zbliżenia się do nich chciał żyć? — To najbardziej obchodziło Rogera, który — choć się z tem nie wydawał. miał pewne myśli. zamiary, projekta. na Turów obrachowane.

Hrabianki były dwie. interes mógł się robić wspólnymi siłami. chodziło o porozumienie. Wszystko dobrze zważywszy Roger. jakkolwiek życzył dobrze siostrze. jakkolwiek rozczarowywać jej nie chciał — wcale nie rachował na to. żeby baron mógł się zająć Idalią.

Na pierwszy rzut oka jeszcze w Warszawie. Roger poznał w nim brata po duchu. męża stałych zasad, który kochać się, zająć i palić baka z miłości nie potrafi. Oba byli nadto dziećmi wieku. i dla obu kobieta zawczasu przestała być ideałem. a była w niższych sferach zabawką. w wyższych spekulacją. Roger sam kierując się tylko ambicyą w planach ożenienia. i tylko rachubą zdrową — nie przypuszczał. aby baron baron galicyjski, przybywający zdaleka aż tu. mógł po co innego jak po worek wędrować.

To się miało samo z siebie rozumieć. Zakochać się przy dobrej woli i usposobieniu można wszędzie. ale ożenić dobrze, najłatwiej tam. gdzie człowiek jest mało znany. a dobrze komedję grać umie. Roger tak dalece postępowanie Helmolda znajdował trafnem. iż mu na myśl przychodziło je naśladować i wzajemnie do Galicyi się udać. Tam już za nim żaden zapach apteczny dojść nie mógł.

Rozumując tak sobie Roger. nsta maczał we wcale nie dystygnowanym bishofie. przekonany. iż ten napoj będzie tu najzniośniejszym. Za każdym łykiem Gorconi mierzyl go oczyma. szukał na jego twarzy objawów rozkoszy i zadowolenia — ale znaleźć ich nie mógł. Powiedział sobie w końcu. iż Indzie większego świata są zamknięci w sobie i nie zwykli wra-

ženianu się dzielić z otaczającymi. To go nieco uspokoiło.

Roger. myślał. zgadywał. rachował. i doszedł wreszcie do pewnego domysłu. który mu się zdawał szczęśliwym. szło o bardzo dyskretne sprawdzenie go. podniósł wejście łagodne. acz poważne na Gorconiego. który skinienia czekał.

— Panie Gorconi !

— Do usług.

— Nie byłbyś też tak grzeczny powiedzieć mi, czy nie obserwowałaś podróżnego. młodego człowieka, który stoi na pocztce. w którą się udał stronę?

Gospodarz zaszczycony zaufaniem gościa. zbliżył się doń z miną tajemniczą.

— Ten młodzieniec. rzekł po cichu — wczoraj przez nieświadomość zapewne. poszedł na wieczerzę do gar-kuchni.

— Dokąd?

— Do Pauzy.

— A dziś?

— Dziś, dziś, dziś, jeżeli go nie ma tam. a tam rzadko kto skosztowawszy pójdzie dwa razy, dodał szydersko. już trudno mi zgadnąć.

— Masz waćpan sprytnego chłopaka?

— A ! panie dobrodzieju — jak ogień. słysz, Franek, chodź tu.

Roger wyjął złotówkę z kieszeni, chłopcu czarne oczki błyszczały jak dwa węgielki.

— Idź. mój kochany. rzekł cicho Roger — do sklepu Mordka Szpetnego, wiesz, że na tyle jest pokój. gdzie czasem wino pijają. nie pytaj o nikogo. nie mów nic. Zobacz, czy tam nie ma młodego. nieznanomego pana.

— Tego co wczoraj przyjechał na pocztę. z Turowa? podchwycił Franek.

— Tego samego.

— A jeżeli jest? proszę pana.

— Jeżeli jest. zobacz z kim jest. i wymknij się.

Instrukcyja tak jasna, poparta złotówką, pchnęła chłopca piorunem. Roger ledwie miał czas raz skosztować biszofu, a nawet go już pochwalił, wywdzięczając się Gorconiemu, gdy Franek był uazad.

— A co?

— Jest panie, jest.

— Z kim?

— Z panem Mamertem.

— A! a! rośmiał się Roger, pokiwał głową i dał jeszcze groszy dziesięć dodatku. Poczem z wielkiem podziwieniem Gorconiego, poczał czytać gazetę i popijać biszof powoli.

Dobrze zrobił Roger, iż się z napojn wychyleniem nie śpieszył, godzina bowiem upłynęła nim baron Helmold ukazał się z cygarem w ustach. Roger puścił go do gospody, wyczekał jeszcze kwadransik, zapłacił, grzecznie się usmiechnął Gorconiemu, który zdjął berret dla uczczenia go — i powoli się wysliznął.

— No — rzekł, zacierając ręce Szwajcar, niewiem wprawdzie co, ale się coś święci w miasteczku, poczy-na się ruch, a mnie idzie o ruch. Gdzie ruch tam życie. Niech się rodzą, umierają, żenią, klóć, byle był jakiś ruch, cukiernia zawsze na tem zyska. Coś się święci! nie ma wątpliwości — ale co?

I Gorconi głęboko utonął w domysłach.

Ażeby wytłómaczyć czytelnikowi co pan baron Helmold mógł robić u Mordka Szpetnego przy butelce wina z zupełnie nam nieznanym panem Mamertem, należałoby sięgnąć głębiej w biografią młodego Galicyanina, co się nam na teraz zbyt ciężko zdaje. Powinny tylko, iż gdy go troskliwa o przyszłość mama wyprawiała w podróż odkryć ku nowemu światu, z nadzieją bogatego ożenku, przyszło jej na myśl, iż niejaki Klaudzyński, właściciel kamienicy i kupiec lwowski, ma rodzzonego brata od młodości osiadłego i gospodarzącego w Królestwie, rządzą u hrabiostwa Thurowskich. Klaudzyński Lwowski wielce był obowiązany niegdy ojcu barona, chętnie więc gorąco polecający list dał do brata. O tym bracie, oprócz, że mu się dobrze

działo n Turowskich. rzadko się dowiadywano, nie pisywał chyba zmuszony.

Trzymał się miejsca tego w Turowie od lat kilkunastu — i. rzecz dziwna, gdy interesa pryncypała coraz upadały, osobiste pana Mamerta zdawały się w stosunku odwrotnym, coraz na świetniejszej stać stopie. Fenomen ten, niejednokrotnie w kraju naszym obserwowany, jest już niemal prawem ogólnem, gdy rządca zbiera — właściciel się rujnuje. Każdy naturalnie myśli najprzód o sobie, ale czemu umiając własnymi interesami zarządzać, nie może skutecznie cudzych ratować — trudno wytłómaczyć. Zwykle rządcy zrujnowanych ludzi, opowiadają, że się ich panowie nadto sami do spraw mieszcali.

Jak tam było w Turowie, niewiadomo, hrabia Turowski nigdy do zbytku się nie zajmował majątkowymi interesami swojemi, ale pan Mamert właśnie tak prowadził, że przyjechawszy niegdyś na najętą furcę do Turowa, i zaczawszy zawód swój od skromnej funkcji pisarza, teraz liczonemu był (na ucho) na kilkakroć sto tysięcy złotych. Wiedziało o alokowanych przezeń summach różnych i odcinanych kuponach od listów zastawnych.

Mimo to bogactwo w pocie czoła i smutnienia zarobione, pan Mamert był taki pokorny, łagodny, milczący, niepozorny, biedniński, że na oko niktby go nie posądził ani o zbytnią przebiegłość, ani o taką zamocność.

Chodził w szaraczkowym surducie zapiętym na wszystkie guziki, w czarnej chustce, często w butach kozłowych, a że twarz miał od ospy silnie poznaczoną, bladą i nie wyrazistą, postawę nienderżającą, w tłumie by tego geniuszu nikt nie postrzegł nawet. A geniuszu potrzeba było, aby od kilkunastu złotych, cicho, nie obudzając krzyku, nie dając powodu do zgorszenia, nie drażniąc nikogo, dorobić się kilkunastu tysięcy.

Losy rodziny i majątków hrabiów Turowskich, zmieniały się, przechodziły przez rozmaite przesilenia,

a Klaudzyński wszystko przetrwał. Uniał on stać się nieodbitcie potrzebnym i nowej pani i jej otoczeniu. a pokorą swą przebił wszystko.

Stan interesów tak był zły, iż nie raz już wpadało na myśl zmiany pana Mamerta. naówczas on pośpieszał sam z prośbą usilną o uwolnienie. przyznawał się do nieudolności. ofiarował ustąpić. ale kończyło się na tem. że niepodobna było się obejść bez niego.

Pan Mamert potrafił za dawniejszych czasów wcisnąć się w zarząd dóbr panien hrabianek. administrował też niemi. a był w równych laskach. jak w pałacu. Rzecz fenomenalna — nie miał prawie nieprzyjaciół. Roboty jego szły cicho jak dobry zegarek.

Drugiego dnia po przybyciu. baron Helmołd znalazł sposobność widzenia się z panem Mamertem. ale gdy drażliwej kwestyi dotknąć spróbował, Klaudzyński się skrzywił. ramiona podniósł do góry. a głowę schował w nie jak żółw i zaczął machać ręką. dając znaki baronowi. aby temu dał pokój. Zrozumiał on dobrze o co szło. i — po pewnem wahaniu się — dał Helmołdowi rendez-vous w miasteczku. u Mordka Szpetnego.

Tem pilniej było porozumieć się o to z nim. młodem myśliwemu na posagi. że trafi najdziwniejszy. którego nawet wytłómaczyć nie potrafimy. — postawił go pod oknem w Turowie. w chwili. gdy hrabianka Iza uroczyste owe wyrzekła słowa. przyrzekając. iż gotowa pójść z zamkniętymi oczyma. za pierwszym. który się jej trafi.

Baron Helmołd z rozpatrzenia się w Turowie wyniósł to przekonanie. iż zdobycie jednej z hrabianek nie będzie łatwem. że tysiącne przeszkody staną na zawadzie. i nim by się o to pokusił. chciał być pewien — jak się wyrażał — że gra warta świecy. — Na to więc potrzebnym mu był nieoszacowany pan Mamert Klaudzyński. Baron wiedział i o tem. że rządca zawiaduje dobrami hrabianek i sprzyjać pretendantom nie może — ale zdawało mu się. że o to jakoś ułożyć by się w końcu potrafił.

Na umówiony dzień niepoczesna figurka pana Mamerta stawiała się w naznaczonem miejscu. Baron zawczasu przygotował się do traktowania. Usiłować oszukać lub przechytrzyć pana Mamerta było śmieszne, postanowił zażyć go z innej beczki.

Postawiono butelkę wina, które się reńskiem zwało. za czem przemawiał jego kwasek więcej niż zapach krzemienisty, — podano ser szwajcarski. żydóweczka zamknęła drzwi, a baron rzucił się najprzód na szyję nieco zdziwionego tą czułością drewnianego człowieczka.

— Panie Mamercie Klaudzyński, rzekł. — jesteśmy ziomkami, rodziliśmy się na jednej ziemi, rodziny nasze w dawnych i przyjacielskich zostają z sobą stosunkach, otwarcie więc do ciebie mówię, wyciągając dłoń jako do rodaka, pomóż mi...

— Panie baronie dobrodzieju — ozwał się, chowając głowę jak był zwykł, gdy pokornego ndawał pan Mamert, byłbym najszczęśliwszym, gdybym w czem mógł, ale w czem że ja, mizerna kreatura...

— No, no — dosyć tego, bądźmy szczerzy, rzekł baron, matka mnie wyprawiła tu na odgłos przez brata pańskiego jej udzielony, o posażnych hrabiankach. Jakkolwiek my nieźle stojemy majątkowo, wszelako od przybytku głowa nie boli, chcąc coś na świecie znać, pieniądze są potrzebne.

— Nader potrzebne — dodał potwierdzająco Mamert.

— Otóż widzisz pan, mówił baron, w imię stosunków jakie nas łączą, odzywam się do was, jako do rodaka (baron powtarzał tego rodaka, znać wierząc w skuteczność zaklęcia) — objaśnijcie mnie. Jest-li możliwem otrzymanie ręki jednej z hrabianek i — stanowczo co, co, co one mają?!

Nastąpiło głębokie milczenie. pan Mamert siedział spokojnie zadumany, spoglądając to na kieliszek, to na barona, oczekiwać się zdawał czegoś jeszcze więcej. Praktyczny młodzieniec pomiarkował się, iż niedostatecznie rzecz wyłuszczył.

— Bo widzisz, panie Klandzyński. dodał, pan jesteś zbyt rozsądny i wytrawny człowiek. abym pana próbował durzyć tem, że się zakochałem. Wiadomo panu. iż się już dziś ludzie nie kochają. Ożenek to interes. panie dobrodzieju, i godzi się koło niego chodzić jak około interesu. bacznie, pilnie. ogłędnie. Bądź otwartym. Wiem o tem. że pan rządzisz dobrami hrabianek. że masz dziesiąty grosz. no, i wygody z tego, że ci się nie może chcieć je wydać, bo byś na tem stracił. to rzecz jasna. Kochać ich znowu tak. abys im poświęcał swoje dobro—nie możesz.

Mamert głowę schował głęboko. zgarbił się. zmałał, nic nie mówił. ale nie przeczył. patrzył w złotawy płyn kieliszka, oczekując co dalej będzie.

Baron ciągnął rzecz swoją.

— Widzisz tedy pan, że ja sędzę o tem rozsądnie. jak się należy. bez illuzyj. Ale. z drugiej strony. pomimo całej czujności hrabiny około hrabianek. prędzej. później. one w jakikolwiek sposób. zundzone. z domu wam uciekną.

Mamert ręką machnął i oczy tylko podniósł w niebo.

— Nie lepiej-że. kochany panie Mamercie. przewidyjąc to ułożyć się z własną korzyścią? zapewniając sobie należne trudów wynagrodzenie. niż czekać aż piorun nderzy. A że nderzy. na to panu daję słowo uczciwego człowieka!

Przestraszone oczy pana Mamerta zwróciły się na barona.

— Daję wam jeszcze raz słowo honoru. iż na własne moje uszy (wypadkiem) słyszałem. jak hrabianka Iza zakłęła się, iż pójdzie za pierwszego lepszego, który się nawinie. byle raz uwolnić się z tych więzów.

Pan Mamert wciąż słuchał. potem wstał. westchnął. rozprostował się. ręką pogladził po piersiach. potarł czoło. utarł nos, i zwróciwszy się do barona, począł mówić tak cicho. że ledwie go było można dosłyszeć.

— Znając pańską familję —mam nadzieję —zwłasz-

cza. gdy tak szlachetne objawiasz uczucia. że mnie pan baron nie zdradzisz.

Obejrzał się.

— Daję panu słowo. jak grób milczę! zawołał baron. włączając niemal na ramiona bojaźliwemu Klaudzyńskiemu. który się cofał.

— Otóż. co tu długo mówić. Widzisz pan. chociażby nawet... Ludzie tego nie rozumieją. zęby zjadłem pilnując ich dobra. Wszystko mnie winni. Ocaliłem tę fortunę. Trzysta korcy siedzi tam, gdzie ja dziś się jem osiemset. Zdrowie straciłem dla nich. i klęę się panu. na moje sunienie nic nie zrobiłem dla siebie. Gdyby Turek sądził. to mi się za krwawe poświęcenie coś należy.

Pan Mamert mówił. jak widzimy i nie bardzo logicznie i począł od końca. Baron wysłuchał go cierpliwie.

— Ale do rzeczy. panie Klandzyński — to wszystko prawda. pogadamy o tem. Co one mieć będą? Wszak posagi w ziemi.

— W ziemi! co za ziemia! jakie dobra! gleba. łąki. lasy! nadewszystko nieocenione lasy. a! lasy panie. sosny masztowe. Folwarki, zabudowania. młyny.

— Jakże to cenicie te dwie schedy?

Mamert się zamyślił.

— Powiedzieć milion. mało. dwa. możeby było za wiele. a kto wie? z lasami!

— A! gdyby to się z obydwoma można ożenić. zawołał. ręce zacierając baron.

— Druga. szepnął cicho Mamert. może nie wyjść za mąż. Będąc przy siostrze. wiadomo. są na to sposoby.

Baron żywo. gorączkowo zbliżył się do ucha Klaudzyńskiemu i coś mu szepnął takiego. że na bladą twarz jego ramieniem wywołał.

— Słowo honoru! rzekł głośno — dam na piśmie jeźli chcesz. to lepiej. ale pomóż mi szczerze. jako rodakowi.

A najprzód — którą brać?

Klaudzyński wypił wino i myślał głęboko, potem

ściśnął rękę barona mocno i szepnął — starszą. — starszą. odważniejsza jest, prędzej się uda, młodsza nie ma ochoty wielkiej iść za męż. Ale którąż by pan wolał?

Baron ruszył ramionami.

— Szanowny ziomku. zawołał — nie jestem młokos — panny obie ani ładne ani brzydkie. o kochaniu mowić nie może, a robiąc interes — zawsze lepiej wybrać starszą. Ale nie dosyć powiedzieć. jak tego dokonać? czy iść przebojem otwarcie? przeciw macosze. Luisowi i Francuzom?

Mamert prędko. jakby muchy odganiał. zaczął ręką machać.

— Ale nie — nie. sekretnie — wszystko trzeba robić sekretnie. Panna odstąpiła. znudzona. trzeba się pokochać i zawiązać stosunki. Być parę razy w Trowie. potem ja wskażę drogę do bilecików i trzeba wykraść nic nie pomoże. trzeba wykraść. tak! tak! nie ma rady.

— No. to wykradniemy! zawołał baron — chociaż mnie tu obcemu nie przyjdzie to łatwo — ale mus...

Klandzyński mimo łatwego zgodzenia się posmutniał. pił wino. ale pogrążony w zadumach głębokich.

— A w takim razie, cóż się z młodszą stanie? spytał baron, tę jeszcze ostrzej będą pilnować. Czyby obie porwać nie było lepiej?

— Ale to do tego jeszcze daleko — rzekł cicho Klandzyński. niewiedomo. jak się rzeczy obróca.

Spojrzał na barona zimno. a Helmod zmiarkował. iż tak ważną traktując sprawę. należało dobić targu i sprzymierzeńca związać.

— Nie wiem jak ci się to wyda — rzekł po chwili namysłu — ale gotów jestem z mej strony zobowiązanie się wydać na piśmie, z tem. iż pan wzajemnie czarno na białem. przyrzeczesz mi pomoc swoją.

Było to dictum acerbum, rzecz miała dwie strony. pismo wydało się niebezpiecznem. ale spuścić się na słowo barona. który tak chłodno rozumiał i robił interes, nie radziła przeczność.

— Jeżeli już pan baron jesteś tak łaskaw, zwłaszcza

że wszyscyśmy śmiertelni (tu westchnął). po coż robie dwustronną umowę. i mojego mizernego podpisu wymagać. kiedy w przyrzeczeniu swem wyrazić możesz. iż o tyle mi dasz. o ile sprawa się dokona? Mój dokument byłby zupełnie zbytecznym.

— To prawda. odparł baron stukając o stół. i gorączkowo śpiesząc związać się umową.

Żydóweczka weszła pewna. że obyczajem naszym. każą dać drngą winą butelkę. baron to z jej oczów i ruchu wyczytał. bo zaczęła od zabrania wypróżnionej.

— A no. rzekł. dobrego szampańskiego nam przynieś i arkusz papieru. i kałamarz i pióro.

Ostrożny bardzo Mamert. aby nie obudzić podejrzeń. dodał:

— Listowego papieru. kopertę. lak i pieczętkę.

Mrgnął oczyma baronowi.

— Tak! tak.

Żydóweczka odeszła.

— Cóż mi teraz radzisz?—spytał Helmold.

— Tsy! tsyt! najprzód dziś. nie zwracając oczów na siebie. rozejść się. Potem. od tej chwili. pan baron mnie nie znasz. nie wiesz. nie gadasz do mnie.

— Dolarze.

— Gdy będzie co potrzeba. ja list pod adresem panny... panny Pauliny. złożę u Mordka Szpetnego. proszę się tu o niego dowiadywać. Ja im powiem o tem... Dziś. panie baronie. nic jeszcze nie umiem wskazać. oprócz że trzeba jutro. pojutrze do Turowa powrócić. na złe przyjęcie i kwasy się gotować. wszystko znosić. niewidzieć nic. niedomyślać się nic. gdy będą mówić. nierozumieć... Resztę pan i sam się domyśli.

Po cichu ścisnęli się za ręce.

Baron ani się spodziewał. że mu to tak łatwo przyjdzie. ale też nie wiedział o tem. że gdy pod oknem hrabianki Izy słuchał jej zaklęcia. pan Mamert nieopodal równie dobrze je pochwycił. Wylękniony tem postanowieniem panny. wołał naturalnie mówić się

i pomódz baronowi, który tak dobrze wchodził w jego położenie, niż narażać się na niepewne losy.

Surra przyniosła szampana i nowe kieliszki. chcąc się pochwalić, że w ich domu wiedzą, czem się co pije. Kontrahenci trącili się niemi milczący, i spojrzeli po sobie. Baron był ożywiony, Mamert zrezygnowany.

Umowa pod pieczęcią w kilkunastu słowach natychmiast zrehabilitowana została. Helmold ją podpisał; ze spuszczonemi oczyma, skromnie, wstydliwie przyjął ją zacny Klandyński. rzucił okiem dla sprawdzenia redakcyi, i nim schował do kieszeni, odezwał się z czułością do barona:

— Panie baronie, słowo panny daję, jestem, czuję się rozczulonym. Powierzchniźnie sądząc, ludzie mogliby mnie obwiniać o chciwość, o frymarkę, ale Bóg widzi (tu oczy podniósł w niebo), ile ja tam pracy mojej włożyłem, mogę powiedzieć życia.

— Ja to rozumiem, podchwycił baron, i dlatego widziałeś sam, że odrazu wszedł w twoje położenie.

— Pan jesteś szlachetnym człowiekiem, i miło mi mu służyć.

Jeszcze raz ścisnęli dłonie, baron go pożegnał, w pierwszej izbie rozplącił się, i poszeptawszy jeszcze na ucho, wymknął się z gospody, zapaliwszy cygaro.

Gra tedy się rozpoczynała.

Szedł z projektem rozważenia dobrze, jak ją prowadzić należało, i chciał zaraz napisać do matki w osłoniionych wyrazach, dając jej znać, co się święci.

Nie domyślał się wcale, iż Rogier go szpiegował, i zdziwił się mocno, gdy ledwie do listu zasiadłszy, posłyszał puknięcie, a w trop za nim ujrzał wchodzącego natręta.

Jest w obyczajach świata, iż takiego gościa wita się jak najczulej, aby się nie domyślił, iż w duszy się go przeklina. Przyjaciela można czasem zimniej przyjąć, i odkryć mu stan duszy, dla natręta trzeba najwyższukansej grzeczności, bo się go, niestety, oszukuje.

To też baron zerwał się jak piorun, rozpromieniał cały, i począł tak ścisnąć, a trzęsąc obręcz chwy-

coną dłoń, jakby zbawcę witał. Roger to doskonale zrozumiał. i począł przeproszać,

— Ale zmiłuj się. jestem najszcześliwszy, zawołał baron. niemając co robić. siadłem pisać do matki. Nie pilnego...

— Cóż tu u nas baron porabia?

— Otóż, przyznam ci się, panie Rogerze. rzekł po-
ufnie głos zniżając baron. że jestem w największym
kłopotcie. Zdaje się. mówiłem wam, iż mam tu w oko-
licy krewnych. przy tej zręczności odwiedzić chciałem
pocziwego hrabiego Iais... Myślałem. że to wszystko
zbędę we dwa. trzy dni. tymczasem krewni wymagają
w imię jakichś tam starych. zagmatwanych. głu-
pich interesów. dłuższego pobytu. Chwycili mnie za
poły. — niesposób się wyrwać. jestem w rozpacz.
prawdziwie w rozpacz. We Lwowie kursa. mnie
powracać potrzeba.

— Ale my na tem zyskujemy. rzekł Roger. bo dłu-
żej cieszyć się będziemy jego milem towarzystwem.

Baron westchnął.

— Wszystko to dobrze. ale kursa! Mam złoto-
gniadą klacz. Ofelią. którą chciałem stawić. i sam my-
ślałem prowadzić. Spóźnię się. niezawodnie spóźnię.
Ofelii nie dam na dżokeja, bez siebie. i tracę. na tem.
oprócz przyjemności wielkiej. jakie parę tysięcy rei-
skich. co najmniej.

Rogier słuchał, jakby wierzył.

— A więc interesa jakież?—spytał.

— Tak. niespodziane. korzystają z mojej bytności.
aby je dokończyć. Matka obdarzyła mnie plenipo-
tencją.

— Jednakże do tego radybyście prawnika. lub przy-
najmniej wytrawnego człowieka potrzebowali...

— Nie wiem, rzekł zakłopotany baron.

— Jabył go wam nastreczył. rzekł Roger. Bywa-
cie w Turowie. poradzcie się tamtejszego rządcy. ju-
rysty i matacza jakich mało—Klandzyńskiego...

Młodzi panowie spojrzeli sobie w oczy. Baron
więcej z gniewu, że został odgadnięty. niż ze wstydu.

zaczerwienił się jak wiśnia. Roger uśmiechał się. Na chwilę zamilkli oba, Helmolde szukał w głowie wykrętu.

— Paradny jesteś. zawołał nderzając naiwnie niby rękami po kolanach, i śmiejąc się. radzisz mi. après coup. rzecz zrobioną. Ja wracam właśnie z narady z nim. bo Klandyński jest ze Lwowa. a matka u jego brata wyrobiła mi list do niego. Właśnie z nim mówiłem o moim interesie, ale to nie dla mnie człowiek, to nie jurysta. to sobie agronom. spekulant co trochę form liźnął.

Roger z kolei złapany. zamilkł. uczuł się odparty. widział, że jeżeli baron ma jakie plany. i osnuł intrygę. nie ma się z nią zwierzać ochoty. Postanowił go do muru przyprześć.

— Wiesz. panie baronie. odezwał się ciszej, gdybym był na twem miejscu. korzystałbym z nader szczęśliwego składu okoliczności.

— Jakiego?

— A no. dwie hrabianki bogate do wyboru.

— Ale czyż bogate?

— Pan Mamert by was o tem najlepiej mógł objaśnić. ja sądzę. że bogate.

— Tak. ale niezbyt młode. wcale nie ładne. a o ile z domu zmiarkować mogłem. nie radzi je wydać. i strzegą jak smoki ogrodu Hesperydów.

— Ba! zaśmiał się Roger. Smoki czasem śpią, jabłka zrywać się dają...

Znowu badawczo na siebie spojrzeli.

— Pan znasz hrabianki. panie Rogerze? spytał baron.

— Ja? zdaleka. parę razy widziałem je w towarzystwie. często widnę w kościele. Nie są ładne. ale ród znać, jest dystynkcyą. przytem nie ma pono lepszych żon nad te. które wiele doznały przykrości w domu.

— Nie jest to pewnik. odezwał się baron. charakter kobiety nabiera cierpkości, której się potem niełatwo pozbywa. a kogo męczono, ten by rad swe męczarnie na drugich odemścić, i mąż pada ofiarą.

— Więc. odezwał się Roger, wcaleby wam na myśl nie przyszła żadna z hrabianek?

Baron spojrział nań bystro.

Nie. rzekł, dotąd... nie pomyślałem.

— Bardzo się z tego cieszę, zawołał Roger.

— Dlaczego?

— No tak, szczerze wyznaję, nie będę się z tem krył. widząc je tak opuszczonemi. Jesteśmy dobra szlachta. smje mi się coś po głowie... kupujemy właśnie wioskę w sąsiedztwie. Cóżby mi szkodziło spróbować szczęścia?

— Zapewne. rzekł Helmold zadumany, zwłaszcza. że gdyby nawet mnie coś podobnego do głowy przyszło. mamy przecie dwie, jest się czem podzielić.

— Z obcych tu nikt nie zajrzy, mówił Roger. rodzina stoi na straży, przyjedzie ktoś chyba jak wy. panie baronie, wypadkiem. to się go prędko pozbędą. Nie jestem zarozumiały. Myślny szlachta choć stara, ale zubożała nieco. w innych może okolicznościach nie narażałbym się na odkosza, ale tn. panny znudzone, przyjmą każdego adoratora, a z familią...

Familia nie dopuści. przerwał baron.

— Na to przecież są sposoby, dodał flegmatycznie Roger. nie trzeba nawet rachować na jej zgodę, trzeba się bez niej mieć obejść.

Tu zamilkł.

Zmierzyli się oczyma zapaśnicy, baron wszakże nie uznał właściwem zwierzyć się panu Rogerowi, rozmowę postarał się obrócić w żart.

— Bawisz pan w miasteczku? zapytał Skalski.

Nie wiem sam. chciałbym wyjechać jutro.

— A dziś program jaki?

— Żednego. list do matki i spoczynek.

— To was zabiorę na herbatę do siebie

Baron się zawahał trochę. Roger tembardziej nastawał. że wiedział. jaką tem przyjemność robi siostrze.

— Daję wam godzinę na napisanie listu. a potem przychodzę i zabieram gwałtem. Rodzice i siostra

nie przebaczyliby mi, gdybym wam się dał tu nudzić w gospodzie.

Helmold opierał się nieco, ale i wspomnienie ładnej twarzyczki, załotnych oczek panny Idalii, przyczyniło się może do skłonienia go, by przyjął ofiarowaną herbatę w aptece. Wziąwszy słowo, Roger pożegnał go i odszedł, śpiesząc nakazać przygotowania w domu.

Skalski stary był zbyt może zajęty, aby wypadek ten wielkie na nim uczynił wrażenie. choć druga już wizyta barona była mu bardzo przyjemną; panie obie zostały uszczęśliwione. Skalska z naiwnością wieśniaczki widziała w tem oznakę wrażenia, jakie Idalia zrobiła na gościu, a panna była pewną, że go za drugim strzałem dobije.

Pobiegła więc śpiesznie do swego pokoju, dla narady z panną Naramską, garderobianą z Warszawy, osobą pełną smaku i doświadczenia, która zawsze przypominać lubiła, że była lat dwa u modniarki i tylko dla słabości oczów zawód ten porzucić musiała. Otwarto szafę, podobywano suknie, odkorkowano woski i kosmetyki, i poczęło się wielkie dzieło stroju, który miał baronowi dowieść, że nie w samych stolicach są eleganci.

Przez cały czas trwania toalety, panna Naramska była niewyczerpaną w opowiadaniach, ale z tego potoku słów nie prawie uszów Idalii nie doszło, tak była zamysloną.

Plątały się po jej pięknej główce pytania bez odpowiedzi. Baron? czy prawdziwy baron? czy też bogaty? czy też ma serce? czy jeszcze wolny i niezakochany? co by go najłatwiej podbić mogło?

Biedne dziewczę nie spytało ani razu serca swojego, czy doń bije, duszy, czy się ku niemu porywa, przyszłości, czy się jasno wroży, — dziecię wiekn. myślało o tytule baronowej, i o świetnym ekwipażu, któż wie, może o prezentacyi u dworu?!

ROZDZIAŁ II.

Niedaleko od grobli i młynów, którejś drogą szła ku cmentarzowi, na samym skrajn lichu zabudowanego przedmieścia, stała uboga chata mieszczańska z ogrodem obszernym, do niej przytykającym. Był to obraz nędzy wśród nbóstwa co ją otaczało. Cała ta część miasteczka nie odznaczała się zamożnością, ale ostatni dworek może ze wszystkich najbiedniej wyglądał.

Ogród należący doń, opasany był żerdziami, kolkami, chróstem i nie dobrze ubezpieczony od napaści stworzeń drapieżnych. Część jego schodząca ku stawowi, zarosła trawą, była tylko mokrą, torfiastą łąką, nie wiele pożyteczną, na wyższej uprawiano trochę warzywa.

Ale ta zagroda nie miała i w najpiękniejszej części swej pozoru dobrze zagospodarowanej, zagony podniesione wysoko, gdyż łatwo je na wiosnę zalać mogła woda, nie były czysto i ładnie wyrobione, zdawały się na prędce słabemi rękami ogrzebane. Siedzące na nich warzywa, bujno też nie rosły, kapusta mała, ponachylana, kartofle powiędłe, trochę kukurydzy, a bliżej chaty mak, cebula, biednie i blade wydobywały się z ziemi. Pod oknem nie było kwiatków, zdziczałe lilie z chwastów i pokrzyw ledwie głowy pokazać mogły.

Studzienka około chaty rozwaloną była na wpół, cembryny stare w ziemię wkleśły, żóraw się wykrzywił, a koryta zczerniały, wydawały się jakby powy gryzane, tak je poszczerbiła wilgoć.

Kałuża wieknista oblewała do koła studnię i zagrazdzała niemal ścieżkę do dworku, który podobniejszy był

do mizernej chaty włościańskiej, niż do domu mieszcza-
nina. Dach jego zjadły dawno mchy i trawy na nim
porosłe, ale się powygarbiany trzymał jeszcze, choć
razem z chatą ku ziemi przysiadł. Okna jej leżały pra-
wie na przyzbie, a okiennice dawno się zamykać nie
mogły. Obok stojące chlewki i oborka nie były śwież-
sze ani piękniejsze, dawno ich znać nie poprawiano.
I nikt tu też nie zobaczył dzieci przed drzwiami, które
najuboższe ożywić mogą schronienie, zawsze było pu-
sto i smutno.

Znać mieszkańcy chałupy już zrozpaczyli, żeby
kiedy podźwignąć ją mogli i siebie, z obojętnością pa-
trzyli na nпаdek.

Późno nad wieczór, gdy już mrok padał, a niebo
po duiach skwarnych czarnemi się zaczynało obłokami
okrywać, szedł z miasteczka młody człowiek niby na
przechadzkę, oglądając się często czy go kto nie wi-
dzi, czy kto znajomy za nim nie idzie, a niekiedy to
dzieci, to kobiet o coś pytając. Zdaleka pokazywali
mn wszyscy tę chatę opuszczoną. Zbliżając się do niej
powstrzymał kroku, patrzył, i na twarzy odmalowało
się uczucie boleści aż do ironii posuniętej — uśmie-
chał się.

Był to Walek Luziński.

Od czasu zupełnego wyswobodzenia z pod opie-
ki doktora, męczyła go coraz potężniejąc myśl, żądza
odkrycia swego pochodzenia, rodziny i odsłonięcia ta-
jemnicy okrywającej sierocą kolebkę. Postanowił był
udać się do Turowa na zwiady, chociaż tam wiele so-
bie obiecywać nie mógł i sam nie wiedział jak się obró-
ci. Ale nimby tego dokonał, chciał wprzód spróbować
czy w miasteczku nie znajdzie jakiej nitki przewod-
niej. W tym celu znalazłszy jakiś pozór, poszedł do
magistratu przejrzeć księgi ludności i szukać w nich
nazwiska Luzińskich. Znalazł je nadspodziewanie ła-
two, ale rodzina ta dosyć liczna przed kilkudziesięciu
laty, zupełnie była teraz wymarła, tak, że z niej pozo-
stali tylko w spisie, dwoje starych Luzińskich i wnucz-
ka. Obok nazwiska odszukał też Walek imię ich po-

sessyi. a po tych idąc wskazówkach. wieczorem. wstydząc się być widzianym. przysnął się pod nędzną chałupę. ostatni przytułek starych Łazińskich.

Długo błądził do koła. spodziewając się. że ktoś może wynijdzie z chaty. i że potrafi nie wchodząc do środka zawiązać rozmowę. ale — uapóżna. Mrok padał coraz gęstszy. zwiększony chmurami które się zewsząd powoli gromadziły. a koło dworku nikt się nie pokazał. Niecierpliwy. by się raz czegoś dowiedzieć. Walek odważył się wreszcie przestąpić próg i zajrzeć do wnętrza. Izba na lewo stała pusta. odarta. poczerniała, naprzeciwko drzwi tylko wisiał sam jeden obraz Chrystusa. pokazującego na bok przebity.

Gdy drzwi skrzypnęły, głos z alkierza spytał niewyraźnie — kto tam? Walek niemiał inaczej odpowiedzieć. tylko: — obcy. podróżny.

— Czegoż wy tu chcecie? odparł głos z alkierza. tu niedostaniecie nic. nawet wody. Stary z wnuczką poszli do lasu. a ja leżę chora. idźcie z Bogiem.

— Czy to dworek Łazińskich? zapytał Walek.

— A jńścić, a co wam do nich?

— Chciałem się o nich dowiedzieć?

— Dowiedzieć o Łazińskich. a co komu po nich? mówił głos zbolący — co komu po nędzy?

Walek był w przykrem położeniu. i dalej byłby niewiedział jak prowadzić rozmowę. gdyby po za nim nie otwarły się drzwi. a w nich ukazał się stary. przygarbiony dziad i blade piętnastoletnie dziewczę.

Dziad był okropny! taki, jakimi dzieci straszą. ogromny a przygarbiony, siwy, broda płatami czarna. jak okopcona. włos rozczochrany. piers z pod koszuli zgrzebanej wyglądała jak bronz czerwony ciemna, sterząca kośćmi i guzami. w ręku trzymał kij. a na plecach w krzyż wisiała torba i króbką z grzyhami. Oprócz tego przywiązaną miał wiązkę chrusta na ramionach. a dziewczę w wytartej. nie na nią robionej siemniędzy. w szarej koszuli. podpasane paskiem czerwonym, w spódnicy sinej spłowiałej. nogi miało bosc. a na głowie. na wypętlonych od słońca włosach jasnych, chustynkę ciemną bezbarwną.

Mimo to był wdziek młodości. w bladej. wynędziałej twarzyczce dziecka. którego dojrzałość spóźniły praca i boleść. Ząbki miała białe. oczy duże niebieskie. ale szyję i ręce spalone. zapracowane, a nóżka poranione.

I ona szła z króbką na ramieniu. z dwojakami pełnemi jagód zmieszanych czerwonych i czarnych. a w torebce jej też coś ciążyło. Malownicze to były postacie dla artysty. ale bolesne zjawisko dla człowieka.

Oboje przybyli milcząco wpatrzyli się z ciekawością nadzwyczajną w Walka. jakby już dawno nie widzieli człowieka porządniej odzianego. na progu chałupy. Domyslił się Luziński. że starzec i dziewczę do domu należeli.

Dziad postawił krobkę na ławie. ciągle patrząc na Walka. a dziewczę po chwili do alkierza pobiegło.

— Niech będzie pochwalony! rzekł dziad. co to wam potrzeba?

— Nic — anom się przyszedł rozpytać o Luzińskich.

— O jakich? spytał dziad.

— O tych co tu mieszkają.

— A po cóż wam to?

Walek się wstydił wyznać szczerze. i począł kłamać.

— Bo to widzicie. rzekł kręcąc. miałem przyjaciela w Warszawie. otóż on słyszał. że tu są jacyś Luzińscy. a że i sam się tak zwał i z tej okolicy pochodził. prosił mnie abym się rozpytał.

Staruszek oparł się o ławę. bo był bardzo zmęczony.

— Ho! ho! rzekł smutnie — byli Luzińscy na świecie. byli. ale już ich tak jak nie ma. i pytać nie warto. A co komu z nich. albo z ich nazwiska?

Westchnął ciężko.

— I nie musiał to być ten wasz przyjaciel Luziński z naszych, jeśli mu się dobrze działo. bo nam ino złe przychodzi.

I zamilkł. — Idźcie se z Bogiem. dodał po chwili. nie ma wam tu po co się trudzić. Tam stara moja

dożywa w bólu. tu widzicie dziada, co dzień cały pracując jeść ciepłego wieczorem nie dostanie. a ot widzieliście i wnuczkę. która zostanie sierotą i zwała się może. jeżeli miłosierna dusza jej nie przytuli. Widzieliście chatę co opada, ściany co się wala. otóż to dola ostatnich Luzińskich. A powiedźcie przyjacielowi. niech o nich nie dowiaduje się. niech się nie przypytuje do nich. aby biedy nie zaczepił.

Walek się tą odpowiedzią zaspokoić nie mógł.

— Przebaczcie mój stary. rzekł. że was trudzę — tamtemu też Luzińskiemu nie bardzo się lepiej działo. nie uląkł by się pobratymstwa. był sam jeden. sierota. rodziców nie znał. rodziny nie miał.

— Mówicie. że z tych stron pochodził? zapytał stary zamysłony.

— Tak mi powiadał. ale niewiele o sobie wiedział. jak nie.

— Było tu tych Luzińskich dawniej dosyć. odparł dziad. ale powymierało i rozbiegło się. bo żadnemu nie szło. tylko my zostali. a i to nie na długo. do cementarza niedaleko. nie zmogą się nas zaniesć.

— Nie mieliście brata? zapytał Walek.

— Dwóch. dwóch. rzekł stary krótko i niechętnie odpowiadając.

— Coż się z nimi stało?

— Hm. co się z nimi stało? rzekł z wyraźną niechęcią dziad. Czyście sędzią. żebyście mnie pytać mieli jak na spytkach? A co wam do tego co się z nimi stało?

— Nie gniewajcie się mój ojczu. toć gdyby się okazało żeście temu chłopcu rodziną. pewnie by wam też pomógł.

— Albo to ja czyjej pomocy. oprócz Bożej. potrzebuję. czy proszę? zawołał dziad żywo — choć w łachmanach chodzę i na żebraka wyglądam. nie wyciągałem ręki i póki życia jej nie splamni jałmużną. Zdechnie się. to zdechnie. a choćby wola Boża była i z głodu! To co? albo to królowie nie żebrali i panowie nie marli bez chleba. Ino Bóg wie co komu przeznacza.

— Ale cóżby wam szkodziło biednego pocieszyć? rzekł Walek pokorniej.

— Czem pocieszyć? że ma nędzarzy w rodzie i przeklon!.. A choćby i ojca znalazł. pewnie się nim nie rozraduje. jeśli będzie Luziński. Bo już tak wola Boża chciała. aby co Luziński. był nieszczęśliwy. albo...

Tu urwał nagle.

Idźcie no z Bogiem. idźcie. dodał.

Przez cały czas rozmowy. z alkierza twarzyczka bladego dziewczęcia patrzyła. wlepionemi w Walka oczyma.

Dziad był widocznie zniecierpliwiony i chciał się ino pozbyć natręta. ale Walek nie odchodził. na szczęście. czy na biedę. z gromadzących się chmur w tej chwili lunął deszcz jak z wiadra i raz po razu łysnęło okrutnie. a grzmot szeroko. hucznie rozległ się pomiędzy wzgórzami.

— A! mój ojcie. nie wypędzajcie mnie w taką ulęgę. rzekł Walek, przysiadę na ławie i przeszkadzać wam nie będę.

Stary ruszył ramionami i zaśmiał się gorzko.

— Jakto nie będziecie przeszkadzać? zawołał. dosyć byście siedzieli. to mi w chacie obcego człeka czuć i jam nie swój. Siedźcie. kiedyście przyszli na biedę. ale dajcie mi pokój z Luzińskim. kiedybym ja sam rad zapomnieć. że się Luzińskim nazywam.

Uparty Walek zmilczał. ale po chwili szepnął.

Ojciec tamtego miał imię Marek.

— To co z tego? odparł. odwracając się szparko stary. albo to jeden Marek włóczy się po piekle? Marek! albo ja wiem co się z Markiem stało? albo ja wiem?

— Ale był w waszej rodzinie Marek?

Dziad się odwrócił do niego groźny.

— Z sąduście przyszli? he? to mówcie. nie bierzcie mnie na wykrety. Wiecie, że był Marek. co wam do niego?

— Nie jestem sądowym i niewiedziałem. że jeden z waszych miał to imię. tylko wam powiadam co wiem.

— A ja wam powiadam że niewiem nic — rzekł w gniewie dziad. nic, nic.

Usiadł na ławie, głowę spuścił na piersi i milczał. Dzieweczka wyszła z alkierza.

— Dziadusi. ja ognia rozpale i babce zgotuję trochę mleka com za jagody przyniosła.

— Czekaj aż ten pójdzie, a z nim burza. W pioruny ognia palić nie można. dym pociągnie ogień z nieba, to jntro i głowy nie będzie gdzie przytulić. Czekaj.

Tymczasem błyskało strasznie i deszcz lał jak z wiadra. na dworze zciemniało zupełnie, smugi tylko światła bladego, to różowego, to siniego, przelatywały przed oknami. i piorun bił po piorunie na staw, bór i trzęsawice.

Dziadowi pilno było pozbyć się gościa. wyzierał przez zakopcone okienko. oba milczeli. Walek nie śniął już pytać, czekał rychło burza nieco przejdzie, aby do miasteczka powrócić.

Wtem dziada zawołał głos z alkierza, i stary mruczając. poszedł do łóżka chorej. która znać całą słyszała rozmowę.

Do Warka też doszły wyraźnie z alkierza następujące wyrazy:

— Stary mój — stary. co ci? kto tam jest? za co się gniewasz? czego on chce? Po co obcemu być przykrym?

— A jak nim być nie mam — przerwał dziad. albo wiem. kto i po co przyszedł mnie badać? Ilem razy milczał. nie żalowałem. a często wygadawszy się odplakał. Gada trzy po trzy.

— Bądź cierpliwy, stary, i z ludźmi i z losem trzeba być cierpliwym. co pomoże się tak sierdzić?

— Boby sobie nigdy nie poszedł. rzekł dziad.

— A o cóż on cię pyta?

— Kto go wie? o Łuzińskich — ile ich było. co się z nimi stało! O tych co pomarli wie ino Bóg. a o tych co żyją i on już zapomniał.

Gdy tak szemrano w alkierzu. dziewczeczka obawinająca się znać nadchodzącej ciemności, wśród któ-

rej strasznego gościa nawet dojrzeć we wnętrzu chaty było trudno. próbowała rozpaść ogarek jakiś, który postawiła na kominie. Słabe jego światło jeszcze bardziej ponurem czyniło to mieszkanie nędzy. Walek byłby chętnie wyszedł, ale choć grzmoty się zmniejszały, nlewa nie nstawiała i owszem zdawała się zwiększać jeszcze.

Dziad po chwili wysnuął się nazad z alkierza, ponury i prawie gniewny, dziewczę do babki natychmiast-nieckło.

Luziński wpadł na myśl spróbowania jeszcze inaczey starca, aby z niego coś wydobyć. Wstał z ławy, i postąpił kn niem.

— Panie Luziński, rzekł — nie będę się przed wami tał dłużej, nie dla przyjaciela to ja przyszedłem was dopytywać o rodzinę, ale dla siebie samego. Nazywam się Walenty Luziński, jestem sierotą bez ojca i matki, opieknn mnie opuścił, sam jeden na świecie, szukałem choć śladu mego pochodzenia.

Starzec nważnie nań popatrział.

— A któż cię wie, spytał, czy wprzódy kłamałeś czy teraz? Jeżeliś Luziński to ci jedno powiem, abys sobie w życiu nic nie obiecywał krom biedy i nieszczęścia, bo się żadnemn z nas nie wiodło.

— I mnie też — odparł Walek.

— Ojciec twój miał imię Marek? spytał dziad przyglądając mn się ciągle.

— Tak jest, Marek.

— Wiele masz lat? szepnął stary.

— Dwadzieścia i dwa.

Stary znouu spojrział i pomyślał coś, potem ramionami ruszył — zamilkł.

— A gdzieżeś się rodził? spytał po chwili.

— Tu w miasteczku.

— A matka twoja?

— Matka moja mieszkała wprzódy w Turowie, potem czy ją wygnano, czy sama wyjechała, Ojciec znikł, niewiadomo gdzie. Sierotą wziął mnie doktor na wy-

chowanie i byłem u niego jakby synem. ale w ostatku mnie wypędził.

— Bez kawałka chleba? zapytał stary.

— Nie — mam z czego żyć.

— I mając z czego żyć. ręce zdrowe. głowę na karku. trzeba ci się czepiać rodziny. szukać kłopotu. dopytywać starych grzechów — rzekł dziad szydersko. o! toś już prawdziwy Łuziński. Idź w świat pókiś cały. nie oglądaj się po za siebie. nie pytaj. miej rozzum własny. bez ludzi obejść się trzeba.

To mówiąc. otworzył okienko i wysadził głowę. chmura już przeciągała. deszcz którego strumienie zbiegały po lśniącej ziemi. ustawał. na niebie zielonawy błękit z za czarnych przeglądał obłoków. wieczór był znowu cichy. spokojny. a woń zroszonych ról i drzew nappełniała powietrze.

— Idź z Bogiem. odezwał się stary do Walka, który stał zawsze w nadziei. że się coś dowie — idź. idź. tu dla ciebie nie ma nic. panie Łuziński. dobranoc.

Walek gniewny. skłonił głowę w milczeniu i wyjść nareszcie musiał.

Wprawdzie nie się nie dowiedział od starego. ale sposób w jaki go pytał. pół słowa. zapomnienia się biednego Łuzińskiego. kazaly się domyslać. że coś wiedział o rodzinie. może nawet o ojcu Walentego. Wyszedłszy młody chłopak. zniecierpliwiony przemyślał nad środkami. jakimi by mógł zmusić dziada do mówienia. Wzgarda z jaką go z chaty wyprawił. nappełniała gniewem. Już był uszedł kilka kroków ku miasteczku. gdy w ogródku otaczającym chatę. dostrzegł biegnące dziewczę tylko co widziane ze starym. Wybiegło ono znać nie głównymi drzwiami. ale furtką do ogrodu i śpieszyło dając znaki Walkowi. żeby się zatrzymał. oglądając się. czy z chaty stary go nie zobaczy. Zdziwił się Walek i zwrócił do płotu. dziewczeczka przybiegła zdyszana. chwyciła ręką jedną za kołek. skoczyła na żerdź. i tak umieszczona. na pół pochyliła się do ucha Łuzińskiemu.

— Paniczu. rzekła — babunia słyszała coście gada-

li z dziadem. ale dziad chory i gniewa się zawsze. a no. jeżeli chcecie pogadać i popytać. przyjdźcie kiedy go w domu nie będzie.

— A kiedyż nie będzie go w domu?

— Jntro z rana dziaduś idzie do Waniurki na robotę. ja będę pilnować i stać przed chatą. Jeżeli wam pokażę palcem. o tak (uśmiechając się wabiła ku sobie) to wejdziecie, a jeżeli od siebie. to nie. Dobranoc.

— Dziękuję.

Dziewczę zeskoczyło z płotu. i jak zając pobiegło w chwasty i między tyki fasoli. wśród których znikło.

Walek z uśmiechem zadowolenia wracał do miasta. Niebo się rozpogadzało. wieczór znowu był prześliczny. księżyc jak obmyty ukazywał się z po nad dalekich lasów. Luzińskiemu wcale nie było pilno do pani Pauze. szedł też powoli. zadumany nad swemi losy. wyszukując tylko suchszych ścieżek. Okolice miasteczka piaszczysta. po gwałtownej ulewie prawie już śladów jej nie przechowała. wody zbiegły i wsiąkły. drożyny były niemal suche. Walek szedł zwolna. wtem od miasteczka wywabione chłodem wieczora poczęły się zjawiać pary i całe kupki przechadzających. Wiedząc. jak przykre są wejrzenia ludzi nieżyczliwych. w chwili takiej przesilenia jaką przebywał. — nie mając w sobie siły i spokoju by je zniesć z czołem wypogodzonym. Walek usunąć się postanowił na bok. i wrócić dróżyną pustą. okrążającą nieścinę za ogrodami.

Mały strumień osadzony starami poobcinaucami wierzbami. kręcił się tu. dzieląc sady i warzywne zagony od łąki. we dnie chodzili tędy czasem ludzie do roboty. ale wieczorem ciasna dróżka wcale nie była uczęszczaną. Zdziwił się niezmiernie Walek. gdy na zakręcie ujrzał przed sobą powoli w tym samym kierunku idącego mężczyznę. którego nie poznał zrazu. A że w mieście wszyscy mu byli dobrze znajomi. zaciekawiony przyspieszył kroku i zbliżywszy się. raczej domyślił się niż rozeznał owego nieznanego. o którym świeżo rozpowiadano, że kupił Skalskiego aptekę.

Szedł on sam jeden. powoli bardzo. zamysłony

może również unikając towarzystwa i spotkania. Po jakimś czasie odwrócił głowę, postrzegł Łuzińskiego i stanął. Walek sądząc, że mu się chce dać wyminać, bo ścieżka była tak ciasna, że we dwóch iść nią było niepodobna — pośpieszył, mijali się w istocie i Łuziński odwrócił był głowę umyślnie, gdy doktor Walter zaczął go sam, cichem: — dobry wieczór.

— Dobry wieczór, panu pobrodziejowi — odpowiedział, odwracając się nieco Łuziński.

— I śliczny wieczór — rzekł łagodnie nieznajomy, jakby wciągając w rozmowę.

Ciekawy Walek wcale się jej nie myślał opierać, rad był pochwalić się znajomością doktora Waltera, wstrzymał się więc ośmielony, i odparł:

— Właśnie i mnie ta burza wstrzymała za miastem w chacie, musiałem ją przesiedzieć.

— A wiem, odezwał się doktor Walter, bom ja schroniłem się od niej naprzeciwno, widziałem pana. Wybrałeś sobie najniebezpieczniejszą chałupę.

— Niemiałem wyboru, skłamał Łuziński, tak burza nadeszła nagle, a była krótka, ale straszna.

— Kto nie widział cyklonów na morzu indyjskiem i burz w zatokach chińskich, ten o burzach w ogóle mówić nie może, odezwał się nieznajomy, jakby umyślnie przedłużając rozmowę.

— Muszą to być wspaniałe obrazy?

— Majestatyczne, jak owych kosmicznych sił objawy, wśród których człowiek i życie wydają się nicością, mówił Walter. Wśród takich kateklyzmów dopiero pojąć można, jak życie nasze jest fenomenem walej wagi, dla tego universum, w którym wręcz siły niezwyciężone. Widząc jak śmierć jest nienchronną, wierzy się w nieśmiertelność.

Walek zmilczał, szedł teraz powoli, dając się z sobą równać towarzyszkowi, drożyna nieco się rozszerzała, mogli więc zmieścić się obok, choć Łuziński brodził w trawie wilgotnej. Ale ciekawość nie dozwalała mu tak porzucić człowieka, który sam pierwszy go ku sobie zaciągnął.

— Wszak się nie mylę, rzekł po chwili Walter, jesteś pan wychowawcą tego doktora Myliusza, którego niedawno tu bliżej miałem poznać przyjemność?

Walek skłonił głowę.

— Byłem nim, rzekł krótko.

— Ja choć prawie nikogo nie znam, z twarzy i postawy oswoiłem się tu ze wszystkimi, mówił powoli Walter, wciąż bardzo uważnie wpatrując się w Lubińskiego. Bardzo długo nie byłem w kraju, chociaż niegdyś się w nim urodziłem. To jest, dodał, nie w tych okolicach, dalej nieco. Teraz zachciało mi się wrócić, i osiąść w stronie rodzinnej, ale mi tu tak pusto, jak wszędzie.

— Pan Dobrodziej nie masz rodziny? — spytał Walek.

— Żadnej, żadnej, byłem sierotą, gdym opuścił kraj, a teraz i mogiłbym swoich nie znalazł. Jest to smutna dola, ale się do wszystkiego przywyka w świecie, nawet do takiego sieroctwa.

— W moim wieku, a nawet jeszcze w latach pańskich, stworzenie sobie rodziny, stosunków nowych nie jest niepodobiestwem.

— W pańskim wieku jest to możliwe zapewne, w moim już nie. Człowiek się staje egoistą, szorstkim, dzikim, i szuka tylko takich stosunków, które każdego dnia, gdy mu zacieją, zerwać potrafi. Ale osamotnienie przy pracy umysłu i ducha, nie jest szkodliwem, mówił doktor powoli, owszem, daje ono pogląd zdrowy na świat, stanowisko wyższe, niezależne, mające swój urok i swe słodycze...

— Ja także z musu, ozwał się Walek, — bom zupełnie sierota, a stosunek mój ze światem nie wiele mi od niego obiecuje, — ja także muszę się przygotować do pustelniczego żywota wśród tłumu. Za młodu już wcale mnie świat ten nie nęci.

— To źle, rzekł nieznanomy.

— Widzę go czarno.

— Jeżeli się widzi to panna, a nie przewiduje, powtórzę, to źle.

— Dlaczego?

— Dlatego, że są pewne fazy życia, przez które człowiek prędzej lub później przejść musi. Jak roślina puszcza liście. łodygę. pączki. nim rozkwitnie i wyda nasionka, tak człowiek musi przejść przez eutuzyzmy, złudzenia, namiętności, rozczarowania, eksperymentu. nim mu prawnie wolno będzie zostać zimnym widzem tej sceny.

— A nie możeż wyższa organizacya. lub raczej odmienna. wyprzedzić tych praw ogólnych. i z nich się wyłamać wyjątkowo? — spytał Walek.

Nieznajomy słuchał go z zajęciem. gdy rozmowa weszła na cokolwiek zawilsze zadania. zdawał się ciekawie czekać próby pojęć i siły umysłu młodzieńca, lekki uśmiešek przebiegł mu po ustach. coś jak radosne uczucie błysnęło w oczach.

— Masz pan co do roboty? — spytał nagle Luzińskiego.

— Nie. jestem wolnym.

— Więc chodźmy, przejdźmy się razem. miłą mi będzie z panem rozmowa. dodał Walter, poprosiłbym nawet do siebie.

— Tambyśmy mógł spotkać doktora Myliusu. a to by mu zrobiło przykrość zapewne.

— Wątpię. ażebyśmy go spotkali o tej godzinie. odezwał się Walter. Zresztą. choć od nieznajomego to pytanie wyda mu się dziwnem. o cóżescie się właściwie poróżnili i rozeszli? Możebyśmy potrafił?...

Walek dziko spojrzał.

— Będę szczerym. łatwiej mi to przyjdzie z nieznajomym. niż ze znajomymi. rzekł stanowczo. uprzedzenia które człowiek czuje w drugich. przeciw sobie usta mu wiążą. Pan. spodziewam się, uprzedzonym nie jesteś. Doktor mnie. a ja doktora zrozumieć nigdy nie mogłem. Dwie nasze natury. cały świat od siebie przegradzał. Ja czuję w sobie coś wyższego. i z prawa tego. co nazywam demonem moim. sądzę się upoważnionym. nieco może lekko postępować z drugimi. Jestem to. co ludzie zowią zarozumiałym. Mówie. co my-

śle. Los mój nie jest na wysokości mych pragnień. Żłem zrobił może, iż o to obwinilem doktora. który mnie wychował. ale on wziął to za obelgę, co było wybuchem młodzieńczym.

Walek tłumaczył się bardzo zrecznie. ale pod jego wykretną tkanką wyrazów czuć było zepsute chłopię. które sofizmatami przed sobą samym się wyklamnje.

— Pewny jestem. że jedno uniesienie. odparł powoli Walter. doktor Mylins byłby panu przebaczył. ale ono musiało być w związku z całym jego postępowaniem poprzedzającym. Powiedz mi pan szczerze. otwarcie. jak lekarzowi. co cię tak boli.

— Wszystko! — zawołał Walek. życie, położenie. zależność, potrzeba walki. więzy społeczne. formy. ludzie.

— Ale mój panie. odparł doktor. toby cię zupełnie uczyniło niezdolnym do życia. i niezdolnym do zwycięstwa! Taki stan duszy. to istotna choroba? Jakże ona przyszła? z kąd? wyniosłeś ją z kolebki. czy zacerpnałeś w zepsntem powietrzu. które cię otaczało?

— Alboż wiem! ze świadomością nie byłem badaczem i obserwatorem własnego wzrostu i formacyi. Sam dla siebie jestem zagadką. to wiem. że się czuję nieszczęśliwym. chciwym wszystkiego. do niczego może niezdolnym, chyba myślą... czynu mnie nudzi i zniechęca, niecierpliwi opór, przygnieciony silami. które mi pogardzam, oburzam się. nieumiejąc potargać ich więzów.

Walter słuchał ciągle chciwie. W tej chwili wyszli byli z za ogrodów. szersza między płotami droga wiodła ich wprost do dworku zajmowanego przez Waltera.

— Chodź pan ze mną. odparł chłodno. będziemy mówili o tem. Nie gardź pan jak wielu rówieśników starością. ani zetknięciem się z nią. choćby ono zrazu walkę poglądów wywołać miało. Z pewnością wcale różnie zapatrujemy się na świat. a mimo to przyjsię

możemy do pewnego porozumienia. Czyś pan kiedy pracował nad sobą? — zapytał.

— W jakim to rozumieniu pan mówisz? — rzekł Walek. pracowałem wiele, bo chciwy byłem wiedzy, ale nic mnie nie zaspokajało, rzucałem się na pastwę coraz nową, wiecznie głodny.

— Nie mówię o tem, pytam czyś pracował nad złamaniem i poddaniem sobie woli własnej? czyś opanował człowieka duchem? rzekł Walter.

— Nie, bo byłem i jestem tego przekonania, zawołał Luzziński, że instynktom własnym potrzeba puścić cngle, bo one są wskazówką przeznaczeń.

— Do pewnej miary może, zawołał Walter, ale przekroczywszy ją, wpada się w fatalizm i w szal może, naówczas wszystko się wydaje niesprawiedliwionem, i człowiek pędzi ku przepaści.

— Ale w przepaści czeka go śmierć, nicość, sen Hamletowski bez marzeń — i koniec.

Zamilkli, Walter był zafrasowany, stali na progu dworku.

— Chodź pan do mnie, rzekł, i przyjmiesz czy nie, co ci powiem, posłuchaj.

Doktór zapalił świeczkę, i wprowadził przez sień zarzuconą do tego pokoju, w którym przyjmował Mylinsa. Walek nie chciał okazać zdziwienia, ani nawet zajęcia nagromadzonemi tu przedmiotami, rzucił na nie okiem, i na podanem krzeselku usiadł.

-- Mimowoli zaczęliśmy o najważniejsze zadania życia, rzekł powoli Walter, stanęliśmy u granicy, po za którą nmysl nie przechodzi, bić się tylko i rozbić o nią może. Pan z młodzieńczem zuchwalstwem mijasz co pod stopami, a chciałbyś chmury dłonią pochwycić. Tymczasem życie wymaga przejedwania się z rzeczywistością do pewnego stopnia. I są dwa żywoty człowieka, z których on jeden sobie wybrać może, albo w społeczeństwie stać się jego częstką powolną, uległą, spokojną, zgadzającą się z warunkami bytu, które ją otaczają, albo stanąć po za niem, wyrzec się rodzi-

ny, uczucia stosunków, oddać nauce, badaniu, życiu ducha... Jedno z dwojga.

— Ja bym dodał, rzekł szydersko Walek, trzeci rodzaj życia. w walce z ludźmi i ze światem.

— To nie jest trzeci rodzaj życia, bo to nie jest życie. odparł Walter, jest to trzepiotanie się ptaka. którego sidło trzyma za gardło.

— W ten sposób potrzebaby geniuszowi milczeć. przykroić się do drobnych kształtów pospolitych ludzi, i abdykować.

— Nie, rzekł uśmiechając się Walter. prawdziwy geniusz zwykle dobrowolnie przywdziewa szatę szarą. idzie z robotnikami na pole. ale głązy. które oni w dziesięcin dźwigają. podnosi na dłoni. drzewa wyrwa z korzeniem. i potem poznać się daje — czynem nie słowem. Słowo! tę apotezę czynu. w którym się on odbić powinien. dzisiejszy wiek wybrał sobie za godło, za narzędzie i nadnżył go, i przechwalił je i sponiewierał zarazem. Wszystko też dziś w słowo przerasta. i na słowie się kończy. Widzimy w sprawach bezsilność jak największą. której towarzyszy potęga słowa niezmierna. Z wielkich ludzi wpływ wieku porobił wielkich retorów. A im naród który na drodze ducha wieku zaszedł dalej, tem też w słowie zawarł, lnb chciał zawrzeć więcej. Patrzcież! ilekroć obietnice wielkie chce ziścić, ręce mu opadają, niemocen jest. niezdolny. Pan wierzysz w słowo, nieprawdaż, i także do czynu niezdolnym się czujesz? — zapytał doktor.

— Prawda, rzekł nieco upokorzony Walek, spuszczać oczy.

— Powtóre. abym chorobę waszą bliżej wam samym uprzytomnił. odgadując jej symptomata. mówił Walter, badając go wzrokiem przeszywającym. powtóre... wy chcecie życiu jakimś sposobem sztucznym dać najprzód wszystkie do działania narzędzia, nim do czynu przystąpić. Mówicie sobie. zyszcę lnb dobiję się bogactwa i mienia. przewagi w społeczeństwie jakkolwiek bądź. a dopiero potem działać zacznę. Otóż w ten sposób nie idzie się wcale do czynu, ale do bezczynno-

ści. Dobry rzemieślnik jest właśnie ten, który własnymi rękami potrafi uknąć sobie narzędzia pracy. Kto w pocie czoła nie dobił się grosza, wziętości, imienia, ten ich użyć nie potrafi. W darach losu jest jego sztyderstwo, podaje on pieszcząc wszystko, ale to narzędzia kruche, połamane i zardzewiałe...

Walek zupełnie zamilkł. ostatnie wyrazy dotknęły go tem mocniej, że przed nim samym odsłaniały duszy jego tajniki, przestraszył się prawie. Prawdzie tych słów chciałby się być sprzeciwić, a nie mógł. zmieszany nie wiedział już co począć, gdy Walter, jakby ulitowawszy się nad nim, zamilkszy, zwrócił rozmowę nagle.

— Ale o tem wszystkiem, rzekł, młody mój przyjacielu, stokroć jeszcze mówić będziemy mieli zręczność. Są to zadania niewyczerpane, głębokie, i bardzo dobre na długie wieczorne rozmowy dwóch samotników. Zwróćmy się do potoczniejszych rzeczy. Czy myślisz pan w miasteczku pozostać?

— Sam nie wiem, rzekł dosyć nieśmiało Luziński, który zmierzyszy siłę swego przeciwnika, wiele stracił ze zwykłej zarozumiałości. Położenie moje zmieniło się tak nagle, że nie mogę się jeszcze opamiętać nie mógł.

— Ales pan skończył nauki? — z uśmiechem dodał Walter, choć nanki się nigdy nie kończą, a u nas, gdy kto z niemi rozbrat bierze, nazywa się, że je skończył.

— Otóż ja, odparł Luziński, wedle pospolitego wyrażenia je skończyłem, ale chciałbym pracować.

— Co pana nęci głównie?

— Literatura, rzekł Walek.

Była chwila milczenia, doktor na pozór bardzo ostygły, przypomniał sobie, że gościa wedle obyczaju krajowego, niczem nie przyjął — poszedł do szafy, powtarzając kilkakroć — literatura! i dobył z niej plesniałą nieco flaszkę.

— Wypijesz pan kieliszek tego wina, retour des

Indes? zapytał. Ma być przedziwne. ale ja winą nie lubię.

To mówiąc nalał kielich i postawił go przed Walekiem, jeszcze raz powtarzając:

— Literatura!

— Tak. rzekł po chwili. rozumiem co pan nazywasz literaturą. ale Bogiem a prawdą — chcąc być w całym znaczeniu literatem. potrzeba zostać encyklopedystą. nanczyć się wszystkiego, aby panować nad wszystkim. Literatura w swej najłżejszej formie dotyka nieustannie najważniejszych zadań naukowych. życia, filozofii. nawet rzemiosł i techniki. Ktokolwiek nie dosyć zbrojny pracą wielostronną. wybrał się w tę drogę. zdradza swą nieświadomość na każdym kroku. błądzący siebie lub drugich. Jeżeli chce być sumiennym i ograniczy się kółkiem szczupłym nabytej wiedzy. będzie jednostronnym. monotonnym. Chcesz pan być literatem. a zatem wiesz. że masz na zostanie nim pracować do śmierci. usque ad finem.

— A intuicya? spytał Walek.

— Przepraszam pana. pij pan to wino: wiesz pan czym jest intuicya? Jest-to określenie tego stanu ducha, z którego sobie psychologia sprawy nie zdała. Ale jak się do intuicyi przychodzi? poprzednią pracą i ogromną gimnastyką myśli. Tylko gibki i wypróbowany umysł odgaduje.

— A talent! spytał znów Luziński.

A talent? to może tylko oszczędność czasu. nie siły. Talent daje prędzej pochwycić. i dla tego tylko— więcej.

A geniusz? dodał wreszcie — ciszej chłopak.

A geniusz — to zagadka. to choroba, ale z pewnością rzecz tak osobliwa. że na długie wieki jedną taką spotykamy kometę.

Rozmowa stawiała się niepodobieństwem. Luziński w duchu sam przyznawał. że jej z doktorem nie mógł utrzymać. Zadania dlań nowe. Walter widocznie miał już gotowemi. obrobionemi rozmyślaniami długiem. Może w skutek tego umiarkowania jakie okazał

Luźniński. doktor szczególną jakąś zdawał się dlań mieć sympatyą. — Sprowadził sam rozmowę na inne przedmioty. począł rozpytywać. słowem. njmował tak Warka. jakby chciał go do siebie zbliżyć i stosunki z nim ponfalsze zawiązać.

Młody człowiek — słusznie czy nie. przypisał to w duchu wpływowi doktora Myliusza, który sam czuwał nad nim niemogąc. znać go temu zastępcy pilno polecił.

Trudno określić jakie ta rozmowa w ogóle zrobiła wrażenie na Luźnińskim — był nieco nią przybitym. ale zajęтым mocno. myśl jego ze ścieżek powszednich wyżej nieco się wspięła.

— Jestem sam. rzekł nareszcie, żegnając go Walter. Mylius mało ma czasu żeby mnie odwiedzać. gdy nie będziesz miał co lepszego do czynienia. przyjdź do mnie. Mogę ci być radą i pomocą. nie gardź. proszę. sercem życzliwem.

Luźniński powiedział kilka słów grzecznych i wyszedł. ale już na progu ozwała się nałogowo stara дума.

— Gdybym był pospolitym człowiekiem. jnsćić bym go tak nie zajął? rzekł w duchu. a on się zna na ludziach.

ROZDZIAŁ III.

Gdy wrócił do restauracyi pod Różą, już pani Pauze znudzona długiem oczekiwaniem na niego, poszła była na spoczynek. w sali grali jeszcze w bilard nieznuzeni sekretarz z pocztmistrzem i oberkelnerem do puli: ale nie chcąc się przyłączyć do ich towarzystwa. Luźński wziął klncz i poszedł na górę rozmyślać. Ci panowie wydali mu się za poziomemi istotami. restauracya strasznie lichą. pokój z frankami nieosobliwym. a twarz napuchła gosposi. zwiędła. Rozmowa nastroiła go jakoś do innego świata.

Chwilami tylko. gdy obok stanął obraz ubogiej chaty Luźńskich. straszego dziada. nędzy i npadku. dreszcz po nim przebiegał. Z pod tej strzechy przejście do gabinetu Waltera. wydawało mu się jakby marzeniem nieprawdopodobnem.

Długo chodził po swoim pokoju. a że ten znajdował się wprost nad sypialnią przyjemnej gospodyni. nic dziwnego. iż niespokój ten ducha swojego lokatora. niemogąc zasnąć. przeklinać musiała.

Inwentarza myśli pana Walentego spisać nie jesteśmy w stanie — wiemy tylko. że jak w starym lamusie było tam wszelkiego najróżnorodniejszego sprzętu bez miary. i w wielkim nieładzie rozrzuconego.

Najdroższe rzeczy ocierały się o najpospolitsze. najdziecinniejsze myśli o najwznioslejsze idee niedosnute i rzucone.

Powoli sen mgłą marzeń osnuł to wszystko. pokrył i z za gęstych kłębow jej. nic już widać nie było,

duśa odpoczywała, fantazyja. jak dziecień co się wy-
brykało, twardym snem leżała spowita.

Gdy się pan Walenty obudził, słońce i pani Pau-
ze oddawna już wstały — ruch był w domu zwykły,
trzeba się było śpieszyć na kawę do gosposi. której
grzeczność jeszcze Luzzińskiemu była potrzebną. Ubra-
ny zbiegł. przepaszając tym razem znowu zapuchłą
panią Pauze. Jóźka nie zawołana przyszła z kawą.

— Zkądżeś pan tak późno wczoraj do domu powró-
cił? spytała kwaśno jejmość.

— A nie wydasz mnie pani?

— Cóż to za sekreta?

— Poznałem się wczoraj z tym nieznanym. który
mnie u siebie zatrzymał.

Pani Pauze spojrziała jakby niezupełnie dowie-
rzająco.

— Słowo pani daję. Jest-to bardzo uczony czło-
wiek — dodał Walek. a dom jego wygląda na bibliote-
kę i muzeum.

— Cóż to za jeden?

— Stary doktor. odpowiedział Luzziński. więcej nie
wiem.

Pani Pauze głową kiwała.

— Musi być bardzo bogaty.

— Nie żonaty? naiwnie spytała gospodyni.

— Nie żonaty. bez rodziny. cały zatopiony w książ-
kach.

— Widziałam go zdala. nie wydał mi się tak sta-
rym.

— Ale ma lat pewnie pięćdziesiąt. choć się dobrze
trzyma.

— To by się jeszcze mógł ożenić — szepnęła pani
Pauze po cichu.

Kobiety w ogóle. w mężczyźnie widzą tylko mę-
ża. — ci co się na mężów nie zdali. są jak puste orze-
chy na śmiecie.

Walek przypomniałszy sobie. że powinien być
na przedmieściu rano. porwał prędko za kapelusz. po-

śpiech ten nie podobał się gospodyni, która kwaśną zrobiła minę.

— A jak panu pilno! i dokąd-że? znowu do tego doktora?

— Nie, pani, mam interesa.

— Sercowe, szepnęła jejmość.

Walek ruszył ramionami. — Na te. czas! rzekł żywo i wyszedł.

— Jednak bym ciekawa była wiedzieć dokąd tak poleciał? mówiła w duchu piękna wdowa. Pomyslała chwilę, kazała przywołać Hanę i coś jej poszeptala na ucho. W chwilę później. narzuciwszy chustkę na głowę. dziewczyna wybrała się na miasto, a gdy się jej Józka spytała dokąd idzie — uśmiechnęła się tylko figlarnie. Nie śmiano pytać ulubienicy jejmości.

Walek wysliznął się na wczorajszą ścieżynę za ogrody, i tamtędy niepostrzeżony dostał się na przedmieście. Zdala już przed chatą postrzegł na płocie stojącą dziewczę. które zobaczywszy go. szybko zaczęło dawać mu znaki. aby szedł prędeej, a odebrawszy skinienie, znikło, kryjąc się w chacie.

Walek pośpieszył wewnątrz. W pierwszej izbie czekała nań dziewczynka niby przybrana w trochę świeższe łąchmany. do zgrzebnej koszuli przypięła sobie czerwoną różyczkę u szyi. a w zblakłe włosy wpięła kwiatek zerwany w ogrodzie.

Wielkimi oczyma patrzała na Waleka i pokazała mu alkierz staruszki.

Wszedłszy tu. nic zrazu nie dojrzał Luziński. tak było ciemno. po chwili dopiero, oczy wiedzione głosem. dostrzegły na tapczanie leżącą kobietę. której twarz drobniuchnemi zmarszczkami jak siatką była okryta. Siwe. małe. czerwono obramowane oczy starej. pilno się w niego wpatrywały.

— Tos jegomość Luziński? zapytała go słabym i jakby wylekłym głosem.

— Tak jest, odpowiedział.

— Tutejszy?

— Urodziłem się tutaj. ale ojca ani matki niezna-

łem, nic o nich niewiem. Z metryki tylko czytam, że był Marek.

— Marek? kiedyż to było, kiedy?

— Dwadzieścia i dwa czy trzy lata.

— Co się z nim stało?

— Niewiem.

— A z wami?

— Doktor wziął mnie na wychowanie.

— I nie wam nie mówił o rodzicach.

— Ani słowa. Pytałem się go nieraz o nich, zbywał mnie tem, że nic nie wie. W papierach po matce, widzę, że imię miała Teresa i że mieszkała przy krewnych w Turowie.

Spojrzał na starszszkę, której oczy łzami były zaszyły, w milczeniu ocierała je koszną grnbą, chciała niby coś mówić i wstrzymywać się zdawała niepewna. Skinęła na dziewczkę, stojącą w progu i przysłuchującą się ciekawie, aby odeszła.

— Jaby wam coś powiedzieć mogła może — odezwała się drżącym głosem — ale po co wam to, na co się przyda wiedzieć?

— Mówcie, mówcie, proszę was, zawołał żywo Łuziński — ja muszę, ja powinienem znać przeszłość rodziców.

— Ale na miłość Bożą nie zdradźcie mnie, żem wam to mówiła! odezwała się stara.

— Nie lękajcie się, nie lękajcie.

— A gdy mnę, dodała, dajcie na Mszę Świętą do Fary za duszę moją.

Tu zamilkła.

— Wasz ojciec Marek, co tu darmo zapierać, był najmłodszym bratem mego męża. Stary mój, waszym stryjem. Rodzice dawno pomarli, bieda jeszcze nie była w dom wlaźła, tylko jedną nogą. Trzech ich było. Marek najmłodszy, a był i przystojny i zdatny i żwawy, tylko że mu się w chacie pracować nie chciało. Poszedł na gwałt do szkoły, mówili, że się dobrze uczył, ale i szalał też dobrze, a niesłuchał nikogo. Mój go, jako starszy, okrutnie karmił, poczęli się jeść, kłó-

cili bezustanku, aż Marek zmusiwszy braci do podziału i zabrawszy swoją schedę w groszu. — cośmy się nań zadłużyli żydom, a to nas zgubiło — poszedł w świat. Nie było o nim słychu długo. tylko mój. że go nie lubił, mówił ciągle: — zobaczycie, że się szubienicy dobije. Jam go jak mogła broniła. Naraz dają nam wiedzieć, że jest w Turowie u hrabiów. Myśleliśmy, że albo za pisarza poszedł. albo do ekonomskiej służby. bo był zdolny i szkół trochę liznął. ale mój przypada raz i powiada: — wiecie czego się dorobił? a oto liberją wziął i lokajsko służy. Choć to może nic złego i na dworze talerze odmieniać. bo i z takiej biedy ludzie rosną. wszelako nam było sromotno. Mieszczanie na tę służbę nie idą ochotnie. a co Marka, to nam żal było. Aleśmy myśleli. że już wielka bieda koło niego być musiała i straszny niedostatek i desperacya, kiedy się w to zaprzął. Zналиśmy go. że był strasznie dumny. opryskliwy. nie tykaj go. a wiedzieliśmy jak mu to w tej poniewierce musi być strasznie ciężko. Ano wiele czyni kto musi.

Walek pochmurniał, oczy spuścił w dół. ojciec jego lokajem. serce mu biło sromem okrutnym.

Stara mówiła dalej.

— Nie prędko się potem wszystko wydało, albo i nie wszystko. Ja wam tyle powiem co wiem, bo reszty odgadywać trudno. kiedy się na to nie patrzyło.

Była na dworze w Turowie. mówią. daleka krewna czy powinowata hrabiów. panna Teresa. a miała być bardzo piękna na podziw i bardzo dowcipna. że koło niej chmury ludzi biegały. Otóż i Markowi przyszło zadurzyć się w niej. a oszaleć tak. że gdy inaczej zbliżyć się do niej nie mógł. poszedł tam lokajsko służyć. Znać może się z panną porozumieli. niewiem. Ino to pewna. że ktoś im potajemnie ślub dał. ale nie było dokąd i jak się schronić i co dalej poczynąć. Miłość zawsze ślepa. w pierwszej chwili niewidzi nic, dopiero się jej oczy otworzą aż po czasie.

Co się tam stało dalej, już ani ja, ani pono nikt nie wie. Na dworze bawił jakiś krewniak Turowskich,

młody człek, który się też w Teresie kochał. Jednego rana Marek znikł, a owego znaleźli w progu oficyn, pod oknami prawie Teresy — zabitego. I nie było wątpliwości, iż go, z zazdrości czy sprawiedliwej czy nie, zamordował, bo się niepokazał więcej.

Wydało się sekretne zamążpójście Teresy i Tn-rowsey precz jej kazali iść ze dworu. Przybyła słysząc do miasteczka biedna, w nędzy, i tu zmarła.

Więcej by pono doktor wam mógł powiedzieć, ja tyle tylko wiem.

Mówiła, a Luziński pogrążony w myślach, z dłońmi na twarzy, rozplomieniony zemstą jakąś niezrozumiałą, słuchał milcząc. Nie dobyła mu się łza na powieki, pił gorycz tych dziejów zapomnianych i czoło oblewał się wstydem, serce ścisnęło gniewem na świat i ludzi — za co? on sam wytłómaczyć by nie umiał, za to, że los uczynił go dzieckiem niedoli, grzechu i występku! Chciał się dowiedzieć przeszłości, i odsłoniwszy rozek jej zasłony — zadrżał.

Teraz pragnąłby był może wrócić do wczorajszej nieświadomości, tak twarda rzeczywistość przechodziła wszelkie domysły, swą szkaradą i zagadkowością.

Pojał on dla czego Mylius nigdy mu nie przez miłosierdzie o rodzicach nie wspominał — dla czego młodzieńczych jego marzeń tym skrwawionym nie chciał przykryć całunem.

Gdy stara mówić przestała, nie rzekł słowa, i jak pijany zataczając się, wyszedł z chaty. Dziewczę patrzyło nań z politowaniem i długo wzrokiem ścigało, gdy się puścił sam, niewiedząc dokąd idzie, drogą ku cmentarzowi.

W takim usposobieniu ducha, nie widzi się nic, nie myśli o niczem. — ból nie dozwala oprzytomnieć — nie postrzegł też wcale Luziński, że wczorajszy jego znajomy i przyjaciel doktor Walter jakimś dziwnym wypadkiem znajdował się z przeciwnej strony ulicy, widział go wchodzącego i wracającego z chaty, ale nie chcąc zapewne zawiązywać rozmowy, cofnął się i skrył, dając przejść Walkowi.

Zdawało się npokorzonemu tą powieścią przeszłości, iż wrażenie na jego twarzy ludzie czytać będą. nie poszedł więc do miasteczka. lecz pociągnął drogą około cmentarza wiodącą w pole ku Turowi. Instynktowo czuł. że czas. rozwaga. zresztą sama siła cierpienia złamie je. ukoł i że z pogodniejszą twarzą. panem siebie. powrócić będzie mógł do miasta. gdy ochłonie.

Okolica po za cmentarzem. kędy gościniec szeroki. piaszczysty prowadził na Turów. była dosyć smętna i pusta. Drogę wysadzono niegdyś brzoza. które powychyłane dziwnie w różne strony. rosły. czerpiąc więcej życia z powietrza. niż z bezpłodnej. jałowej ziemi. na której tylko piołuny. kupki macierzanki i nbogie skabiozy gdzieniegdzie porastały. Dzień był skwarny; koniki polne szeleściły w powietrzu skrzydłami. cisza zalegała szeroko okolicę i ptaszęta się nawet ozwać nie śmiały. Wkrótce gościniec wtoczył się w sosnowy bór. równie opustoszały i cichy. w dali na krzyżujących się drogach widać było gospodę. Ale Walek idący śpiesznie. byle iść i złamać się trudem. nie widział nic przed sobą i nie postrzegł nawet. że przed austeryą stał pochylony powóz. od którego wyprzeżono konie. Na kłódach drzewa. nieopodal od niego. siedziały dwie kobiety. a trzecia już nie młoda. chodząc lamentowała nad wypadkiem. Wedle wszelkiego podobieństwa. Luziński byłby uniknął niepotrzebnego spotkania. do którego wcale nie był usposobionym w tej chwili. gdyby mógł je wcześniej przewidzieć. Ale pogrążony w myślach. nieopatrzył się gdzie był. aż o trzy kroki od tych pań. które już od dosyć dawna przypatrywały mu się z wielką ciekawością.

Nie staraliśmy się zbyt troskliwie odmalować czytelnikom jak wyglądał pan Luziński w nadziei. że się z charakteru młodzieńca. powierzchowności domyśla. Był w kwiecie wieku — i choć nie piękny. ale twarz miał charakterystyczną. nie szkodził jej wyraz ironii jakiegś i szyderstwa i oczy ciemne. bystre. przezywające. Z ciągłego ruchu nst. wejrzeń. czoła. które się fałdowało i wyglądało. poznać było łatwo duszę

namiętną i charakter niespokojny — ale dla wielu ta oznaka burzliwości wewnętrznej nie jest odstraszającą — wiele — zwłaszcza ciekawych istot niewieścich. woli te fale miotane wichrem namiętności, niż spokojne zwierciadła. w których się swojemu własnemu niebios szafirowi przypatrywać mogą.

Walek nie miał ani zbyt arystokratycznej powierzchności. ani nadto pospolitej, roztropność i przebiegłość czyniły jego fizyognomię sympatyczną w pewnej mierze. Ubiór naostatek nie będąc zbyt wytwornym. dowodził przynajmniej pewnej zamożności i oryginalnego smaku. Walek nosił go z zanedbaniem wcale niezłego tonu. choć może za daleko posmiętem.

Jeszcze był dosyć daleko od tych pań. gdy korzystając z chwilowego oddalenia się podżyłej osoby. wyglądającej na guwernantkę. lub ciocię. — starsza (poznaliście już pewnie dwie hrabianki z Turowa). odezwała się do młodszej:

— Patrz. patrz. los prowadzi tu jakiegoś jegomości młodego. wcale przyzwoicie wyglądającego, zawiązuje rozmowę, intryguje go. interesuję. chwytam zręczność. i każe mu się wykrasć.

Emma się rozśmiała głośno.

— A! moja ty Izo, do czegoż ty już z tą swoją manią zamążpójścia nie dojdiesz. Wszak to może być Bóg wie kto... może lokaj kanonika. albo policyant z miasteczka?

— Ale nie, ja mam przeczucie, odparła Iza. to jest bardzo przyzwoity człowiek. to jest istota przeznaczona. predestynowana. Patrzaj-że tylko, idzie jak jasnowidzący. pędzi nie wiedząc dokąd. i ani się domyśla. że los. fatalizm. gna go tu do starej panny. której koło w powozie na to się tylko złamało, żeby on mógł ją tu dogonić, poznać i... zaślubić. Jakże ty możesz tego nie czuć. że w świecie wszystko się dzieje w ten sposób, jakby od wieków było osnute i przewidziane? Napróżno my sobie wystawiamy, że coś możemy sami, miota nami burza, i rozbija gdzie się jej podoba. Patrz, wcale nie brzydki, ale dziko mu

z oczów patrzy, dziwnie zdaje się pogrążony w siebie, zrozpaczony. Może szedł się powiesić, łatwiej się ze-
chce ożenić.

Emma śmiała się, ale obie nie spuszczały oka z przybywającego, który dotąd ich jeszcze nie zobaczył. Stara ochmistrzyni krzątała się około powozu. była to czcigodna pani Osuchowska, od dzieciństwa towarzysząca hrabianek, która teraz tę tylko missyę miała, że im na spacer i do wyjazdu służyła jako opiekunka i przewodniczka.

Walek Luziński szedł aż do samej niemal kłody, na której panny siedziały. i tak się zamyslił, że dopiero ułyszawszy śmieszek tłumiony panny Emmy, podniósł przestraszoną głowę. i spojrzał wielkimi zdziwionemi oczyma. Na myśl mu przyszło, że należałoby się uklonić, powoli zdjął kapelusz. pochylił głowę, dojrzał powozu złamanego, poznał nawet starą landarę Turowską i natychmiast osmł projekt ofiarowania swych usług.

Zyskiwał na tem przeważną dystrakcyę w smutku. zresztą, może wedle słów Izy. była w tem wola przeznaczenia. Odzyskał przytomność. zimną krew i prawie swobodę umysłu.

— A! przepraszam. rzekł, wpadłem tak... panie daruję. Jakiś przypadek! możebym mógł być w czem użytecznym?

To mówiąc spoglądał na powóz. i na panie. Iza śmielsza. i tego dnia w awanturniczym nieco humorze. postąpiła parę kroków naprzeciw niego, pilno mu się przypatrując. Pół szydersko. pół seryo odezwała się wskazując na pochyloną landarę.

— W istocie możesz nam pan być bardzo użytecznym. starając się zapobiedz, aby nam prędko nie naprawiono powozu.

— Jakto pani? — zapytał zdumiony Walek.

— Jest-to nasza tajemnica. odezwała się hrabianka. wolęmy sobie posiedzieć w lesie. choćbyśmy grzybami karmić się miały. niż powracać się nudzić do domu.

— A! panie się nudzą! — rzekł Luziński, jak szczęśliwy, kto się nudzić może!

— Co pan mówisz? — przerwała Iza. której oryginalnie rozpoczęta rozmowa bardzo przypadła do smaku, jak to być może?

— Tak jest, rzekł Walek. tylko szczęśliwi ludzie się nudzą. nieszczęśliwi prawdziwie męczą się.

— A nuda nie jest męczarnią?

— Nuda jest czczością, pragnieniem. głodem duszy.

— Pan jej nie doświadczasz widać?

— Nie. pani. na to nie mam czasu.

— Pozwoli się pan spytać, kogo mamy honor?

— A! pani, honor mnie spotyka, ja jestem człowiekiem bez nazwiska. bez stanowiska, bez tytułu, bez zatrudnienia. i z mnóstwem podobnych bez, to jest znaków ujemnych.

— Skromność. która jeszcze więcej zajmującym pana czyni. odezwała się Iza śmiejąc. Ale cóż pan o tej skwarnej godzinie robisz w lesie?

— Zadajesz mi pani nader trudne do rozwiązania pytanie. rzekł ośmielając się coraz bardziej tonem rozmowy Walek. Mogę poprzysiądz najuroczyściej. że niewiedziatem dokąd szedłem i po co.

Iza bystro spojrzała na Emnę, jakby jej powiedzieć chciała. — A widzisz?

— Miałem na barkach ciężar jakiś smutku. którego pozbyć się potrzebowałem, poleciałem z nim w pole.

— I zgubiłeś go pan? — spytała hrabianka.

— Jeszcze nie. ale trochę o nim zapomniał.

— Powiedz - że pan komplement, masz na niego miejsce.

— Nie umiem prawić komplementów. rzekł Walek uśmiechając się ironicznie. Jako człowiek znaków ujemnych. nie należę do tego świata. w którym komplementa latać zwykły, nawykłem owszem do prawie-nia niegrzeczności.

— A! więc jest świat taki?

— Jest pani świat walki. w którym ludzie chodzą jak jeże kolcami nasróżone.

— To nas pan pokaleczysz? — śmiejąc się rzekła Iza.

— Nie. odparł Walek, bo nie mamy z sobą żadnych stosunków. a wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, drugi raz w życiu nie spotkam hrabianek Turowskich.

— A! pan wiesz już kto my jesteśmy?

— Któżby pań nie znał? całe miasteczko zna dwór Turowski. choćby z kościoła.

— Otóż masz. szepnęła Iza. cała tajemnica. którą otoczyć się chciałyśmy — stracona. cały urok nieznanym — zgubiony. Pan masz tę wyższość nad nami, że nas znasz, gdy my nie wiemy dotąd...

— Niech pani wierzy. że nie warto tej tajemnicy odsłaniać, straciłbym na jej odkryciu. Jestem nic nieznaczącym zero dotąd... nic nie mówi moje nazwisko...

Iza poczęła mu się przypatrywać uważnie, śmiałość z jaką odpowiadał. wielce się jej podobała. postąpiła krok bliżej ku niemu.

— Ponieważ chcesz pan dla nas zostać pięknym nieznajomym z romansu Walter Scotta, zgoda na teraz. Ale biorąc na siebie tę rolę. powinienes wiedzieć, że ona wkłada pewne obowiązki. Nieznajomy po spotkaniu w lesie, ukazuje się następnie w nowej i świetnej postaci.

— Toby było dla mnie niepodobieństwem. rzekł uśmiechając się Walek. nie należę do szkoły Walter Scottowskiej. która jest przestarzałą. ale do Dumasowskiej... i gotów jestem powtórnie gorzej się przedstawić. niż po raz pierwszy... jako sierota, bez rodziców. jako Paria. jako diawotwór...

Tu westchnął. łzy mu się w oczach zakręciły. wspomnienie istotnego jego losu krwią mu zalało twarz, chwycił się za głowę i odwrócił żywo.

Wszystko to tak było niespodzianem. dziwacz-nem. że pauna Iza niewiedziała co myśleć. sądziła że to jest żart. a usłyszała jęk. Walek oczyma osłupiałemi patrzył nie widząc w dal.

— Co panu jest? co panu jest?

— Przebacz pani, rzekł głos zmieniając, w istocie chciałem, myślałem, że potrafię pokryć wielką boleść płaszczem żartu, ale ona górę wzięła...

Nastąpiło przykre milczenie, scena rozpoczęta tak ochoczo, nagle zmieniła się w tragiczną prawie. Iza uczła się mocno zaciekawioną i zobowiązaną do pocieszenia dziwnego tego szaleńca. Emma napróżno ciągnęła ją za suknię i szeptała:

— Chodźmy, to może waryat.

W istocie ostatni wybryk zakrawał na szaleństwo, ale Iza nie mogła tak łatwo wyrzec się swojego bohatera predestynowanego; ścigała go oczyma.

Luziński odszedł kilka kroków, zdjął kapelusz, długie włosy otrząsnął na barki, poszedł do cebra przy studni, i zaczerpując dłońmi wody, zlał rozpalone czoło, potem niemy padł na oddalony stos drzewa, i ze spuszczoną głową milczący zadumał się.

— Nie, nie może być waryat, zawołała Iza, ale widocznie jest pod ciężarem jakiejs boleści, wypadku, nie wiem... nie jest szalony, jest oszalały.

Ochmistrzyni, pani Osuchowska, która całej scenie zdala była przytomną, równie z pannami zajęła się losem młodzieńca, podeszła ku niemu i spytała:

— Co to pan cierpiący?

— Tak pani, mocno.

Starnszka, której kolońska woda służyła za panaceum, podała mu flaszkę odkorkowaną.

— Bardzom pani wdzięczem, to mi nie pomoże, rzekł Walek.

Pani Osuchowska domysliła się po staremu, że pewnie zjadł co niestrawnego nieborak, i cicho, skromnie spytała:

— Czy pan co zjadł?

— Zjadłem pani boleść wielką, której nie mogę strawić, rzekł zniecierpliwiony Walek, zrywając się, przepraszam.

Ochmistrzyni ruszając ramionami odstąpiła. Luziński poszedł jeszcze raz czoło obmyć, i jakby uspokojony, powrócił do hrabianek.

— Niech mi panie darują, rzekł spokojnie zupełnie. moje niedorzeczne postępowanie. Nie umiałem być panem siebie. W istocie wybiegłem z miasteczka pod wrażeniem wielkiej bólesci, starałem się ją ukryć, buchnęła ze mnie. ale już wszystko wróciło w karby.

— Bardzo mi pana żal, odezwała się Iza, tem więcej, że nie wiedząc co boli. trudno dać lekarstwo.

— Serce pani. ale serca bólów jest rodzajów tyle, a na wszystkie jedno stanowcze lekarstwo — śmierć, i jedna prawdziwa ulga — czas.

— Nie sądź pan żeśmy płocze i szczęśliwe aż do nieposzanowania bólu. Któż mógł przewidzieć. że tak wesoło rozmawiając z nami. męczyć się będziesz? Współczucie daje prawa pewne. Mów pan. prosimy, kto jesteś? możemy ci być pomocą?

— Nie pani, pomocy obcej nie żądam, jest ona niepodobieństwem. przyjm pani podziękowanie tylko.

— To powiedz choć nazwisko.

Nie mogę, nie mam nazwiska. muszę się go dorobić... nie mam rodziny, nic. oprócz sieroctwa. Ale wierzę w to. że wola i praca wiele mogą.

— I szczęście, dodała Iza.

— W szczęście nie mam wiary, ale w upór i złamanie przeciwności.

Iza coraz bardziej, coraz śmielej przystępowała do Walka, dziwny obrót rozmowy wyegzaltował ją. — zdawało się jej, że w istocie ten nieznaomy mógł być człowiekiem przeznaczenia. Rysy jego twarzy zdawały się jej jakby gdzieś we śnie widzianymi, dźwięk głosu niby słyszany przed laty, nawet ruchoma fizyognomia młodzieńca, była jej sympatyczną, biło z niej i tryskało życie. Gdyby w wieku XIX zakochanie się było możliwem, powiedzielibyśmy, iż panna Iza się nagle zakochała, użyjemy jednak skromniejszego wyrażenia — zajął ją mocno.

Przez myśl jej przebiegło. że mogłaby być opatrzącością, pociechą. podać mu rękę zbawczą.

— Wszakże, odezwała się po chwili, choć napróżno Emma trochę wylekła usiłowała ją od rozmowy odcią-

gnąć, mógłbyś mi pan zwierzyć swą historję, nie mówiąc nazwiska. Wiesz kto jestem, nie zdradzę pana.

— Moja historia zamyka się w dwóch słowach. rzekł Walek podnosząc głowę trochę komedyancko do góry, nie znałem matki, nie wiem nic o ojcu, nawet czy umarł lub żyje, w pieluchach sierota wzięty byłem na wychowanie przez dobroczynnego człowieka, który będąc sam, a nie chcąc sobie kupić papugi, ani starać się małpy, ani obciążać psem, karmił i odziewał lalkę, co mu w wolnych godzinach szczebiotała. Nie mogę się skarżyć, było mi dobrze u niego, był łagodny, karmił łakociami i pieścił, nie myśląc, że los nie potwierdzi tych pieszczot. Wynczono miue wszystkiego, czego uczą dzieci, aby je przyjemnemi uczynić, nie tańcowałem gawota tylko, zresztą umiałem i inniem co potrzeba. Z tego wszystkiego wyrosłem znużony, znieczcierpliwiony, nieszczęśliwy, i jednego dnia pokłóciłem się z dobroczyńcą za to, że nadto był dobrym dla mnie. On mi pokazał drzwi, jam wyszedł, i oto historia skończona, idę.

Iza spojrzała nań z politowaniem.

— Czuć z mowy pańskiej, żeś pan mocno zabolał nad tem rozstaniem, czyni to honor jego sercu, dodała z francuzka.

— Myłisz się pani, o rozstaniu z opiekunem prawie zapomniałem, alem oszalał od innej trucizny, a o tej pani nie powiem.

— Bardzo mi pana żal, dodała Iza.

— Możem nie wart politowania! — odparł Walek, który chciał się przedać za tajemniczego bohatera, i ustąpił parę kroków.

Iza poczęła się przechadzać, ścigana wzrokiem przerażonej tem Ennuy, odwiodła powoli Waleka na stronę, przybrawszy postać obojętną. Twarz jej zbłądła, serce biło niezmiernie, czuła, że i na nią przychodziła chwila szaleń, ale oprzeć się pokusie nie umiała.

— Pan wiesz kto my jesteśmy? spytała.

— Wiem, odparł Walek spokojnie.

— Słyszałeś pan co o naszej rodzinie?

— Bardzo wiele — jeśli mi wolno to powiedzieć. znam położenie pań obu.

— Jest smutne. stanowczo rzekła Iza — widzisz pan dwie niewolnice przed sobą. Gdybyśmy potrzebowały pomocy. ręki męskiej. odważnego serca. czy.. czy mogłybyśmy rachować na was?

Walkowi w tej chwili stanął przed oczyma obraz ojca i tego trupa w progu pałacu Turowskiego. o którym usłyszał od starej. pobladł. zadrżał. słowa nie znalazł na ustach.

Zdawało mu się. że niewidzialna siła przeznaczenia ciągnie go tam. gdzie może sprawiedliwość krwi i pomsty czeka. że dziwny zbieg okoliczności pełną go tam może — na ofiarę. Wzdrygnął się. Iza patrzyła nań bacznie i zobaczywszy strach na twarzy. odwróciła się niemal ze wzgardą.

— Pan się boisz? spytała szydersko.

— Nie — pani. zawołał Walek — ale mimowoli. nieświadomą będąc mojego życia, dotknęłaś pani struny. która zatętniała bólem.

— Masz pan więc tajemnicę?

— Niestety! szepnął Walek.

— Dwa słowa jeszcze — dodała odważnie — czy obiecujesz mi?

— Wszystko co pani rozkażesz za obrębem Turowa, w Turowie... w Turowie...

Umilkł spuszczać oczy; a potem. jakby nabrawszy odwagi. rzekł stanowczo:

— Nie — nie — choćby w Turowie! jestem na rozkaz!

Zagadka podrażniła hrabiankę. ale jej nie zraziła. w tej chwili przestraszona Emma przybiegła ją odciągnąć gwałtem. lękając się nie bez przyczyny jakiego zbyt zuchwałego kroku. Iza miała ledwie czas podać rękę Walkowi. który ją ścisnął kłaniając się nisko i odeszła z siostrą. zaklinając ją na wszystko. by spieszyła do powoźni. W istocie powóz stał gotowym. pani Osuchowska nie mogła pojąć postępowania Izy, dwie hrabianki siadły co najprędzej, kłaśnięcie

z bicia się rozległo i tuman kurzu na gościńcu zakrył przed oczyma Luzzińskiego sen. który przemarzył na jawie.

Walek potrzebował sam przed sobą wypowiedzieć się z tego spotkania. rozmowy, zobowiązania. z tych wszystkich dziwactw. któremi go los obarczał tak nagle. niedając odetchnąć. — odszedłszy kilka kroków. padł pod drzewem.

Ledwie odetchnął wolniej. gdy naprzeciw. drożyną leśną idący z głową spuszczoną, ukazał mu się wczorajszy znajomy doktor Walter. Postrzegł on go zaraz i powitał.

— Osobliwsza rzecz. instynkt jakiś w jedną stronę kieruje nasze przechadzki, rzekł do Luzzińskiego. Byłem tu już od kwadransa w lesie. ale widząc waćpana w ożywionej rozmowie z hrabiankami. nie chciałem mu przeszkadzać.

— A! widziałeś pan.

— Ledwie nie słyszałem, rzekł. śmiechając się Walter z szyderstwem. bom się mógł domysleć co mogą mówić dwie stare znudzone panny, do wcale przystojnego młodego chłopca. którego wypadkiem w lesie spotkały. Za pozwoleniem. dodał. czy to pierwsze spotkanie?

— Pierwsze w życiu.

Doktor wolniej odetchnął.

— A, rzekł — to jeszcze nie ma niebezpieczeństwa.

— Jakież by mi grozić mogło? spytał Walek obojętnie.

— Bardzo wielkie — mówił doktor; to są hrabianki, panny bogate. nazwisko świetne. waćpan jesteś sierota i poeta. Mogłoby się stać. że z pomocą waćpana młodości. a ich znudzenia, związał by się stosunek. któryby poprowadził waćpana na awantury. a ich na nieszczęścia. — Jeśli by się pannę trafiło. nchowaj Boże! spotkać je drugi raz, spodziewam się. że będziesz wolał w las uciekać.

Walek ruszył ramionami.

— Waćpanu wolno jest niewiedzieć czem to, grozi.

Szanuję ja wybranych społeczeństwa, ale skarłałe ich rodziny, którym za całą spuszcznię pozostała duma. mam w obrzydzeniu i pogardzie. Wiesz co ta duma uczynić gotowa. aby się pozbyć natręta. proletaryusza. któryby ważył się podnieść oko za wysoko? Ta duma gotowa cię sprzątnąć z drogi w jakikolwiek sposób. a gdybys zwyciężył i jak chmiel przyczepił się do wypróchniałego pnia dębu, dąb z ciebie wyssie życie i zgniły opadniesz u stóp jego.

— Ale szanowny doktorze. ja się wcale nie myślę czepiać ani pni. ani gałęzi. bom te gałązki pół uschłe widział w życiu pierwszy raz i — wedle wszelkiego podobieństwa. drugi raz ich już nie zobaczę.

— Ale jak na pierwszy raz. byłeś waćpan bardzo śmiały? rzekł doktor.

— Ja. może — one. a raczej jedna z nich bardzo... Tłómaczę to sobie tylko tem, że muszą być nieszczęśliwe nad miarę.

Doktor zmarszczył brew.

— Nieszczęśliwe być może — ale w ich szczęścia i niedole nam ludziom innej krwi. rodu. plemienia. mięsząć się nie godzi. Nie wyratujemy ich. a zgubić możemy siebie.

Walek nic nie mówił. w tej chwili doktor i jego nauki były mu natrętnemi. wydał mu się nieznośnym.

— Wszak powracasz do miasta? zapytał Walter. jakby myśl jego odgadywał.

— Niewiem. potrzebaby może.

— Koniecznie. rzekł surowo doktor. choć waćpan ze mną. Samotność dla młodego na nic się nie zdała. legną się w niej mary; w świat, w życie czynne, w kąpiel gorącą! to lekarstwo. Ale chodź waćpan! nalegał. widząc że Walek się waha; chodź! ja cię tu nie zostawię. Szkoda i dnia młodości przedrzymanego pod drzewem.

Luziński ulegając prawdziwie niepojętemu dla siebie urokowi i sile Waltera, wstał powoli i milczący powłókł się za nim do miasteczka.

Pani Pauze zrobiła mu prawie awanturę, dowodząc, że chodził na przedmieście, aby w jakiejś chacie widzieć się z jasnowłosą dziewczeczką. Luziński o mało nie dostał serdecznego śmiechu i pomyślał, że może by należało wynieść się z mieszkania tak łaskawie mu z razu udzielonego, a zdającego się zagrażać spokojowi.

Pani Pauze miała oczy czerwone i postawę zagłiewaną. Ale co z sobą począć było i dokąd się wynosić?

ROZDZIAŁ IV.

Wypadki opisane w spokojnem od lat wielu miasteczku, w którym życie płynęło nigdy nie zmieniającem się i powodzią żadną nie grożącym korytem, cicho a prawidłowie — niesłychane robiły wrażenie. Ludzie nawykli spać a drzemać, budzić się z biciem zegaru na Farze i zawsze jedne w tych samych surdutach widzieć przeciągające przez rynek postacie, padali pod nawałem nowości i nadzwyczajności, które groziły zmianą fizyognomii tego najcichszego w świecie kąta. Apteka była sprzedana — i komuż? człowiekowi zagadkowemu, przybłędzie, którego nikt w świecie nie znał; Skalscy wynosili się na wieś, jakiś baron galicyjski stał w hotelu i siedział tu nie wiedzieć czego, znosząc się tajemniczo z różnemi osobami; Mylins, naj-

zaczniejszy w świecie człowiek. wygnał z domu wychowawca, którego kochał jak własne dziecko; sierotę przytuliła pani Pauze. Pan Roger Skalski chodził do Gorconiego. posłańców niezliczonych najmowano i wysyłano z listami, wreszcie sam doktor Walter który spadł z deszczem, którego nikt nie znał. o którym nikt nic nie wiedział — intrygował nawet najobojętniejszych.

Nie mogli się mieszkańcy uskarżać na brak zajęcia, a języki też pracowały od rana do wieczora. U pani Pauze sekretarz sądu i pocztmistrz odgadując te hieroglify społeczne. zagadywali się do godziny pierwszej w nocy. oberkelner zasluchiwał się, Hanka i Józka ruszały ramionami, nadstawiając uszka do dzimrki od klucza, pani Pauze wzdychała, Gorconi przybierał minę poważną i tajemniczą — nawet Mordko Szpetny domyślał się różnych w przyszłości kombinacyj. które odbyły wina szampańskiego mogły ułatwić i napisał zamówienie do pana Osterloff'a.

Wrzało i kipiało wewnątrz. choć miasteczko na pozór udawało spokojne.

Ze wszystkich może inżynier Szurma najobojętniej na to patrzył. nic go to nie obchodziło. śmiał się słuchając plotek. ruszając ramionami i stawał do swej roboty regularnie o zwykłej godzinie. Odprawiwszy dosyć niegrzecznie Walka, który chciał się do niego wprowadzić. nie widział go już więcej. ale o losach jego i obrotach był bardzo regularnie uwiadomianym. równie jak o codziennej miasteczka kronice.

Dworek najęty przez Szurmę w dość spokojnej uliczce. miał tę niedogodność. że oknami głównymi u których pracował inżynier. wychodził na trotuar więcej nęszczany niż goście. Cały Boży dzień snuli się tedy wszyscy. a że często bywały okna otwarte. kto Szurmę zobaczył schylonego nad robotą. stawał niemając co robić, zaczynał i miał sobie za obowiązek sumienia odrywać go nieco od skandalicznego trudu. dowodząc. że się zabijał tem siedzeniem.

Ze wszystkich przechodniów najgorliwszą pono

o zdrowie Szurmy była panna Apolonia. Nie możemy jej, jako jednemu z dzieciąt wieku odmówić choćby na prędce narysowanej sylwetki. Panna Apolonia miała lat... więcej dwudziestu niezawodnie, a może mniej niż trzydzieści. była wcale przystojna, figurę miała bardzo ładną i kształtną (o czem musiała wiedzieć, bo nbiór ją uwydatniał) twarz rumianą, wesołą, oczy piwne, nosek mały, usta różowe nśmiechnięte i ząbki śliczne. Razem wzięte wszystkie te wdzięki nie były może pięknoscią, ale stanowiły świeżą i hożą postać, dumną w dodatku warkoczem bujnym przeslicznych włosów, których by jej królowa mogła pozazdrościć.

Dziecko ubogich rodziców, panna Apolonia, wychowywała się na jednej z najpierwszych pensyj w Warszawie, bez kosztu dla nich, bo utrzymująca zakład była daleką krewną jej matki, długo pomagała jej, potem wyszła na własny chleb, niestety — guwer-nantki.

Zapomnieliśmy dodać, że była znakomitą muzy-czką, marzyła nawet po kilku wystąpieniach na cele dobroczynne o artystycznej karierze, ale się po pierw-szych próbach daremnych jej wyrzekła. Zniosła za-wód z czołem pogodnem, w piersiach jej biło serce od-ważne, poszła zarabiać na chleb lekcyami w małej mieścinie, sama jedna, wystawiona na tysiące nieprzy-jemności, zmuszona sama czuwać nad sobą i bronić się sama. To jej nadało nieco męzkie, śmiało obejście się, emancypowane nieco formy. W dodatku jeszcze, któ-raś z przyjaciółek na peusyi nauczyła ją palić cygare-ty, zrobił się z tego nałóg, panna Apolonia wyglądała na blumerystkę, ale pomimo to, nikt jej nie zarzucił nie mógł.

Panie zarzucały jej tylko, że za mało zważa na opinią, na formy, na gadania i nic sobie z ludzi nie robi!

Panna Apolonia na to ruszała ramionami, śmiała się wyszczerzając białe ząbki i odpowiadała chłodno.

— Zamąż wyjść ani mi się śniło nigdy, jestem już starą panną, sumienie mam spokojne, a że ludzie sobie

gadają dziwolągi o mnie — co mnie to szkodzi? Bardzo złego nie mogą wymyśleć, bo całe moje życie jak na dłoni. zresztą Bóg z niemi. Żebym się zaś miała zamęczać dla tego. aby ludziom dogadzać i świętoszkom buzie pozamykać. tego nie uczynię. Nigdy dla nich nie była dosyć skromną, a uczciwi posądziłiby mnie o komedię—wolę być jaką mnie Bóg stworzył.

Stała panna Apolonia w oryginalnym pokoiku w samym rynku, na pół piąterku z balkonem zielono malowanym. u bardzo zacnej rodziny. która ją kochała, jakby do niej należała. Cały dzień biegła dawać lekcye fortepianu i francuzczyzny, bo któż teraz nie męczy tego nieszczęśliwego klawicembalu? a wieczorami całe godziny spędzała egzericytując się i rozrywając muzyką.

Wprawdzie arystokracja miasteczka bokiem nieco zwracała się ku pannie Apolonii, córce ekonoma i niezapraszała jej do siebie. ale ona była z tego bardzo szczęśliwa. bo mogła sobie czytać. grać. spacerować. jak się jej podobało. Panna Idalia Skalska utrzymywała, że Apolonia gra bez czucia i młóci po fortepianie—ale to była—*jalousie de metier*.

Droga którą bardzo często przesnuwała się guwernantka na lekcye. prowadziła około samych okien Szurmy. Znali się z sobą dobrze i lubili wzajemnie. chociaż to była wesola przyjaźń bez żadnej pretensyi z obu stron—panna Apolonia uważała Szurmę niemal za brata i ile razy postrzegła go w oknie. pozdrowić go i zaczepić musiała. Zjawienie się tej figurki zręcznej z cygaretką w ustach, z teczką pod pachą, nie raz zachmurzone czoło inżyniera rozmarszczyło. Rzucił ołówek, opierał się na oknie i tak przegawędzili dobrą chwilę, zapominając się czasem.

Panna Apolonia była obojętnym widzem całego żywota miasteczka. nie miała nadziei mieć w niem żadnego udziału. ale była kobietą ciekawą, wesolą i potroszę bawiło ją to mrowisko.

Jednego z dni tych przebiegała właśnie wedle zwyczaju obok okna Szurmy, którego już dawno jakoś

zaczepić nie miała zręczności. rzuciła okiem. inżynier siedział schylony nad robotą i posepny. żal jej się zrobiło tego niezmordowanego pracownika. przykutego w piękne dni letnie między stołem a stolikiem: stanęła przed jego oknem. cień padł na robotę. Szurma podniósł głowę.

— A przecież! odezwała się panna Apolonia. cztery razy przeszłam tędy. niemając szczęścia być postrzeżoną przez pana.

Szurma na pół wychylił się przez okno.

— A ja dziesięć razy najmniej stałem daremnie na czatach, żeby panią zobaczyć?

— Mnie? na cóż się to panu zdało?

— Przynosisz mi pani trochę wesołości z sobą i rzucaś uśmiech jak jałmużnę.

— Jaki dziś pan jesteś grzeczny!

— Nie zawsze? tylko dziś?

— Dziś. szczególnie, jakże! dostałam komplement! dar który mnie się rzadko bardzo trafia i od kogóż? od snrowego pana Szurmy.

— Ale trafił się pani nieraz przecie od innych?

— Naprzykład? spytała panna Apolonia.

— Zdaje mi się. że swego czasu nie skąpił ich pani pan Roger Skalski.

— A! to było wcale co innego. odpowiedziała rażno panna—panu Rogerowi zdawało się, że sobie ze mnie łatwo będzie mógł żartować, bom bezbronna. i...

— Dostał odprawę.

— Nie mówmy o tem. teraz się z nim nie znamy.

— Wiesz pani. że wyjeżdżają na wieś?

— Wszystko wiem, odparła. śmiechając się panna Apolonia—nowiny tych dni. plotki. domysły. — Chodząc po domach, miarkujesz pan. żem się ich dobrze nasłuchać musiała. Nigdyśmy jeszcze tyle nowin na raz nie mieli.

— Cóż pani o tem wszystkim sądzisz?

— Dla mnie to tak obojętne!

— Ale to nam niasteczko wywróci do góry nogami.

— Wróci ono jutro na nogi jak kot zrzucony z pię-

tra. śmiejąc się zawołała panna Apolonia. W istocie tracimy tylko Skalskich. którzy jak najmniej udzielali się miasteczku, a zyskujemy jakiegoś dziwaka.

— No—tracimy też i Walka.

— Czy to strata? i myślisz pan, że ten geniusz opuści nas w istocie? Wątpię, żeby miał dosyć energii i mężstwa. Żal mi tylko—Myliusza.

— A! żal go pani! uśmiechając się dziwnie. rzekł Szurma.

Panna Apolonia zasmienila się niewiedzieć czego. Szurma się uśmiechnął.

— Pani by go było najłatwiej pocieszyć!

— Mnie? spytała panna. a to jak?

— Spójrzysz pani nań łaskawie tylko. wiem, że jest wielkim jej wielbicielem.

— Czy pan w tem widzisz co złego?

— Nie—żał mi go. że tak stary.

— Ale czyż w istocie tak stary? naiwnie spytała panna Apolonia.

— To wiem. żywo przerwał Szurma, że mogła byś go pani papą nazywać.

— A ja panu powiem — zawołała kobieta. że w moich oczach takim się nie wydaję.

Szurma spuścił głowę.

— Wie pani co z tego wynikać może? rzekł cicho.

— Nie domyślam się.

— Sam jest. nudzi się, pani mn się podobasz, znajdujesz go nie starym. on kiedyś zbierze się na odwagę oświadczenia jej, pani na mężstwo przyjęcia afektu i — gotowe wesele.

— To nie ma sensu! zawołała Apolonia, ale przypuściwszy, żeby tak było — cóżbyś pan na to powiedział?

— Ja? a mnie co do tego? żywo odparł Szurma.

— Jesteś pan moim przyjacielem?

— Nie możesz pani wątpić o tem.

— A więc! przyjaciele mają pewne prawa. Cóżby powiedział przyjaciel. ale tak, rękę na sercu położywszy?

Szurma stanął w oknie. wyprostował się. założył ręce na piersi. spojrzął na nią dziwnie bystro i przyszywająco i rzekł:

— Nic.

A to rzekłszy siadł do roboty i spuścił głowę. Panna Apolonia spoważniawszy także, odeszła wolnym krokiem.

Szła smutniejsza niż kiedy. po głowie jej chodziły myśli dziwne.

— Nic! nie rozumiem go! nie rozumiem siebie, nie kocham go przecie. a brak mi ciągle czegoś gdy go nie widzę.

Wiem, że z tego nic nie będzie, że się nie ożeni ze mną, a... zdaje się. że nieposzłabym teraz za nikogo, bo by mi się zdawało. że go zdradzam.

Nie! nie! tak dłużej trwać nie może, trzeba zerwać dla samej siebie. wybrać inną ścieżkę. nie widzieć go, nie mówić. zapomnieć. Doktor. doktor jest najzaczniejszym z ludzi! byłabym z nim szczęśliwą. Starszy! i ja się postarzęję prędko. a być tak samej. wiecznie i zawsze samej!

Ale dosyć. to wszystko dzieciństwa.

Czeka na mnie uwertura na cztery ręce, bez taktu i raz, dwa. trzy, cztery... To moje przeznaczenie!

To mówiąc rzuciła cygarete niedopaloną. aby z tego przykładu nie wniesć z nią do domu swych uczennic. poprawiła włosy, otarła oczy i zwracała się ku dworcowi burmistrza, którego dwóm córkom dawała lekcye muzyki, gdy przez całą szerokość ulicy pozdrowił ją wykrzyk jakby litości błagający. doktora Mylius.

— Dzień dobry pamięć Apolonii!

— A! a! przestraszyła się zaapostrofowana w ten sposób

— Jakto! i pani jesteś nerwowa? zapytał, śmiejąc się doktor - przyznam się, że tego po niej się nie spodziewałem.

— Szanowny doktorze, trafia się to tylko czasem,

kiedy mi kto, tak jak wy, huknie nagle nad głową, nieporównyując. gdyby trąba Sądu ostatecznego.

— A! dziękuję! piękna pochwała głosu!

— Owszem, głos pan masz sympatyczny. ale na ten raz...

— Cóż to za dzień wyjątkowy? spytał Mylius. śmiejąc się i błagająco spoglądając ku panience.

— Jakże pan chcesz. żebym duszą i sercem należąc do miasteczka nie podzielała jego uczuć, losów rozdrażnień. niepokoju? Jesteśmy wszyscy poruszeni mnóstwem nowin. zagadek. tajemnic. chyba byś mi pan pomógł do uspokojenia. rozświecając je.

— Naprzykład? spytał doktor.

— Kto jest wielki nieznajomy?

— Jest to figura już znana i niezagadkowa, człek który dużo włóczył się po świecie. a przyszedł na swoje śmiecia kończyć życie. Zowie się Walter. jest starszy ode mnie. nieżonaty. bogaty, z powołania marynarz. doktor, aptekarz. naturalista uczony i nieco dziwak. Gra w szachy. Otóż pani masz za jeden nerw podrażniony lekarstwo.

— Nazywa się?

— Doktor Walter...

— Skalscy się wynoszą?

— Na wieś, sadzić kartofle, pędzić wódkę i bawić się w szlachciców.

— Złośliwy jesteś.

— Czasami, ale warczę tylko nie kąsam: czy pani żal będzie Skalskich?

— Mnie? zdaje mi się. że nie a nie.

— Ani pana Rogera? spytał złośliwie doktor.

— Ani tego nawet! ruszając ramionami odparła panna Apollonia.

To mówiąc, skłoniła mu się i miała odejść, gdy Mylius pochwycił wyciągniętą rękę i z wielkim uczuciem pocałował; panna Apollonia zarumieniła się strasznie i śpiesznie odeszła.

Doktor Mylius obejrzał się do koła, niestety! niestety! mnóstwo świadków ciekawych patrzyło na

ten wybuch jego czułości. a stary się zarumienił jak młokos i zawstydził. Mieć jeszcze serce w pięćdziesięciu latach, doprawdy. już się nie godzi. bo człowiek staje się śmiesznym.

Tak sobie mówił doktor i wyrzucał chwilkę dziwnej słabości. gdy wracając ku domowi i mijając mieszkanie Waltera, posłyszał głos jego wzywający go do siebie. Waltera zastał w progu pokoju zamyślnego i smętnego; nadrobił zwykłą sobie wesołością.

— No—cóż tam? czyś się jegomosił, szanowny kolego zakochał w pannie Idalii. czy rozmyślił dopiero teraz, iż nabycie apteki nie do rzeczy—czy ci już tęskno za podróżą do Chin? co tak posępny?

— Nic mi nie jest. stare smutki czasem wychodzą na wierzch, nowych mi jeszcze nie przybyło. ale... w tej chwili pozwoliłem sobie was wezwać nie w moim interesie.

— A no. w jakim? spytał. siadając Mylius.

— Rozumiem, mówił powoli gospodarz, iż chociaż się tak smutnie i nagle rozstali ze swoim wychowankiem, on was przecież obchodzić musi?

— Mój Boże. odparł poważniejąc doktor. myślicież że serca nie mam? zawsze to. choć niewdzięczne, dziecko moje. czybyście co o nim złego już wiedzieli?

— Ale najprzód, niech się wytłumaczę, rzekł Walter. Jestem próżniak, nie mam co robić. a na okręcie nawykłem młodzieżą się zajmować. Los tego wychowanka waszego. przyznaję się. obchodzi mnie. Wypadek chciał. bym w tych dniach kilka razy się z nim spotkał. Chłopiec jest w jakimś niezwykłym rozdrażnieniu ducha. szuka czegoś. szaleje. kręci się. zostawiony sam sobie. rady dać nie umie. Może zmłodać łatwo jakie głupstwo.

— A! może! bardzo! zawołał Mylius. ale coż my dwaj starzy na to poradziny? Gdzieście go widzieli? mówcie mi.

— Najprzód dwa razy spotkałem go około pewnej chaty na przedmieściu niedaleko młynów. Umyśliłem

się dowiadywał kto tam uieszka. Jacys Lnzińscy, czy to krewni?

Doktór mocno się zaniepokoił. wstał. potarł włosów; począł chodzić po pokoju.

— To w istocie nie dobrze się stało. rzekł cicho. Ale że też wy mogliście tego dojść?

— Przypadek! rzekł spokojnie Walter — istny przypadek!

Mylius dziwnie popatrzył na kolegę.

— Drugiego dnia. dodał Walter. najdziwniejszy zbieg okoliczności chciał. bym herboryzując...

— A! herboryzując! rzekł wolniej odetchnawszy Mylius — to rozumiem.

— Tak. herboryzując. zszedłem go gdy z tej chaty wyleciał. rozogniony. nie przytomny. zburzony. jak oślepy.

Mylius zbliżył się. zdając słuchać z jak największem zajęciem.

— Postrzegłszy go w takim stanie niezwykłym. o którym młoda fizyognomia poświadczala aż nadto dobitnie i widząc. że nieprzytomny leci za miasto w las. nie mogłem się powstrzymać by go z daleka nie śledzić. Przyznaję się wam. iż byłem w obawie. aby mu się co złego nie stało.

Mylius westchnął.

— Trzeba wypadku. żeby biegnąc tak. u karczmy w lesie na rozstoju. wpadł na hrabianki z Turowa. (powiedziano mi. że to one były).

Doktór usta zaciął. — A to osobliwsza historia. mruknął. usiłując nadać spokojnego.

— Nieznam tych panien. nie wiem co są za jedne. jakich usposobień; lepiej wy to pewnie nade mnie zrozumiecie. czy grozi jakim niebezpieczeństwem, że się z niemi poznał bardzo jakoś poufale, odrazu i związał stosunki. które tak mi wyglądały. że mogą. mogą pociągnąć za sobą następstwa?

— Jakie następstwa! przerwał Mylius ruszając ramionami, to sierota, bez imienia i majątku. a to pau-

ny milionowe i arystokracya. najstraszniej najeżona jak ją sobie wyobrazić można!

— Otóż ja nie wiem — odparł Walter, ale w interesie chłopca, którego mi żal, denuncynuję go.

— Dalipan nierozumiem — zawołał Mylius. jakże to było, chyba panny wcale nie wiedziały, kto to był taki?

— Nie wiem. bom rozmowy nie słyszał, ale z fizyognomii wnosić mogłem o nader żywej rozmowie i wzajemnem podobaniu się. Młodsza zdaje mi się odciągała starszą, ta wydała mi się niesłychanie śmiałą. Było coś w jej postępowaniu całem zdradzającego niezwykajny stan ducha.

Mylius spojrzał na kolegę.

— Powiniennem was objaśnić, rzekł, iż te nieszcześliwe hrabianki trzymane są w najstraszniejszej kurateli przez macochę i jej zauszniaków. ojciec chory i obezwładniony. Być może, iż zrozpaczone prześladowaniem. gotowe są chwycić się pierwszej lepszej dłoni, którą kto ku nim wyciągnąć zechce. być by więc też mogło...

Ale nie! nie! przerwał doktor, jakby sam do siebie mówiąc — temu się zapobieży!

— I powinno się zapobiedz — odparł Walter, bo ani to dla hrabianki szczęście, ani dla młodego człowieka. Obojgu chwilowo się to uśmiechnie, ale mogą życiem przypłacić nierozwagę. do starszych należy zapobiedz.

— Nic łatwiejszego, rzekł Mylius. czekają na mnie konie z Turowa. gdyż choć staremu hrabiemu na jego rozmiękczenie mózgu i chorobę kości pacierzowej niewiele pomódz mogę, dla ceremonii wożę mnie tam co tydzień; postaram się widzieć hrabianki sam na sam, i wyszydę ich znajomości z proletaryatem na wielkim gościńcu.

— Spodziewam się, że dla ubogiego nawet wychowanka swojego. nie życzyłbyś tak świetnego a zgnębnego związku. doktorze? — dodał Walter. Ubóstwo w młodości. przy siłach i zdolnościach nie jest straszniem, utopienie się w fałszywych stosunkach. byłoby zabójczem.

— Niezawodnie, zawołał Mylius podając ręką kole-dze. Bóg wam zapłać! macie serce, daliście mi go do-wód! Nienmiem wam wyrazić wdzięczności mojej; po-poludniu jadę do Turowa. jesteście moim zbawcą, wszystkiemu się jeszcze w porę zapobiedz może.

I Mylius odetchnął.

— Ale ba, dodał, nie sądzę nawet ażeby niebezpie-czeństwo na seryo istnieć miało.

Walter ruszył ramionami.

— Znacie lepiej ode mnie swojego wychowawca, a zatem i ocenić potraficie słuszniej niż ja możliwe na-stępstwa.

Mylius brał już za kapelusz i miał wychodzić, gdy, jakby go coś tknęło, zawrócił się.

— Rada za radę, rzekł, ale nie weźmiecie mi jej za złe?

— Za złe? rady z dobrego pochodzącej serca, choć-by była najboleśniejsza dla miłości własnej nawet, nigdy.

Mylius stał i wahał się jeszcze czy ma mówić.

— Jesteście, rzekł naostatek, czwarty oto już po-no raz zaproszeni i zmuszeni interesami i grzecznością być na herbacie u Skalskich...

— Tak, muszę być dzisiaj, stary mnie nudzi, ale inaczej nic nie podpisze i nie skończy, tylko przy her-bacie, odpowiedział Walter spokojnie.

— Miejcież się na ostrożności.

— W interesie? — spytał gospodarz.

Mylius się rozśmiał.

— Nie. Skalski jest wprawdzie człowiekiem po swo-jemu uczciwym, mógł czasem za drogo brać od ubogich, sprzedając im rumianek, ale z bogatym postąpi szla-chetnie.

— A czegoż się mam lękać?

— O istoto bez przebiegłości! — rozśmiał się do-ktor, alboż nie widzisz, że długimi ogonami swych sukien, piękna Idalia usiłuje zamieść serce twoje? że...

Walter począł się wprawdzie śmiać, ale się za-czerwienił.

— Co znowu! co znowu! — zawołał.

— Trzeba byście wiedzieli, mówił Mylius, że odrazu mieliście u nas sławę milionera, kupiecie apteki nie tylko jej nie odjęło, ale ją zwiększyło. Uchodźcie za dziwaka, ale za Krezusa. W dzisiejszem pokoleniu niewieściem miłość złota, wygod, dostatku, idzie przede wszystkim. Nie jesteś młodym kolegą kochany, żal ci życia, gotówbyś chwycić podaną rączkę, aby słodyczy jej uścisku raz jeszcze w życiu spróbować? Strzeż się! strzeż się! Paua Idalia jest to laleczka w której serce nie biło nigdy, tylko do świecideł i gałganków.

Walter ruszył ramięmi, i począł się do zbytku tłómaczyć, a obracać to w żart, znać wszakże było po pewnym niepokoju, że nieprawdopodobne owe myśli, przypisane mu tak dziwnie, mogły być tylko zbyt wcześnie odgadniętymi.

— Paua Idalia ma lat dwadzieścia?

— I kilka, dorzucił Mylius.

— A ja pięćdziesiąt.

— Może też i kilka, rozśmiał się doktor.

— Choćby mi tych kilku brakło, dość pół wieku żyć, aby mieć rozum. Nie trąsaj się kochany Myliusie, dodał, a pilnuj znowu i siebie, bo oto przed półgodziną całowałeś zupełnie niepotrzebnie w rękę panią Apolonią, co ja na moje oczy widziałem. Ludzie ci przypisują nader czułe dla niej usposobienie.

Mylius spojrział w oczy Walterowi, który się śmiał dobrodusznie.

— Wiesz co, rzekł, zawrzyjmy, pakta, ty mnie będziesz hamował w zapędach ku paniu Apolonii, a ja będę cię bronił od szturmów przypuszczanych przez nader niebezpieczną Idalią. Tak może oba wybrniemy z zastawionych sidła i swobodni do portu dopłyniemy.

Wesoło pożegnali się z sobą, ale ledwie się rozeszli, czoła obu się zasepiły.

Mylius powróciwszy do dworku, kazał sobie po dać śniadanie co rychlej, gdyż konie z Turowa przyslane, czekały nań; zjadł je zasepiiony, siadł do stare-

go koczyka, i pogrążony w zadumach. dojechał do pańskiej rozydencyi.

Był to dzień jego zwykły, w którym i stary hrabia swobodniej mógł odetchnąć nieco. W ciągu tygodnia, oprócz Emmy nikt o nim nie pamiętał, a córce niełatwo się było zbliżyć do niego, póki macocha czuwała; opuszczony więc i od rodziny i od sług, pozbawiony tego coby mu cierpienie znośniejszym uczynić mogło, męczył się i niecierpliwił. W dniu w którym doktor miał przybyć, działo się wcale inaczej, trzeba było ażeby on widział i świadczyć mógł jak około niego czuвано troskliwie. Z rana więc przemieniano bieliznę, słano łóżko, służący był na zawołanie, a w czasie długich częstokroć odwiedzin doktora, hrabina znajdowała się ciągle u krzesła mężowskiego, sama podawała wodę, karmiła go i pieściła. Prawda że to nie trwało długo i gdy Mylius wyszedł za próg, o starym biedaku znowu na cały tydzień zapomniano, zostawiając go w ręku sług znudzonych i obojętnych.

Emma tylko mogła się podkraść czasem i przynieść coś ojcu, choć poczcziwe jej serce niezawsze trafny wybór czyniło w tem, co mu podawała.

Doktor rozbudziwszy się z myśli ciężkich, które go ogarnęły, dostrzegł dojeżdżając już do palacu, niezwykły jakiś ruch w ganku. Pod werendą siedziało kilka osób, domyślił się przybyłych gości, ale w istocie był tylko jeden baron Helmold, którego przyjmowano uroczystie dla tego, żeby mu swobodny przystęp do hrabianek zataimować. Baron tym razem chciał uspić podejrzenia macochy. Duval'a i ogniście zajmował się piękną Manetką, okazując jawnie, iż jej wesołość, wdzięk, urok, nadzwyczajne na nim zrobiły wrażenie.

Było to wierutne kłamstwo, gdyż baron, któremu Paryż był dobrze znanym, daleko piękniejsze egzemplarze podobnych Manetek zbliżka poznał na pół-swiecie i ćwierć-swiatach bulwarów i to zjawisko nie mogło dlań mieć uroku nowości. Ale wypadło mu z jego nader wyrafinowanych kombinacyj okazywać gorącą

przyjaźni dla Luis'a i najżywsze uczucia dla milej jego kuzynki. Z tych ostatnich hrabia Luis nie był wcale zadowolony, gdyż żywił potajemnie, mimo garbu swego, skłomość, a raczej namiętność niepohamowaną dla swawolnego dziewczęcia, a był zazdrosny jak garbaty — okrutnie.

Baronowi szło o to, aby nie budził nieufności, aby pozyskał łaski wszystkich, rozbroił Cerbera, Duvala, macochę i Don Luis'a. Ale na osiągnięcie tego celu, dobrze jeszcze pracować mu było potrzeba. Podwaliny już były założone, gdy w rozmowie oświadczył bez ogródki, iż mu się panny hrabianki nie wydały zbyt uroczy.

Macocha broniąc ich, umiała wszakże z wielką sztuką, umocnić go w tem wyrażeniu: przyznawała im wprawdzie przynioty wielkie, ale sposób w jaki je chwaliła, był nielitościwym. Gdyby baron co innego nie spekulacją miał na celu, mógłby się być zrazić i uciec. Tymczasem nie zrobiło to żadnego skutku, ale postawiło nieźle barona, chociaż mu zawsze niedowierzano.

Macosze pocichu dał do zrozumienia Helmold, że gdyby Luis pojechał z nim do Galicyi, wyswatałby mu milionową księżniczkę.

Jak tylko powóz doktora nakazał się w alei wiodącej ku pałacowi, hrabina znikła, miejsce jej było przy chorym. Mylius powinien ją tam być zastać. Biedny hrabia przyobleczony w nowy kaftanik, patrzył już oddawna na drzwi, chociaż brakło mu pamięci, instynktowo czuł, że za tym kaftanikiem przyjść powinna żona i doktor, bulion w filiżance, grzanka i kompot.

Łakomy, jak wszyscy zdzieciniałeli i zezwierzęceni ludzie, rwał na sobie odzież, mruczał, tupał i co raz to spoglądał na drzwi, powtarzając: doktor, kompot, żona, bulion.

Najpierwej pokazała się hrabina, spojrzała na niego wzrokiem obojętnym i poszła przeprowadzana oczyma chorego, usiąść u stołu przy oknie. Nie okazała mu znużona najmniejszego współczucia, ani go się

też on domagał. z bojaźnią śledzić się ją zdawał — milczał. Nawet oznaki niecierpliwości z obawy jakiejś ustały.

Chwilę trwało milczenie, ale hrabia wstrzymawszy się od mrużenia. począł znowu powoli ruszać się i szeptać coraz głośniej: bulion. bulion!

— Cicho! głupi! — zawołała tupiąc nogą Francuzka.

Hrabia usiłował ją rozbroić uśmiechem trupim, który napełnił obrzydzeniem, odwróciła się nagle ku oknu.

— Cichoż mi! — powtórzyła.

Stary umilkł. wdychając. Twarz jego przybrała wyraz smutku. jakby w opustoszony mózg wróciła myśl. wspomnienie upadku i uczucie nieszczęśliwego położenia.

Wtem za drzwiami dały się słyszeć kroki. hrabia poznał po nich doktora. poruszył się gwałtowniej na krześle, twarzą ku drzwiom zwrócił i oczy mu błysły radością.

— Bulion! bulion! — począł bełkotać. rękami bijąc po fotelu. a nogami po stoleczku.

Wśród oznak tej radości. spotkał oko groźne hrabiny i zmartwiał ze strachu. Doktor wszedł nareszcie.

— Kochany konsyliarzu. zawołała wychodząc naprzeciw niego hrabina z miną żalobną. nasz biedny chory mimo twych starań. mimo troskliwości mojej nie ma się lepiej.

Hrabia śmiał się i szukał białą swą ręką drżącą dłoni doktora. cicho mu szeptał:

— Mylius. dobry Mylius. bulion...

— On się pyta czy mu pozwolisz bulionu?

— Owszem. owszem. niech pani hrabina rozkaże podać. Jeśli jest skrzydełko kury. kompot. jak tylko okazuje apetyt...

— Ale ja się lękam tego apetytu! — przerwała hrabina. i dodała podnosząc oczy ku sufitowi. — prawda. że ja z tej ciągłej obawy o najdroższą mi istotę. roję sobie. że każda rzecz zaszkodzić mi może.

Doktor usiadł naprzeciw chorego.

— Jakże się hrabia czujesz?

Głos ten rozbudził w nim władze. pomyślał i rzekł cicho:

— Zawsze źle. źle.

Potem ręką pokazał na głowę i ruchem słabym dłoni wypowiedział, że tam już nie ma nic.

Mylius wziął puls i trzymał go długo.

— Dobry! — rzekł, trzeba mieć nadzieję. osłabienie to przejdzie. nerwy się uspokoją. będziesz hrabia zdrow.

Stary uśmiechnął się smutnie, niedowierzająco. Hrabina czule westchnęła. Wniosiono wazkę z bulionem i całe zajęcie zwróciło się ku niej, a hrabina odprowadziła lekarza na stronę, potem nieznacznie aż do drugiego pokoju.

Tu stanąwszy u okna, z najśłodszyim uśmiechem, z grą fizyognomii mistrzowską, przedstawiającą ofiarę nieszczęśliwą, złamaną, przybitą życiem poświęceniu nieustannych, hrabina ozywała się cicho do Mylius'a:

— Kochany konsyliarzu, wiem że jesteś przyjacielem naszego domu, potrzebuję twojej rady, wskazówki. Widzisz nieszczęśliwy stan mój i męczarnie tego człowieka, powiedz mi szczerze, otwarcie, nie oszczędzając mnie wcale, jak sądzisz...

Doktor spojrzał w oczy hrabinie, w takich razach bywał niekiedy Nielitościwym, cała ta komedia wcale go oszukać nie mogła, przybrał ton ironiczno-dobroduszny.

— Niech się hrabina nie lęka, rzekł, jest to stan przykry dla chorego, ciężki dla otaczających, ale zwykle nader długo się przeciągający. Życie nie jest w niebezpieczeństwie, byleby na gwałtowne wstrząśnienia, na wrażenia zbyt silne narażouem nie było.

— A! kochany konsyliarzu, otoczony jest troskliwością.

— Ja to wiem, rzekł Mylius z dziwnym akcentem, przecież zawsze tu samą panią hrabinę zastaję, widzę jej czułość.

Mimowolnie piękna pani spuściła oczy.

— Co do życia hrabiego. dodał Mylius. żadne mu nie zagraża niebezpieczeństwo. Trudno tylko będzie przywrócić raz utraconą działalność władz umysłowych.

— Więc mówisz? dodała hrabina.

— Niech pani będzie spokojną, bywają przykłady. że ludzie w tym stanie żyją, a raczej wegetują po lat dwadzieścia.

Hrabina spojrzała i zamilkła.

Kilka przestróg udzielił jeszcze doktor. potem przyrzekając powrócić do hrabiego, prosił o pozwolenie odwiedzenia hrabianek. których bardzo dawno nie widział. Niepodobna mu było tego wzbronić. Macocha zawahała się, chcąc mu zrazu towarzyszyć. ale Mylius prosił ją. aby się nie fatygowała, zapewniając. że przytomność jej przy chorym daleko będzie pożyteczniejszą. Związał się zρέcznie. a że wszystkie przejścia pałacowe były mu dobrze znane. przez pustą oranżeryę dostał się do drzwi apartamentu panien. które się go wcale nie spodziewały.

Mylius był z niemi w bardzo dobrych stosunkach. obudzały w nim bowiem politowanie i rade były panuy każdym jego odwiedzinom, ale rzadko się trafiało, aby go tu samego puszczano. Macocha tak się obawiała zawiązania jakiejś intrygi, iż nawet starego doktora o pośrednictwo w niej możliwe gotowa była posądzić.

Pierwsza Emma z okrzykiem radości powitała Myliusą. wołając Izy z drugiego pokoju. — Chodźże. chodź. mamy pocziwego doktora!

Posadzono go w krzesle. Mylius przybrał jak najweselszą twarz, rad był przynieść tu z sobą choć szczyptę pociechy i roztargnienie.

— Kochane panie, rzekł. godziny nasze są policzone. a raczej minuty. jeżeli macie się na co skarżyć, z czem zwierzać, czego żądać, mówcie, gdyż lada chwila nieubłagany dzwon powoła mnie do zupy!

— Ale nie! zawołała Iza. chyba ogressa przysła

po pana: do stołu dziś nie dadzą prędko, mają tam Galicyanina, dla którego robią się lody i tort.

— Galicyanina. he? uśmiechnął się doktor, do której-że z pań?

— Chyba do żadnej. odezwała się Iza. Emma nie ma powołania do stanu małżeńskiego, a mnie się on niepodoba!

— No — i macocha zapewne.

— A, to swoją drogą, dodała Iza, i tego nie liczę.

— A pani się niepodoba. dlaczego. jeżeli zapytać wolno?

— Pytać wolno, a wytłómaczyć się trudno. szepnęła starsza.

— No, to ja wytłómaczę. szybko poczęła Emma. ja wydam Izie. zdradzę!

— Dobrze, zdradź pani, rzekł doktor.

— Będzie plesć niewiedzieć co. zawołała Iza.

— Nie, nie. powiem prawdę! uderzając tragicznie w dłoń odezwała się Emma i nachyliwszy się do ucha doktorowi, szepnęła mu: — Iza się kocha!

— A, a! łamiąc ręce komicznie rzekł Mylius, to już chyba w tym nieznanym młodzieńcu. który się zjawił pod karczmą.

Na te słowa obie hrabianki spojrzawszy na siebie poblądły, ale Iza szczególnie zdumiona. przerażona prawie, zwróciła się do Myliusza i spytała:

— Zkąd-że pan wiesz o tem spotkaniu?

— Ja? ja wiem o wszystkim. odparł Mylius spokojnie, i nader szczęśliwy jestem. że mogę na to zjawisko fantastyczne rzucić promień światła. który cały jego urok rozwieje.

Iza z dumnym wyrazem twarzy. nieco obrażona, milczała. Emma mówiła jej wzrokiem: Widzisz!

— No, i któż to był? jak pan o tem wiesz? zapytała starsza.

— Wiem o tem wypadkiem od kogos. co patrzył z boku i z rozmowy tylko ruchy pochwycił.

— A, to chwala Bogu! więc nie od niego.

— Nie od niego. bo wypędziwszy go z mego

domu, nie mam z nim żadnych więcej stosunków, dodał doktor spokojnie.

— Cóż to jest? tłómacz mi pan, co to jest? niecierpliwie zawołała Iza, żartujesz sobie ze mnie.

— Bynajmniej. mówił doktor. posłuchajcie panie historyi. Jest temu lat dwadzieścia kilka. byłem wezwany do chorej. konającej. ubogiej kobiety w miasteczku. Była to nieszczęśliwa. opuszczona przez męża, z głodu, nędzy. zmartwienia dogorywająca, młoda jeszcze. piękna niedawno. kobieta z nowonarodzonym dziećciem na ręku. Wezwano mnie naówczas. gdy już księdza tylko było potrzeba! Miała jeszcze siły tyle, że mnie na Boga zaklęła. abym sierotą się opiekował. Wziąłem dziecko. wychowałem je. wypieściłem. uczyłem je. radowałem się niem i — doczekałem się z niego genialnej poczwary. bez serca!... Przed niewiele dniami musiałem go z domu wypędzić. Lękam się bardzo, aby tym tajemniczym nieznajomym nie był mój pan Walek.

Iza słuchała z nateżoną uwagą, ale historia ta nie zrobiła na niej wrażenia. jakiego się może doktor spodziewał i na nie rachował. — dla marzącej istoty miała pewien urok tajemniczości.

— Któż był ojciec, kto matka?

Doktor zrazu chciał odpowiedzieć, pomyślał i rzekł obojętnie.

— Mieszczkańskie dziecko. rodzina uboga nieznana.

— Cóż on panu przewinił? zapytała Iza spokojnie.

— Kazał mi szanować się jako geniusz. śmiejąc się mówił doktor. i z mocy genialności swej. obchodził się ze mną jak... jak z ostatnim, w końcu niemogłem wytrzymać. Wyrzucał mi. że jeżeli jest źle wychowany, toć ja go wychowywałem.

Iza ironicznie spojrzała na Myliusza i powoli oddaliła się od niego nic nie mówiąc. Doktor poczuł, że całe jego zwierzenie chybionem było co do skutków. ale nie śmiał rozszerzać go i nalegać.

Emma śledziła także na twarzy siostry wraże-

nia i nie zupełnie jasno wyczytała co się w jej duszy działo.

Iza przez te dwa dni tak pracowała wyobraźnią, tak się rozgorączkowała myślami, iż cofnąć się już nie mogła. Wszystko co słyszała, przerabiała na korzyść nieznajomego. Była zakochaną, zakochaną nie sercem może, ale uamiętnością bezmyślną, ale najniebezpieczniejszą z miłości — mieszkającą w głowie i uiedającą się złamać niczem, chyba silniejszą jeszcze marą wyobraźni.

Doktor jakkolwiek wielce domyślny i znawca ludzi, niedorozumiał się tego. Iza potrafiła go pozorną obojętnością i śmiechem złudzić, zrobiła się wesołą, poczęła żartować, uspokoiła nawet Emmę przestraszoną. Mylius powiedział sobie w duchu: — Rzecz skończona — niestety — była ledwie poczętą!

Na tem skończyły się odwiedziny doktora. wezwano go bowiem wkrótce potem do stołu, a po obiedzie poszedł jeszcze z hrabiną do swojego pacyenta i odjechał napowrót do miasta.

Bytność u hrabianek obrachowana na rozczerowanie starszej z nich — zupełnie przeciwny wywarła skutek. Iza widziała po swojemu zapatrując się na przyszłość, swobodę w niej, panowanie tak pożądane po długiej niewoli, perspektywę sławy którą geniusz miał się otoczyć, słowem, tysiące marzeń, których przyszłość nigdy nie ziszcza. Ale widząc, że wszyscy aż do siostry Emmy byli przeciwni, zamknęła się w sobie i myślała nad środkami zawiązania stosunków bliższych z tym, którego jej głowa tak zuchwale sobie wybrała — od pierwszego rzutu oka.

Znając dwór Turowski i obyczaj miejscowy, można zmiarkować jak program do skreslenia był trudny, ale ze swojej strony Walek Luziński zapalił się do myśli zuchwalej osiągnięcia ręki hrabianki. I on więc szukał sposobu zbliżenia się do niej.

Z obu stron nie była to miłość. Walek jakeśmy mówili, od młodości szalenie, był zakochany w panie Idalii, która sobie z niego nielitościwie żartując,

wywołała w końcu to uczucie. które jak ocet z wina rodzi się z miłości i im ona była tęższą. tem nienawisć silniejszą się staje. Na dnie namiętnej nieprzyjaźni może jeszcze było coś uczucia dawnego. Walek też nie zakochał się w hrabiance, powierzchowność obu panienek nie była zbyt czarującą. Iza miała lat dwadzieścia kilka, smutek zawczasu ją zestarzył. rysy twarzy szlachetne, miłe, nie miały tego uroku który czaruje od pierwszego wejrzenia. można się było do niej przywiązać, nie podobna było pokochać.

Ale Walek nie myślał o tem uczuciu. grała w nim ambicja. pragnienie zwycięstwa głośnego. które by go pomściło w oczach Idalii. podniosło w oczach doktora. może myśl. iż dostatek oswobodzi go od pracy. i da mu gotowe ramy do oprawy geniuszu. może i pomsta za ojca i nie wiem co jeszcze, dosyć, że nie ta miłość o której śnił dawniej. a której dziś się wyrzekał łatwo.

Na kilku słowach hrabianki budował już najzuchwalsze plany przyszłości. Los który zdaje się czasem sprzyjać pozornie człowiekowi, gdy go chce w matnię wprowadzić, podjął się i tym razem ułatwić stosunki pana Walentego z hrabianką, tak sam jak zbliżał doktora Waltera do Idalii i pocziwemu Myliusowi stawiał na drodze pannę Apolonią.

Najnieprawdopodobniejsze plany przychodzą tak czasem do skutku przy pomocy tego losu. który szczególnie jest gdy ludziom płata figle. aby śmiejąc się, mógł im potem powiedzieć.

Tu l'a voulu. Georges Dandin!

ROZDZIAŁ V.

Osiadła z dawien dawna w tych stronach rodzina Turowskich. spokrewnioną była naturalnie z mnóstwem domów w okolicy, które dawniej zajmowały świetne stanowisko w społeczeństwie. a teraz kolejną zwykłą losów przeszły do bardzo podrzędnego.

Ktokolwiek zechce się rozpatrzyć w historyi rodów jakiegobądź kraju, przekona się łatwo, jak rachuba na wieczną trwałość familijnej wielkości, choć podparta majoratami. ordynacyami. prawem starszeństwa. krucha jest i zawodną. W przeciągu często dwóch pokoleń, rodzina z niczego dorasta do świetnego położenia. talent jednego człowieka wyprowadza ją z nicości. następstwo dwóch lub trzech pokoleń ludzi zdolnych dźwiga. stawia na świetnym piedestale. a lada powiew przeciwności. ten domek z kart wywraca.

Za naszych czasów widzieliśmy potomków Korjutowiczów w najnędzniejszym położeniu i najdotkliwszym niedostatku. książęce rody w łachmanach. a małych przekupniów przy ładzie. oszczędności. takcie. śmiałości. szczęściu robiących miliony i stających w najświetniejszych sferach towarzystwa. bo wszechmocny pieniądź wszystkie, nawet najnieдоступniejsze podwoje otwiera.

Ta gra losu. z którą walczy człowiek. znana od wieków. znajduje sceptyków co się jej oprzeć usilują— a codziennie przecie powtarza się na nowo.

Dosyć jednego półgłówka aby kilku pokoleń pracę przetrwonął i zachwiał gmachem powoli zbudowa-

nym wiekami; lada ntracyusz lekkomyślny, przygotowuje ruinę, a dokonywa jej mściwa ręka tego losu. który nieustannie ludziom daje daremne nauki.

Skutkiem tych przewrotów bardzo pospolitych, rodzina Turowskich, których główna gałęź gniła i próchniała w Turowie. już odrosłami swemi zesła była w ubogą szlachtę. Hrabiowie na Turowie Turowscy mówili wprawdzie, zwłaszcza Luis, że tamci nie byli hrabiami, że to byli dalecy powinowaci. ale cały Boży świat wiedział, iż pan Bogusław Turowski z Bożej Wólki, poczciwy człeczek. od stryjecznych stryjecznym był hrabią na Turowie. Samo położenie tego majątku. który o miedzę graniczył z Turowem. dowodziło, iż pochodził z dawnego familijnego działu. Dobra obszerne należące do Bożej Wólki, dawno już stały się pastwą różnych wierzycieli dawnych rodziny i poprzehodziły w ręce drobnej szlachty, — panu Bogusławowi został jeden folwarczek. a po matce znaczny pono kapitał. ale dziwacznie przez nią rozporządzony. gdyż obawiając się roztrwonienia, aż do lat czterdziestu uczyniła go nierozporządzalnym dla syna. który pobierał procenta. ale summy naruszyć nie mógł. Położenie pana Bogusława stało się przez to oryginalnem. miał wioszczynę lichą w piaskach i błotach, nie wiele mu przynoszącą i przeżywał na niej kilkadziesiąt tysięcy rocznego dochodu. na który nie pracował.

Poczciwa matka pana Bogusława znać musiała go dobrze odumierając, byłby bowiem do tej pory nieochybnie stracił wszystko, gdyby mu dano w ręce choćby dwakroć większą fortunę.

Bogusław Turowski, pospolicie Boguniem zwany. osierocony zawczasu przez ojca. wychowywał się pieścioszkiem u matki. a po jej śmierci, staraniem dwóch najzacniejszych ludzi, opiekunów. podsędka Rabczyńskiego i sędziego Protowskiego nauki kończył. Rabczyński i Protowski kochali go. a byli zacni obywatele. ale gdy się popłakali. nawzdychali. zjedli i wypili, ucałowali wychowanka i ściśle wykończyli

opiekuńcze rachunki. mieli się za wzorowych. za niezrównanych. Bogunio robił co chciał, nie śmiano mu się sprzeciwiać. do niektórych rzeczy był przywykły za życia matki, to się stawalo prejudykatem, do innych wiek go kwalifikował, innym miękkie serca opiekunów oprzeć się niedozwalały.

Stało się, że Bogunio który razem z Walkiem szkoły kończył. ze szkół nieposzedł dalej. siadł na wsi i poczał sobie żyć. Jak go było forsować? Chłopak był dobry, choć do rany przyłożył!

Nieznienienie nam trudno tę pocziwą fizyognomię Bogunia odmalować. Podobny był do wszystkich. blondyn, rumiany. silnie zbudowany, wypukłych oczów niebieskich. uśmiechniętych ust, białych zębów, wesół. rażny, ochoczy, serdeczny. Kochał bez wyjątku kogo tylko znał, ze wszystkiemi żył. do nikogo nie miał wstrętu, a cofał się tylko od tych namarszczonych surowych ludzi, którzy mu z sobą przynosili nudę, powagę, pracę, smutek. Od tych uciekał po cichu, choć i ich obrazić by nie chciał, bo pragnął żyć w zgodzie z całym światem.

Dom Bogunia malował najlepiej tego aicy pocziwego ulubienca okolicy. Staroświecki dwór szlachecki w Bożej Wólce jak zastał tak go zamieszkał. dobudował tylko do niego drewnianą bardzo brzydką wieżycę. z której mógł gości zdala po traktach upatrywać i dużą salę na stołowy pokój i fajkarnią. Oprócz tego wznosił stajnię dla koni, bo te namiętnie lubił. Nie było wielkiego ładu albo raczej żadnego w Wólce. ale dostatek nieprzebrany; bo Bogunio po staropolsku był gościnny i gdy w domu choć dwóch. trzech pasażerów i wydrwigroszów nie miał, z nudy umierał.

Był już tak stworzony do towarzystwa. szczególniejszemu męskiego, że bez niego nie żył.

Śmiało też zaręczyć można, iż na trzysta sześćdziesiąt dni roku, nie było dwudziestu w Wólce bez gości i to chyba. gdy gospodarza w domu zbrakło — a bardzo często mimo jego niebytności goście czekali.

rezydenci pili sobie i jedli u niego, wyglądając rychło li przybędzie.

Bogunio nie miał nic do roboty oprócz zabawy. Dnie w Wólce upływały jednostajnie na jedzeniu, pićiu. grze w karty, hasaniu na koniach. strzelaniu do celu i kawalerskich figlach. W zupełnie wolnych chwilach gospodarz grywał walce i mazury na fortepianie. a czasem czytywał gazetę.

Było to najszcześliwsze życie w świecie, ale stworzone dla Bogunia, bo kto inny by w ujem trzech dni nie przetrwał.

Najprzód towarzystwo w Bożej Wólce było ewangeliczne. ze czterech końców świata awanturnicy, pseudo-artysci, pasażerzy. szulery. koniarze. młode chłopaki goniący ostatekami. stare wygi z czerwonymi nosy. dawni szkolni koledzy, przyjaciele przyjaciół, kuzynowie znajomych, słowem. gospoda stojąca otworem włóczegom i próżniakom. Byli tam tacy co od lat dwóch wyjeżdżali co tydzień i siedzieli z ludźmi i końmi.

W takim dworze naturalnie ładu być nie mogło. wydatki były olbrzymie. szarpanina nielitościwa — ale Bogunio był za to wielbionym i noszonym na rękach. Nadużywano jego dobroci na wszelki sposób, oszukiwano bez miłosierdzia. ci którym świadczył. robili mu bezwstydną awanturę. co roku najmniej parę miewał pojedynków, ale to wszystko znosił z uśmiechem na ustach. wesół, nie zrażając się do ludzi.

Każdą nową znajomość chwycił, jakby zadaniem jego życia było, kazać się kochać całemu światu; około każdego nieznanego człowieka zabiegał, latał. aż póki go nie zmusił do przyjaźni, do poufałości. Jakże go nie kochać zresztą, choć prawdziwi przyjaciele ze smutkiem patrzyli na tak upływające życie; litość brała otwierać mu oczy i przerywać to błogosławione farniente. Boguś tak się już był wdroył do rozkosznego próżnowania, iż nie pojmował nawet. aby od niego wymagać można — usatkwowania. Placił dług swój społeczeństwu — łagodnością, dobroczynnością,

miłością dla ludzi. Przymioty te posnwał on do przesady, tak, że z nich potrafił sobie zrobić wady.

W tym czasie Bogunio miał lat dwadzieścia sześć, był w kwiecie wieku, miał długie ogromne, przyjaciół całą falangę i oczy wszystkich mam mających córki na wydaniu, tęsknie się ku niemu zwracały, ale cóż? ani było można pomyśleć o tem!

Mówiono straszne rzeczy o dworze w Bożej Wólce, a z nich okazywało się, że pan Bogusław na dobre postanowił trwać w kawalersko bisurnauśkim żywocie. — Bogunio jeździł regularnie w święto do kościoła, był uawet, mimo wielu wad głośnych — dość pobożny — ile razy pokazał się w miasteczku, oczy wszystkich piękności niezajętych zwracały się tęsknie ku niemu, ale wzrok kobiecy nie działał nań. Znać był już ostrzelany do zbytku.

W domach rodzinnych bywał czasem Bogunio i znajdował się przyzwoicie, ale jak okradziony. Gdy nie mógł rozpiąć się, położyć na kanapie, śpiewać, żartować i pisać co chciał, wyglądał jak uakrochmalony student szóstoklasista. Z pannami stanowczo mówić nawet nie umiał. Wprowadzony raz do apteki, gdyż panna Idalia miała na niego zapolewać ochotę, zapomniał się do tego stopnia, że na śliczny, wyperfumowany jej koncept, odpowiedział w zapale.

— A trzystaż go — mordowało!

Panna Idalia nie mogąc się rozśmiać dla waższych względów, takiego upiekła raka, że onało się jej krew nie rzuciła nosem. Byłoby mu to przeszło płazem, ale chłopak tak był skoufnowany, sam posłyszawszy co powiedział, że porwawszy za kapelusze drapnął i za nic się już więcej w aptecę pokazać nie chciał.

Ten to Bogunio Turowski, był dobrym kolegą i serdecznym przyjacielem Walka Lubińskiego. W nieprzebranej dobroci swej, on pierwszy Walka ogłosił geniuszem, wpisał się w jego wielbicielów i pokochał go tak, jak się tylko dwaj z professyi próżniacy, niemający nic innego do czynienia, kochać mogą; — Wal-

kowi w tej Bożej Wólce było jak pączkowi w maśle—mógł deklamować urywki ze swego poematu *Nero* i był pewny zawsze oklasków, gdy mówił nikt mu nie przerywał. pieszczono go i nadszakiwano.

Naturalnie. potrzebując zbliżyć się do Turowa w jakikolwiek sposób. Walek zaraz pomyślał o przyjacielu Boguniu. Ogromny założony przez niego zwierzyniec w Bożej Wólce. rozciągał się aż do parku Turowskiego i przedzielony był od niego tylko ocienioną olchami grobelką. Na skraju parku stała altana. w której panny całemi dniami przesiadywały, Walek nieraz je dawniej zdala widywał.

Bogunio rzadko wprawdzie bywał w Turowie, ale miał z nim przyjazne stosunki. Szczególniej los hrabianek go rozczulał, gotów im był służyć na wszelki sposób; nad hrabią się litował. a hrabiny. Luisa, du Vala i Manetki nie mogąc kochać. przynajmniej ich tłómaczył. uniewinnił i znosił — bo być źle i nienawidzić nie umiał. Nie było to jego powołanie.

Największe łotrowstwo miał zawsze wytłómaczyć i znaleźć okoliczności łagodzące.

Luis gdy miał czasem natrętnych gości. długich lub zbyt wymagających. drugiego dnia wiozł ich do Bożej Wólki i najczęściej tam porzuciwszy, pozbywał się.

Sam wyrażał się o Boguniu z pewnym rodzajem politowania. jako o człowieku niezbyt dobrego towarzystwa. Była chwila. że hrabina kuzynkę Manetkę. której bardzo pozbyć się chciała. może właśnie dla tego. że Luis się do niej zbyt bratersko przywiązywał — myślała wyswatać Boguniowi. Żywa Francuzeczka podobała mu się niezmiernie. siedział kilka dni dla niej w Turowie. swawolił. ale znać z obawy sakramentalnych skutków, więcej się tam nie pokazał. Żona w Bożej Wólce byłaby cały porządek żywota popsula.

Manetce bardzo go żał było, ale nie miała odwagi wybrać się doń w gościu.

W kilka dni po owem spotkaniu w lesie, Walek zupełnie sobie z głowy wybił tragiczną historję ojca

i matki. usiłował nawet przekonać się, że mogła nie być prawdziwą, lub nie do niego się stosować. Natomiast obraz lirabianki znacznie przystrojony przez bujną wyobraźnię, towarzyszył mu nieodstępnie i najróżniejsze plany wywoływał. Napróżno doktor Walter, który mu okazywał szczególne współczucie, usiłował go zwabiać do siebie, obudzał do zajęcia. Walek chodził, próżnował i układał owe plany zamków na lodzie.

Pani Pauze przypisująca fałszywie roztargnienie i zamyslenie jakiejś intrydze ordynaryjnej (jak się wyrażała) z dziewczynką z przedmieścia (tego jej z głowy nie było można wybić) wielce także posmutniała i zobojętniała dla niego. Trzymała go tylko jeszcze w nadziei upamiętania i nawrócenia na dobrą drogę.

Walek spędzał dnie z cygarem w ustach albo chodząc po pokoju, albo włócząc się za miasto. Nieświadomi przyczyn tego umysłowego pograżenia, myśleli, że kończy poemat swój Nero. Poematu tego prawdę rzekłszy, było szesnaście wierszy gotowych, reszta uplanowana. Walek czekał natchnienia, a natchnienie nieprzychodziło, znać miało inne zajęcia.

Jednym razem jak błyskawicą oświecony, przypomniał sobie Luziński, Bogunia, koleżeństwo, przyjaźń, sąsiedztwo parku, a gdy raz myśl mu ta zaświtała, pobiegł na miasto, najał wózek żydowski i nieopowiedziawszy się nawet pani Pauze, pojechał do Bożej Wólki. Nie ma nic niebezpieczniejszego nad próżniaka gdy się porwie do czynu, naówczas strzela jak z procy, pierwszym czemś co mu do głowy przyjdzie.

W Wólce jak zawsze było pełno, a że Walek przyjechał nad wieczór, zastał towarzystwo w chłodku przy wiście i — limoniadzie z arakiem.

Był to napój wynaleziony przez gospodarza niesłychanie chłodzący i zdrowy, ale potrzeba było zważać, aby rum w przyzwoitej dolać proporcji a wodą nie przesadzić — woda bowiem, jak wiadomo, febry sprowadzać zwykła.

Bogunio rzucił się w objęcia Walka, ucałował

go. poślinił. posadził na kanapie. przyniósł mu cygar. limoniady i zaklął na wszystko. ażeby furkę swoją odprawił, przysięgając, że go sam odwiezie lub odeszle gdy tylko zechce.

Towarzystwo wesołe. miłe. składało się w większej części z towarzyszków szkolnych, młodzieży i kilku weteranów próżniactwa wtórujących młodemu pokoleniu. jako godnym swym w przyszłości następcom. Walek wszystko dobrze zważywszy. potargował się trochę i dał uprosić.

Wprawdzie jechał on od razu z tą myślą. że w Wólce zostanie, ale. podróżować się nie nie szkodziło.

— Dobrze. rzekł do Bogunia — każesz. zostać — ale z warunkiem. że będę sobie po lesie. po zwierzyńcu błądził samotnie. gdyż jestem w werwie do pisania.

— Ale. jak cię kocham (to było ulubione wyrażenie Bogunia) będziesz sobie robił co chciał, my ci nie przeszkodzimy. U mnie. wiesz. wolność. jak największa. zupełna. każdy robi co mu się podoba.

Zydek odjechał z kartką do pani Pauze dosyć lakoniczną.

Walek rozłożył się na szerokiej sofie dokoła okrążającej salę. w której się zwykle zabawiano i wkrótce Bogunio go porzucił. bo zaczęto po wiście koni próbować w dziedzińcu. Lubiński już miał zamiar iść do zwierzyńca. dla rozpatrzenia lepszego miejscowości. która go teraz niezmiernie zajmowała. gdy... wrzawa powstała ogromna, nadjechali nowi goście. Hrabia Luis przywiózł barona Helmolda i du Val'a. Niezmiernie serdeczny Bogunio mając w swym domu po raz pierwszy Galicyanina, o którym już słyszał. polecał zaraz wydawać rozkazy do herbaty i wiesz. a Walekowi tylko szepnął na ucho przebiegając. że baron pono jest konkurentem do jednej z hrabianek.

Obudziło to jego ciekawość naturalnie i przykuło do miejsca. Towarzystwo po nudach Turowa, nad-

zwyczaj się tu wesoło bawiło; garbus wystrojony był w humorze brylantowym, rzucano dowcipami, śmiano się, a Helmold rozglądał i rozpatrywał.

Dla Luzzińskiego szczególnie szczęśliwem zdało się, że na ten dzień natrafił, mógł ze swojego kąta obserwować ludzi, z którymi wedle wszelkiego podobieństwa, miało mu przyjść się mierzyć.

Baron był może współzawodnikiem, brat nieprzyjacielem na pewno, du Val stróżem hrabianek.

W pierwszej chwili Walek nieco ostygł i począł się namyslać. — ogromny barczysty Francuz, zuchwały, żywy i ruchawy braciszek, naostatek bardzo arystokratycznie wyglądający baron, niewygodnymi zdali mu się zapasnikami. Nie czuł w sobie sił do mierzenia się z nimi. Spędziwszy młodość na ustroniu, w dzikiem odosobnieniu, w nsposobieniu sarkastycznym dla tego świata, z którym mógł być wystawiony na walkę, lękał się go, bo go znał mało.

Ale po rozmyśle dłuższym wmówił w siebie, że rzecz należy tak postawić, aby drapieżnej, pięściowej walki uniknąć, innej się nie obawiał. Baron zresztą, tylko wymuskaniem i wdziękiem był dlań straszny, jako współzawodnik, tamci groźniejsi nim się wydali, a szczególnie Duval.

Poczęto strzelać z pistoletów do celu, była to powszednia zabawka. Walek spostrzegł, nie bez przykrego wrażenia, że wszyscy ci panowie wystrzelowali asy nader zręcznie. Najlepszym z nich wszakże był Luis, który celował we wszystkich ćwiczeniach ciała, aby swoją ułomność dać zapomnieć. Bił kulą w lot jaśkółki.

Luzzińskiemu zrobiło się zimno, ale powiedział sobie zaraz:

— A pocóż mam się z nim strzelać? nie ma powodu... Ze złości nie zabije mnie na gościecu, bo by poszedł do kryminału.

Wszakże ci ichnościście znacznie zapal jego na chwilę ostudzili.

Przyjęcie w Bożej Wólce było zwyczajne, podano herbatę wytworną, która się przeciągnęła niemal do zmroku. Luis myślał wracać, niepuszczono go do wieczerzy. Z tą Bogunio wystąpił co się zowie. Kucharza miał doskonałego, zapas w szpiżarni zżytkowny, wina sprowadzane z Warszawy od komisantów francuzkich domów z Bordeaux, z którymi był w czułej przyjaźni. (płacił im haracz niemały, a jeden z nich bez łzów na oczach wspomnieć go nie mógł). Nie dziw, że w tych warunkach wieczerza skończyła się o pierwszej, musującym Burgundem w obfitości przelanym, a goście rozjechali się nade dniem. Walek wcześniej się cofnął pod pozorem poematu, ale w istocie chcąc rano wstać i opatrzyć zwierzyniec.

Spali jeszcze wszyscy w Bożej Wólce, gdy Luziński wymknął się do ogrodu, dostał do lasu i drogą znajomą, przez całą długość olbrzymiego tego parcu aux cerfs, podążył na jego kraniec.

Ranek był przesliczny. las wspaniały. co krok płoszył daniela. sarny i zające; gra światła i cieni. brylanty rosy, śpiew ptactwa. całe czarodziejstwo pięknego letniego dnia u wschodu, wśród natury przybranej jakby zalotnie, — mogło zachwycić nawet obojętnego, ale Walek nic nie widział. myślą wyprzedzał kroki.

Tak zwany zwierzyniec. był prawdziwem szaleństwem Bogunia. opasano bowiem parkanami przestrzeń lasu i łąk. któraby gdzie indziej intratny folwark mogła stanowić. Prawdę rzekłszy. Boża Wólka cała zresztą tego parku nie była warta. To też Luziński znużył się dobrze, nim pobłądziwszy i oryentując się nie dosyć szczęśliwie, przybył nareszcie na koniec lasu i ujrzał błogosławiony parkan. Tu przegrodzona drożyną tylko od zwierzyńca stara, zapuszczona, zarosła grobelka, cała ozieleniona ogromnemi olchami. biegła ku parkowi Turowskiemu. Widać było jego płoty, fosę i po nad rodzajem wału w rogu. altanę dawną murowaną, nieco odrestaurowaną. w której oknie dawniej. niegdyś pokazywał mu Bogunio hrabianki,

— Bądź co bądź, rzekł sobie Walek jakby tknięty jakimś przeczuciem. było to już w przeznaczeniu. muszę tam podejść i przypatrzeć się zblizka!

Ale zwierzyńiec Wólki był porządnie opalissadowany, furtka wprawdzie prowadziła na pole. lecz niestety. hermetycznie zamknięta i kołem zabita. Nie było innego środka nad wdrapanie się na płot i skok z drugiej strony. Walek nie miał szczęścia do tego rodzaju gimnastycznych ćwiczeń. odrapał się i oszarpał dobrze nim swego dokazał, a dodatkowo nogi nadwichnął skacząc. tak że dosyć niepewnymi krokami potem przez grobelkę powłókł się ku altanie.

Okna jej były dotąd zamknięte. ale w połowie drogi ze zdumieniem największym podniósłszy wzrok Walek. dostrzegł. że jedno z nich się otworzyło i stanęła w niem postać niewiescia.

Serce uderzyło. Jużciż nie może być aby to była ona. a! toby było przeznaczeniem!

I widać. że przeznaczeniem być musiało. gdyż w istocie w oknie stała hrabianka Iza. lubiąca ranne przechadzki. w któryrych do Wała, Manetki. macochy i ich dworu nie spotykała. Wyszła była z książką na świeże powietrze a nim zasiadła do czytania. wpatrywała się w krajobraz, mgłami ciepłymi osnuty i powoli z nich wychodzący coraz wyraźniej. Nagle i ona spostrzegła na pnastej grobli postać mężką. posuwającą się ku ogrodowi i dziwna myśl przebiegła jej po głowie.

— A gdyby to był on! Ale to nie może być. to pewnie leśniczy, albo ogrodnik. Jednakże mimo uiedowiarstwa, hrabianka Iza pozostała w oknie aż do sprawdzenia tego zjawiska, dość w tej porze dnia niezwyčajnego...

Walek z za olch już ją był poznał... śpieszył. choć mu się w głowie zawracało od tych faworów losu.

Gdy z cieni drzew wystąpił na pole. Iza także poznała go i z podziwienia mimowoli aż krzyknęła. Nie mogła się na nogach utrzymać. siadła, ręką uciskając serce i cicho szepcząc: przeznaczenie!

Nicby w świecie już jej niemogło odjąć tego przekonania, że los jej palcem Opatrzności litościwym został rozstrzygnięty...

Chwilę trwało pomieszanie. podniosła się żywo z siedzenia i gdy Walek tuż stojący pod altaną, pozdrowił ją. położywszy palec na ustach. dała mu znak. aby wszedł do ogrodu otwartą furką u stóp wału.

Jakkolwiek wspomnienie du Vala, hrabiego Luisa i tego nieszczęśliwego wczorajszego strzelania do asów przyszło mu na myśl chwilowo. miał Luzziński tyle odwagi, że rozkazu usłuchał.

— *Alea jacta est!* — rzekł sobie w duchu. nie mogąc się oprzeć bojaźni, co będzie to będzie.

Na progu furki śmielsza daleko od niego czekała nań wyciągając rękę hrabianka Iza.

— Zkąd pan tutaj? jakim sposobem?

— Mogę poprzysiądz. że to dla mnie samego niezrozumiałe, zawołał Walek badając wzrokiem Izę, której twarz wcale nie zdradzała gniewu. wczoraj przybyłem w odwiedziny do towarzysza mego szkolnego, pana Bogusława. do Bożej Wólki, wyszedłem dziś na przechadzkę, ciekawość, sam nie wiem...

— Przyznaj mi się pan otwarcie. zawołała hrabianka. pomyślałeś idąc tu o tym trzpiocie, awanturnicy. która cię tak śmiało napastowała na gościńcu?

— Nacóżbym się miał zapierać? — rzekł Walek.

— Jesteś więc pan moim gościem. odpowiedziała hrabianka uśmiechając się, ale na nieszczęście. bardzo mi trudno pana przyjąć tam. gdzie każdy nasz krok, słowo. szpiegują i donoszą, gdzie ledwie o tej godzinie porannej, mogę swobodnie się przejść. Szczęściem w nieszczęściu jest. że to godzina szóstą i wszyscy śpią. śmiało więc oprowadzę pana po parku, chodźmy.

Hrabianka z prostotą i ufnością podała mu rękę, niepodobna było odmówić. chociaż Luzziński zbłądł jak trup i krew mu w żyłach zastygła.

Rozmowa paczęła się od ogólników. ale większą jej część wiodła sama hrabianka. odpowiadając na pół słowa. Walek był oniemiały. Wszystko to razem zda-

wało mu się snem. tak było jakoś dziwnem i nieprawdopodobnem....

Iza powoli zaczęła mu zimno niemal, ale z głębokim smutkiem opowiadać życie swoje, nie tając bynajmniej co cierpiała.

— Nie dziw się pan, rzekła, że tak śmiało. tak zuchwale, tak nieprzyzwoicie chwytam rękę nawet nieznanomego, który mi jakieś okazuje współczucie, litość. Lata płyną, a niewola z każdą godziną staje się cięższą. nie do zniesienia. W złotej klatce siedziemy płacząc z siostrą i liczymy tylko wiele nam, lub wrogom naszym życia zostać mogło. Cóż dziwnego, że się głowa zawróci. że tonący chwytą deskę zbawczą, gdy ją na falach zobaczy. Nie sądzę pan źle o mnie, dodała, cierpienie wyegzaltowało mnie aż do przesady. w pann zobaczyłam jakby przeznaczonego dla mnie zbawcę. Mówię otwarcie, choć drugi raz w życiu pana widzę. Jeżeli serce twoje wolne, jeżeli nie czujesz obawy i wstrętu, tę rękę, którą panu podałam, oddam mu. Chcesz, bierz.

Luziński stanął niemy, położenie było tak bezprzykładnie dziwne, że mimo największego zapалу od dni kilku, na razie Walka strach ogarnął. Milczał.

— Mów pan otwarcie!

— Powiem szczerze. zawołał Luziński. co do mnie. zbyt to wielkie szczęście, żebym się choćby chwilę potrzebował namyślać, ale pani! ja jej chcę dać czas do rozważenia. Pani wiesz kto ja jestem?

— Wiem, odparła Iza, doktor Mylius...

— Jakto. był tu? — przerwał czerwieniąc się Luziński.

— Był, mówił mi o panu wiele złego. ale mimo to nie zraził mnie. Ja nie wiem co mnie czeka, pan możesz być przepaścią tą, która ciągnie, ale czuję głos przeznaczenia. Możeż być, abyś w ufności. w wierze podaną ci rękę, przyjąwszy, miał niewdzięcznością potem wypłacić, jak doktorowi? Do miłości nie mam może prawa, nie śmiem się jej spodziewać, ale szacunek, przyjaźń, dasz mi choćby przez litość nade mną.

— A! pani! — zawołał Walek. pani się mnie obawiać możesz słusznie. ja się sam siebie lękam. Ja nie marzyłem nigdy ani o świetnych losach. ani o ożenieniu tak rychłem, jestem biedny marzyciel niepraktyczny, zdziaczały, potrafię ja stanąć u twego boku tak, byś się nie wstydziła za mnie?

— Nie lękaj się pan. przerwała Iza. ręką dotykając jego dłoni, może być że nieznani sobie prawie, połączeni trafem w świecie najdziwniejszym. długo dla siebie będziemy zagadkami. wiele przecierpim, ale to wszystko dla mnie będzie rajem jeszcze. Moje życie tu. to śmierć powolna. Mów pan.

Walek uchwycił długą, białą. chudą nieco rączkę hrabianki i milczący złożył na niej pocałunek. Rumieniec oblał twarz Izy.

— Masz pan mój pierścionelek. zawołała żywo. weź. ja słowa nie złamię. A teraz uchodź, godzina już grozi niebezpieczeństwem. może ktoś nadejść. mogą mieć podejrzenia. będą mnie strzedz. co utrudni ucieczkę. Zamów pan konie i powóz, dam znać!

To mówiąc. hrabianka Iza spojrzała na zegarek. ścisnęła rękę Waleka. nśmiechnęła się. bystro wpatrując się chwilę w niego i rzekła:

— Uchodź pan. tą aleją, wprost do furtki, ja muszę do pałacu...

Ręką wskazała mu drogę i biegnąc znikła z oczów. Walek pnął z trwogą aleją, wśród której dotąd nikogo jeszcze nie było. szumiały mu w uszach ostatnie wyrazy Izy, rad był już się znaleźć na drodze, za parkiem. serce biło. ćmiło się w oczach. Dochodził niemal do altany, gdy na samym progu postać nieznaną w szarym surducie, z twarzą lisią i malemi oczkami chytremi. zabarykadowała mu sobą drogę i głos ochrypły pozdrowił go piekielnem.

— Dobry dzień!

ROZDZIAŁ VI.

Rozstaliśmy się z naszym pseudo-bohaterem w chwili nader krytycznej. Wychodząc z cndzego ogrodu, do którego się weszło nie dopełniwszy zwykłych formalności. spotkać w progu jednego z urzędników, którym jest powierzona straż tego Hesperyd schronienia — czyni zawsze wrażenie nader niemiłe. Cóż dopiero, gdy ten strażnik ma fizyognomią gorzej niż smoczą, bo lisią, gdy się kłania i mówi: — Dzień dobry — jak ćwieczkiem przybijając przywitaniem nie-szczęśliwego intruza!

Walek Luziński nie należał jeszcze w tej dobie swojego życia do ludzi władających zręcznietwem, intrygą, kłamstwem i szalbierstwem. był dumny, chciwy wszystkiego, zarozumiały niepomierzenie, gwałtowny, ale przebiegły nie był wcale. To też, gdy mu w uszach zaśpiewało owe słodzinie wymówione: — dzień dobry, wargi mu się trząść zaczęły, w głowie zawróciło, a przed oczyma poczęły latać jasne płatki, tak, że na chwilę obawiał się, czy nie padnie, brała go chętka uciekać, to było także nie do rzeczy.

Szaraczkowy, lisowaty jegomość przyglądał mu się tymczasem bacznie i tak dalece starannemu przeglądowi poddał całą jego figurę — że pierścionek na palcu Walka, którego nie miał czasu, ani przytomności ukryć, wpadł mu w oczy.

Wzrok nieznajomego jegomości (który był nie kim innym, jak znanym nam już panem Mamertem Klaudzyńskim) — przywiązał się do tego pierścionka tak, iż zdawał się o właścicielu jego zapominać, twarz mu się schnurzyła, namarszczyła, ale łagodny uśmiešek wkrótce ją wypogodził. Ruszył ramionami.

— Wszak — jeśli się nie mylę — rzekł niesmiało pan... pan Walenty Luziński? zapytał.

Słyszając swe nazwisko młody człowiek zmieształ się, ale zaprzeczyć się nie było podobna.

— Tak jest, wybąknął zmieszany.

— Tylko jedno pytanie, ale w interesie pańskim własnym, racz mi szanowny pan, acz nieznajomemu, odpowiedzieć szczerze. Nie żądam wiedzieć nic, jedno tylko. Wszakżeś pan tego pierścionka, który masz na palcu, w ulicy nie znalazł?!

Walek schował szybko rękę przełkniętą i oczy wlepił w pytającego.

— Panie szanowny, dodał, ze słodszy jeszcze uśmiechem pan Mamert—ja nie chcę i niepotrzebuję wiedzieć od kogo pan go ma, ani z kąd, ani jak, tylko czy go pan nie znalazł?

To mówiąc, odchrząknął.

— Nie znalazłem go i jest moim, za to panu zaręczyć mogę—odparł namysliwszy się Walek.

— Otóż tyle mi tylko wiedzieć było potrzeba, zawołał pan Mamert, ranek jest przesliczny, powietrze miłe, gdybyśmy się cokolwiek przeszli, tak tędy, gąszczami, możeby się znalazło o czem pomówić coby panu nie było nieprzyjemnem, owszem... owszem...

Ale najprzód winienem się panu zaprezentować, jeśli mnie z miasteczka z twarzy nie znasz, jestem Mamert Klaudzyński, pełnomocny rządca klucza Turrowskiego.

To mówiąc uchylił czapki. Walek się sklonił, serce mu biło. Został tak pochwycony wirem wcale niespodziewanym wypadków, że do siebie jeszcze przyjść nie mógł. Czuli, że może popełnić jakie głupstwo przez brak krwi zimnej i doświadczenia, był jak na szpilkach. Obiecywał sobie w duszy jak najostrożniej milczeć.

Rządca prawie bezwładnego wprowadził z sobą w ciemną, zarosłą, wilgotną aleję, ogromnego, nieco w tej stronie opuszczonego ogrodu. Znał on bardzo

dobrze wszystkie domowe obyczaje i wiedział gdzie może być pewnym samotności zupełnej.

Walek szedł jak na stracenie; gdyby nie ów czarodziejski pierścień, który czuł na palcu, który mu dodawał odwagi, byłby może stchórzył i najśmieszniej w świecie umknął.

Pan Mamert stanął, ujął za rękę młodzieńca. znówu się zdobył na uśmieшек i szepnął:

— Chociaż nie mam szczęścia być panu bliżej znajomym. będę mówił otwarcie. Pierścionek ten otrzymałeś pan przed chwilą od hrabianki Izy. Ja jestem przyjacielem starym i sługą tej rodziny, życzę jej dobrze, tłómaczę sobie postanowienie hrabianki, położenie pańskie, wszystko. Ale czy też pan dobrodziej dobrze rozważyłeś trudności dzisiejsze i późniejsze tego przedsięwzięcia? czy masz jakie środki do przełamania nastroczających się trudności?

Walek milczał wedle planu.

— Bo, widzisz pan dobrodziej — mówił spokojnie Mamert, rzecz się niezawodnie uśmiecha, panny są bardzo majątne. pełne osobistych zalet, wysoko urodzone i skolligacoe, ale pierścionek i słowo dostać. to panie dobrodziej, może najłatwiejsze ze wszystkiego—ino co dalej? co dalej?

Walek wzdychał ale milczał, pomny na to, że milczenie jest, wedle przysłowia wschodniego, złotem.

— Hrabianka Iza parę razy już podobno dawała (jeśli się nie mylę) ten pierścionek i odbierała go nazad. gdyż obdarzony nim, sam się wyrzekał ślubnego. rozrachowawszy przez jakie ciernie i głogi iść doń było potrzeba.

Walek wprawdzie głową poruszył i nieprzyjemnie mu się zrobiło. ale zmilczał jeszcze.

— Co pan myśli dalej? zapytał Mamert.

Usta otworzyć, wydać się z czemkolwiek bądź, potwierdzić domysły, zwierzyć się narzucającemu się człowiekowi było nader niebezpiecznem.

Rządca wyczekawszy na odpowiedź, a nieotrzymawszy jej, kiwnął głową i począł cicho i łagodnie,

tak, jakby cieniუსienki klinik pomalutku chciał wbić w głowę panu Luzińskiemu:

— Masz pan zupełną słuszość. że jesteś ostrożny, że mi się mało, nader mało — prawie można rzec nieznanemu. wcale nie zwierzasz. czyni to panu zaszczyt. Na świecie. z ludźmi. nigdy dosyć ostrożnym być nie można.

Ale należy zaraz objąć położenie i osądzić. Ja te panny kocham. ja im dobrze życzę, jak skoro hrabianka Iza uczyniła postanowienie, leży mi na sercu, staremu. wiernemu słudze, by jej dopomódz, ułatwić. Nie tajno pann. jak tu pokrzyżowane są okoliczności, stosunki. jak ja szczególnie ostrożnym być muszę, a pan także.

Otóż bez namysłu. kochany panie. ja panu ofiaruję pomoc moją. a ręczę, że jej lekceważyć nie należy.

Walek spojrział bystro.

— Powoduje mnie do tego, wywnętrzał się zawsze klinowato Mamert, — najprzód przywiązanie do tych nieszczęśliwych istot, potem... potem...

Pan wie—dodał. że ja rządę ich majątkami?

Luziński potrząsł głową.

— Ja nic nie wiem. mruknął.

— Otóż ja panu to oznajmuję. tak, rządę majątkiem hrabianek. Naturalnie. do najuczciwszego z ludzi można sobie najdziksze zrobić pretensye, idzie mi oto abym w sumieniu będąc czysty. mógł też być o przyszłość moją spokojnym. Rozumie pan. w ten majątek się wiele włożyło. są naturalnie rachunki, to, owo.

Jeżeli ja panu ofiaruję pomoc moją, nawzajem mogę rachować na to. że pewną wdzięczność pozyskam.

Ostatni wyraz wymówiony był z pewnym naciskiem. ale Mamert miał do czynienia z człowiekiem tak niepraktycznym. nie dorozumieć się nienmiejącym, iż spojrzawszy mu w oczy. postrzegł, że plan cały i efekt wyrazu został chybiony.

Zamilkł, niewiedząc w co uderzyć.

— Jeżeli ja panu zechcę przeszkadzać, dodał rozjaśniając myśl swoją, no... ale ja tego nie mogę chcieć i nie zechcę... gdybym wszakże zamysłał, nieby łatwiejszego nie było jak pójść do hrabiny, słówko szepnąć, a wszystko byłoby skończone i panny wyjechałyby sobie gdzieś... daleko. Ale mi ich żal. Mówmy otwarcie, zawieramy przymierze, czy nie?

— Ale ja... widzi pan... odezwał się jękając Walek. ale ja... ja nie mogę, mnie się nie godzi, ja muszę milczeć.

— Ja będę mówił za pana. możesz tylko kiedy niekiedy głową kiwnąć, to będzie dostatecznem dla porozumienia się. Wchodzę w delikatne położenie jego.

I — widzi pan, mówił, wsuwając rękę swą pod ramię Walka, aby mn nie uciekł — widzi pan, warunki moje proste są, wcale nie ciężkie, ludzkie, uczciwe.

Pan starasz się i masz, jak się zdaje, nawet przyrzeczenie hrabianki Izy — bardzo dobrze! Drugi konkurent, o którym ja wiem, chętnieby wziął hrabiankę Emmę, która mimo przywiązania do ojca, da się do stanu małżeńskiego skłonić, połączcie panowie siłowania wasze, porozumiejcie się wzajem, we dwóch uczynicie to łatwiej. Co do mnie, ja obu szczerze pomagać przyrzekam, a jużciż nie narażając się na nic, możesz pan, którego tak wielkie szczęście spotyka — dać mi na piśmie zaręczenie, że dla mnie uczynisz to, co uczyni drugi? prawda? Spojrzał w oczy Walkowi, któremu się nareszcie wyjaśniło czoło i poczynął rozwiązywać nsta.

Dopiero teraz poznawał Łnziński, że szło na prawdę o nmowę, która mogła przyspieszyć i upewnić tak nadzwyczaj świetne dlań małżeństwo.

Zmiarkował, że zostawiony sam sobie rady dać niepotrafi, że jeśli mn zechcą szkodzić, on ze swą niezręcznością i porywcznością raczej popsuje niż polepszy sprawę. Pilno mn było, aby ten raj dogadzający jego dumie co prędzej mu się otworzył. by on, dziecię sierota, bez rodziny, prawie bez nazwiska — pochodzenia

tak skromnego. nagle stanął na najwyższym szczyblu społecznym. Tu był pewnym. że zdolnościami swemi wkrótce potrafi olbrzymie wyrobić stanowisko i zaćmić wszystkich. Na wielu przymiotach mu zbywało. ale zarozumiałością mógł by się był z kilku młodemi rówieśnikami podzielić.

Jak wszyscy ludzie jego charakteru. Luziński nagle prawie przeszedł cały w ręce człowieka. któremu przed chwilą nie ufał. Wyciągnął rękę drżącą ku panu Mamertowi. na którego twarzy nie było śladu najmniejszego wzruszenia i rzekł:

— Zgoda, na wszystkie warunki. ufam, że pan nas nie zdradzisz.

— A teraz, szepnął na ucho Mamert, nie miejsce tu jest mówić o szczegółach. mógłby nas kto podpatrzeć lub podsłuchać, wracaj pan do Bożej Wólki, z której— jeżeli się nie mylę przybyłeś. nie dawaj po sobie nic poznać, pierścionek schowaj, bo się lękam, aby pan Bogusław go nie poznał. Dobry człowiek. szkodzić nie będzie. ale podochocony rozpapie, coby wszystko zepsuć mogło.

Jeśli się nie mylę. albo tam jest, albo będzie, dziś pewnie będzie (dodał z naciskiem rządca) baron Helmold Kaptur, Galicyanin. On pana zaczepi na bok o sprawę, trzeba się z nim ułożyć. Tu zniżył głos pan Mamert i cichutko szepnął:

On jest pretendentem do hrabianki Emmy, rozumie pan.

Reszta później. wychodź pan tędy. grobelką. do zwierzyńca. a tam do dworu wiadoma. Do zobaczenia. w miasteczku. dziś wieczorem. koniecznie u Mordka Szpetnego. gdzie i baronowi należy być. ale proszę ostrożnie! aby nikt nie widział—tyłami! i milczeć. Prócz barona nikomu słowa.

To mówiąc, zamieniwszy jeszcze cichych kilka wyrazów z Walkiem, pan Mamert. wywiódł go za furtkę. puścił. a sam do parku powrócił.

Cała ta scena nie trwała długo. ale na obu artystach co ją odegrali. głębokie uczyniła wrażenie.

Walek wyszedł na ocienioną groblę jakby rozmarzony i pijany. pan Mamert smutny i zamysłony począł się błąkać po parku. Widać było po nim, że głęboko ważył, dumał, rachował, że przechodził przez moment niemily, ale nieunikniony swojego życia.

— Dalej, mówił sam do siebie, rzeczy tak stać nie mogły wyprężone, naciągnięte, wszystko ma na świecie koniec, mogło się skończyć daleko gorzej. Rozumny człowiek — finem spectat. Ci panowie są w moich rękach, a hrabianki uczynią co ja zechcę, gdy tylko z niewoli wypuścić pomogę. Nie było ratunku! Dziś lub jutro stary by zmarł, panny by się wyemancypowały, mogły by sobie dobrać takich mężów coby mnie pociągnęli do kalkulacyi. Już trzeba z tego wyjść, niechcę dłużej siedzieć na tej huśtawce. Stało się... stało się.

A zresztą — dodał po namyśle pewnym — choćby się i nie stało — trzeba żebym miał zawsze ich w ręku. Jeżeli się im nie powiedzie, będę ratował siebie.

Zamachnął ręką — w tej chwili cień mignął przed nim, strwożony jak gdyby go na uczynku złapano, podniósł oczy i ujrzał przed sobą stojącą z widocznie pomieszaną twarzą, hrabiankę Izę.

Położenie było trudne, ale szczęśliwe. Hrabianka widocznie domyślała się czegoś, obawiała się pana Klaudyńskiego, przeczuwała coś.

Pan Mamert zdjął czapkę i pozdrowił ją nader nprzejmnie i czule, z fizyognomią kondolencyjną — Iza wstrzymała się.

— Pan Mamert tak rano wstaje?

— Ja, hrabianko dobrodziejko, rzekł stary lis — ja muszę być rannym ptakiem, idę spać z kurami, ale wstaję z nimi. Wszystkiego trzeba dojrzeć, zajrzeć wszędzie, czeladź byle nie czuła dozoru, to się rozpuści, a sumienny człowiek jest niewolnikiem przyjętych obowiązków.

— I nawet w ogrodzie masz pan co do czynienia? zapytała hrabianka, wpatrując się w niego.

— Nie, ale wracając z pola, furtką około altany.

ujrzałem jakąś obcą postać. o tej godzinie podejrzaną i to mnie, przyznając się, zaciekało, zaniepokoiło, aż musiałem wejść.

Iza się zarumieniła nadzwyczajnie, chustką. pod pozorem lekkiego kaszlu. zakryła usta. spuściła oczy.

Mamert się uśmiechnął bardzo ojcowsko. łagodnie, z wyrazem współczucia serdecznego, który nie uszedł ukradkowego wejrzenia Izy.

— Spotkałeś pan kogo? spytała.

— Złapałem. mogę powiedzieć — odezwał się Mamert. bom go jak wilka w kniei osaczył u furtki, a przez płot zmykać nie mógł.

— któż to był?

— E! to był sobie włóczęga! rzekł. śmiejąc się i mrużąc oczy rządcą. pani go pewnie i nie zna.

— Ale któż przecie — i co tu robił? niejspokojnie poczęła Iza.

Maniert obejrzał się bacznie i szepnął:

— Czy ja mogę wiedzieć po co on tu przychodził?! A panna Manetka! może to ona go ściągnęła? Może kto inny, to pewna. że kobieca sprawka, bo chłopiec młody. Ja go znam z miasta, wychowaniec doktora Myliusza.

Spojrzeli sobie w oczy, rządcą spytał.

— Hrabianka go nie zna?

Izy brwi się zmarszczyły. miała we krwi pański animusz (jak to dawniej nazywano) nieco ją oburzyło, że ktoś sobie mógł pozwolić z niej żartować, a z mowy domyślała się, że Mamert ich wyszpiewował.

— Znam go! odparła śmiało.

— A a a! pani go zna! przepraszam, zawołał kłaniając się rządcą, pani go zna. Może hrabianka go i teraz widziała?

— Widziałam go. ani się tego zapieram, śmiało zawołała Iza. Panie Klaudzyński, chcesz być moim przyjacielem, czy należeć do ciemieńców—mów otwarcie—mów.

— Mamert uczuł się szczęśliwym, jakby go kto na

sto koni wsadził — wszystkie nici i sznurki same mu się w ręce cisnęły.

— A! hrabianko! zawołał z wymówką niby boleści pełną—godziź się mnie takie zadawać pytanie? mnie! staremu słudze waszemu. nad którego pewnie nikt goręcej szczęścia ich nie pragnie?

Iza przyskoczyła, a oglądając się i kładnąc palec na ustach:

— Słuchaj Klaudzyński — rzekła tonem pańskim, dopomóż do oswobodzenia mnie, a żałować tego nie będziesz.

— Ani miejsce, ani pora mówić o tem, szepnął Marmert, pani wie, że tu u nas wszyscy podejrzani. kto wam dobrze życzy — powiem pani tylko tyle. że rzecz cała się robi, ale niech pani namawia hrabiankę Emmę, aby na barona Helmolda łaskawszem rzuciła okiem. To się inaczej nie może wykonać tylko razem, rozumie mnie pani, a nadewszystko ostrożnie. Mogą mi hrabianki zaufać.

— Ja ci jeszcze raz powtarzam, nie pożahjesz tego, Klaudzyński, daję ci słowo na to. Wiesz wszystko. rób co ci twoje sumienie i przywiązanie do nas podyktuje. Ja pomówię z Emmą.

— Idź pani! wracaj! na miłość Boga. już po ogrodzie chodzić zaczynają. Dosyć kwadransa rozmowy. żeby o tem hrabinie donieśli. nie trzeba budzić podejrzeń, na miłość Boga, — to wszystko utrudni! owszem, zbliżyć się do nich, nic nie okazywać. cicho! cicho!

Klaudzyński skłonił się szybko, rzucił oczyma do koła i krokiem umiejętnie obrachowanym. usunął się w gąszcze. Iza stała chwilę zadumana. czoło się jej rozjaśniło jakby tryumfem jakimś. spojrzała w niebo wesoło i młodszym. żywszym krokiem, pobiegła do swoich pokojów.

ROZDZIAŁ VII.

W saloniku panien właśnie ranny robiono porządek, słudzy pootwierawszy okna, pościągawszy dywany. opylali, zamiatali, czyścili — Emmy nie było. Iza z niespokojnością gorączkową pobiegła jej szukać i znalazła siedzącą w swoim pokoju, na ziemi, z głową w dłoniach. z oczyma zapłakanemi.

Na szelest sukni siostry. Emma powoli podniosła oczy i spostrzegłszy niewychyżnioną ożywioną twarz Izy, zdziwiła się.

— Co ci jest? spytała.

— Mnie nic — a tobie?

— Ale ty cała promieniejesz?

— Nie — nie. byłam w ogrodzie. latałam. a ty?

— Byłam u ojca. płakałam. odparła Emma cicho i rozplakała się znowu.

Izbie poruszyło się serce na widok tej boleści i przyklękła przed siostrą.

— Moja ty droga — rzekła — i ja też ojca kocham — ale, niestety, my mu nie pomożemy naszym współczuciem i łzami.

— A! straszne! okropne to życie nasze. poczęła mówić Emma. ten ojciec. ta macocha, ten brat przybrany, dwór i niewola! Człowiek dźwiga brzemię, które mu los na ramiona wrzucił. w końcu złamany pada, bezsilny. W sercu taka boleść i tęsknota. w duszy takie przepaście ciemne. Chwilami pytam sama siebie, na co mnie Bóg stworzył, jeśli mi nie oprócz męczarni nie przeznaczył? Noc, noc i ani promyka nadziei.

— A! Emusiu ty moja, rzekła Iza siadając na ziemi przy niej, gdyby promyk błysnął nawet, czyż ty byś oślepiąca ciemnością spojrzeć się nań odważyła. W naszym położeniu trzeba odwagi, zuchwalstwa posuniętego do szaleństwa. na wielkie bóle są lekarstwa gwałtowne tylko, a ty... a tobie Emusiu braknie odwagi właśnie.

— Kto ci to powiedział? nie znasz mnie, zawołała Emma, mam może więcej jej nad ciebie, ale mnie przykuwa i rozbija ojciec... O! inaczej dawnoby mnie tu nie było! tak jak ty pierwszemu lepszemu bym podała rękę.

— Alboż ja ją podałam? — spytała zdumiona Iza.

— Przynajmniej mocno się na to zanosi, odparła Emma.

— Zkądże ty to masz?

Emma ruszyła ramionami.

— Izo, rzekła, wychowałyśmy się razem, żyłyśmy razem i myślą jedną, co w tobie drgnie, ja odczuwam jak bliźnię, w myślach twych czytam jak w swoich. w rysach rozumiem co je zmarszczy, lub rozjaśni i ty przedemną chcesz mieć tajemnice?

— Ale przecież ja nierozumiem doprawdy, niepojmuję tego, odparła zmięszana Iza.

— Uspokój się, niewiem uć, mówiła Emma, ale wiem, że jest coś czego niewiem. Stało się to wczoraj, dziś, niepowiem.

W tej chwili spojrzała na ręce siostry i zawołała żywo:

— Oddałaś mu pierścioneł?

Iza zmięszała się niezmieranie.

Komu? gdzie? — zapytała.

— Niewiem, aleś oddała, śmiejąc się boleśnie, mówiła młodsza. Cóż? czy baronowi?

Iza zrobiła minę pogardliwą i potrząsała głową.

— Nie, baron dla ciebie.

— A! baron dla mnie! niewiedziałam, zawołała Emma, czy mam koniecznie go wziąć? nie bardzo mi się podobał.

— Koniecznie. szepnęła Iza. trzeba żeby ci się podobał.

— Ale naturalnie, przerwała Emma, nie patrzy się na rękę. która wywraca mury więzienia i wyciąga się ku nam.

— Moja droga, marszcząc brew zimno poczęła Iza, nauce nas tak życia, że ono dla nas już nie ma tajemnic. Idzie o to. aby się wydobyć z niewoli. a małżeństwo... wszak nieraz się potem zrywa.

Emma zadrżała. jakby ją dreszcze przeszły.

— Tak, rzekła, jest-to słicze życie nowe. które świat zrobił. znajdując że tamte dawniejsze było niewygodne. Przecież swoboda warta pewnej ofiary. a...

— Baron jest człowiek wcale przyzwoity.

— Oni wszyscy wiele ich jest, rzekła Emma wzgardliwie. są w salonie bardzo. ale bardzo przyzwoici. Szkoda że ci aktorowie salonowi, jakimi są ludźni w domu. w pożyciu rodzinnem, o tem nikt na świecie nie wie i tego żadna się z nas nie domyśli.

No. przerwała Emma. ale któż jest twoim baronem? Co się święci? co się robi? przecież ja powinienabym coś wiedzieć...

Zaszeleściło w przedpokoju. obie siostry zniżyły głos. przestraszyły się. Iza położyła palec na ustach i zaczęły mówić o czem innem.

— Założyłabym się, poszepnęła na ucho Emma siostrze. żeś ty już zdecydowana na tego. co to nas spotkał u karczemki w lesie. gdy się nam koło złamało...

Iza potakująco skinęła głową.

— I już dałaś mu pierścionek? — zapytała Emma.

Iza wejrzeniem odpowiedziała.

Po chwili wyszła do drugiego pokoju. obejrzała drzwi, pootwierala te, które podsluchujacego ukrywac mogly i zbliżywszy się do Emmy. poczęła poważnie. zimno. sucho.

— Znasz mnie. dla ciebie ja nie mogę mieć tajemnic, bo by mi wzrok twój zajrzał do duszy i mogłabyś powiedzieć mi: kłamiesz... Mnie jak tobie idzie o swobodę. o pokruszenie więzów. o wyjście w świat

i życie. Ten człowiek mi się podobał, ma ambicję wielką, jest żywy, śmiały, może mieć i wady. Kochać go będę, chcę, pragnę, jeżeli potrafię, jeżeli serce nie przemówi. wszystko mi jedno. Rachuję na to, że biorę ubogiego, że go podnoszę, że mi wszystko winien będzie, że jestem starsza i że poprowadzę go jak zechcę. Nie mam żadnych złudzeń, patrzę w świat rzeczywisty. Zgadłaś, że jestem zupełnie zdecydowaną. Idzie o ciebie. Ja bez ciebie nie mogę być wolną.

Emma spojrzała.

— Ja idę w dodatku? — rzekła, ale prawda, my się rozdzielać nie możemy. Poszłabym, mogęż tego nieszczęśliwego ojca tak zostawić?! Jeżeli jeszcze mnie nie będzie, ci ludzie go zamęczą.

— Ale życie ojca jest im potrzebne!

— Tak, prawda, a przecież go zamęczą. on jedną mnie zna i kocha. ja jedna przychodzę do niego z uśmiechem i pieszczotą. Co on pocznie gdy mnie zabraknie. na samą myśl się tę wzdrygam?!

— O! tyś lepsza, tyś poczciwsza ode mnie. przemówiła Iza po chwili. tak, ale powiedz-że mi, mogęż ja ciebie tu porzucić i mamyż tak pozostać wiecznie?

— Siostro droga, smutnie rzekła Emma, dni tego biednego ojca policzone. A wówczas gdy w tym domu zostaną tylko wspomnienia trupie i ta hałastra, ta szarańcza francuzka, pójdziemy już gdzie zechcesz...

— Słuchaj, przerwała Iza, no, a gdybyśny ojca wzięły z sobą?

— Ojca! z sobą! — śmiejąc się boleśnie zawołała Emma, ależ jak ruszyć tego kalekę? tego więźnia strzeżonego pilniej jeszcze niż my?.. To jest śmieszność, to rzecz zupełnie niemożliwa.

— Niemożliwa! — smutnie powtórzyła Iza, tak, dla nas niemożliwe wszystko, prócz niedoli...

I zamilkły obie. Milczenie jednak nie trwało długo, Iza była pod wrażeniem dwóch rozmów porannych, a w życiu jej dwa te stanowcze kroki zbyt ważną stanowiły epokę, by ją do głębi nie poruszyły. Dotąd znosiła z rezygnacją los swój, znała powszednie jego

warunki, od tej chwili rzucała się w nieznane i musiała z biernej istoty stać się energiczną i samoistną. Zmiana taka nie przychodzi łatwo, czuła w sobie niepokój, chwilami przestraszczała, ale niebezpieczeństwo ją ciągnęło, przepaść ta co się zowie nieznaniem, nieodgadniętem, tajemniczem, nęciła ją.

Co bądź byle życie nowe!

Poruszyła się, jakby otrząsając z wrażenia niemocy i zwątpienia.

— Uczynisz Enmo, co ci serce natchnie, rzekła, mój los jest rozstrzygnięty, dałam słowo, jemu i sobie go dotrzymam.

Emma spojrzała na nią z podziwieniem i przestraszczeniem razem.

— A! gdyby nie ojciec! — szepnęła. poszłybyśmy razem.

— Cokolwiek się stanie, dodała Iza, mój los i postanowienie wpłynię na twój i nie może go pogorszyć.

Głos Manetki, która wbiegła, jak się zdaje siostry szpiegować, przerwał nagle rozmowę.

ROZDZIAŁ VIII.

Gdy Walek powrócił do Wólki, wszyscy tam jeszcze spali po orgii wczorajszej. oprócz gospodarza, którego żelazny temperament ani snu, ani wygod, ani spoczynku nie potrzebował.

— Ot to mi rauny ptaszek, zawołał, zobaczywszy go kroczącego od strony zwierzyńca. Szukałeś zape-

wne natchnienia, które z rosą poranną spada, ale wyglądasz. jakbyś zamiast niego wilka gdzie spotkał.

— Jakże wyglądam? nierozumiem — odezwał się Walek.

— Przestraszony. zmęczony. z trochę gorączki.

— Po prostu się zineczyłem, i nic więcej.

Bogunio obejrzał go od stóp do głów.

— Jest kto u ciebie? zapytał Walek.

— Ale u mnie zawsze ktoś jest, ktoś był lub jest oczekiwany — zaśmiał się gospodarz. Myslę, że ten baron galicyjski wczorajszy, któremu się w Turowie znudzi. pewnie tu dziś będzie. Szepnąłem mu na ucho żeby u mnie odpoczął, w Turowie można Bogu ducha oddać z don Luisem, panem Brunonem, hrabiną i uroczą Manetką, a no — i z dwoma nawet staremi kuzynkami.

Walek za ten przymiotnik niegrzeczny, spojrział na Bogunia.

— Jakto, staremi? powtórzył.

— No — młode nie są — odparł gospodarz, ale dojrzale i dobrze dojrzale, starsza nawet, zdaje się zaczyna wieść. Biedne panniska. dawno by to za mąż poszło. bo są majątne, dobrze wychowane i pięknego imienia, ale je tam dobrze pilnują.

Walek spojrział na Bogunia szydersko. Mimo przestrogi Mamerta, zapomniał był zdjąć z palca pierścionka; pierścionek był charakterystyczny, Bogunio rzucił nań okiem, podniósł mu się brwi. usta skrzywiły, osłupiał na chwilę, a potem śmiechem parsknął.

— Jak Boga kocham. zawolał! jak Boga kocham! to mówiąc, ręce załamał i dodał żywo — a niechże cię trzysta...

Walek nierozumiał o co chodziło, ale strasznie będąc urażliwy, nasrożył się.

— Cóż to znaczy?

— Znaczy. że kiedy kto od starej panny dostanie stary pierścionek. który wszyscy na sto mil dokoła znają, to go powinien sobie na ładnym sznureczku je-

dwabnym powiesić na piersiach. a nie zdradzać się lub chwalić.

Walek pobladł. tzybko zdjął pierścień i skrył go. Było to przyznaniem się do winy.

— Na miłość Bożą cię zaklinam, zawołał. niech że to między nami zostanie.

— Ale bądź spokojny. schowam to sobie do kieszeni, zapnę i żywa dusza o tem wiedzieć nie będzie. musisz mnie jednak w nagrodę objaśnić. jakim sposobem u diabła tam trafiłeś? Oczom nie wierzę.

— Nic powiedzieć nie mogę, otwarcie tylko ci wyznam, że — że tak w istocie jest i że paplaniem zgubić możesz dwie istoty.

— Cyt! nie puszczaj się w romanse. bo ci nie uwierzę. Dwie istoty zakochane! zrozpaczzone! Tereferel! dwie istoty! Jak gdybym ja nieznał Izy od młodu. a z tobą do szkół nie chodził. Naturalnie. że hrabianka w jedwabnej sukni. musiała zrobić na tobie wrażenie, a twoja młodość i śmiałość. na niej. ale żebyście się mieli pozakochiwać. daj pokój!

Rozśmiał się.

— Zostaw to mnie.

— Oczywiście to nie moja rzecz, rzekł Bogunio, rób co ci się podoba, ale ponieważ zdradziłeś się przede mną. muszę cię przestrzedz, że Duval jak cię złapie. lub gdy cię Mamercio wyspieguje, ryzykujesz wiele. Oba grnbianie.

— No! no! nie mówmy o tem.

— Nie mówmy.

— Czy baron przyjedzie? spytał niespokojnie Walek.

— Sądziłbym! spodziewam się.

— Sam? dodał Walek.

— Za to ręczyć nie mogę. Ale na cóż ci baron?

— Mam potrzebę zbliżenia się do niego. rzekł Luziński.

— Nie będę cię badał — bądź spokojny — odparł. klepiąc go po ramieniu Bogunio — a że z serca ci się ofiaruję pomagać — wierz.

Czy ty i ona zrobiliście dobry wybór. no — nie wiem. ale zawsze to dla niej lepsze niż zwiędnąć na gałęzi. Oburzała mnie ta niewola, trzeba, żeby się to raz skończyło,

Chodź na kawę.

We dworze powoli budzili się rezydenci, goście nocą przybyli. stajnia. psiarnia. służby i wszyscy gospodarzyli już u Bogunia jak u siebie. Jedni kazali sobie przynosić kawę. drudzy wynosili się śniadać w dziedziniec. komuś już konia kulbaczone i w niewielkiej odległości strzały było słychać. wystrzeliwano znać stare naboje.

Bogunio patrzył na ten rozgardyas z krwią najzimniejszą.

— Co to jest, rzekł. kiedy kto ma słabą głowę i nie dobrą pamięć. dalipan nie mogę sobie dziś przypominieć. czy ja Luisa i barona prosiłem na obiad dziś. czy oni mi być przyrzekli. czy nie?

Kiwnął na przechodzącego wąsatego rezydenta. który specjalnie zajmował się końmi w Bożej Wólce.

— Rotmistrzu. byłeś wczoraj do końca?

— A byłem.

— Czy don Luis ze swym gościem. obiecał mi być dziś na obiedzie?

— Dalipan nie — niepamiętam, cicho zawołał rotmistrz.

— A! niechże cię też z twoją pamięcią, takiej rzeczy niezanotować.

Rotmistrz potroszę był skonfundowany. ale nśmiechnął się.

— A pan? szepnął.

— No — ja! ja! niecierpliwie zawołał Bogunio. ja nie jestem obowiązany mieć pamięci — od czegoż wy jesteście? — to skaranie Boże.

Odwrócił się i poszedł. Walek też rad był wymknąć się do swego pokoju, wypocząć nieco. pomysleć i osnuć jakiś plan na przyszłość. Chciałby był zaraz powracać do miasteczka. ale Mamert rozkazał mu się widzieć z baronem. musiał czekać.

Wprawdzie wygodnie było w Bożej Wólce. ale towarzystwo szumne, hałasliwe. łatwe do zwady, lekceważące Luzińskiego, — nie smakowało — mu. Znalazłszy w swoim pokoju jakąś książkę, siadł i czytał.

Bogunio zajęty końmi. ludźmi. śniadaniem. podobno w dodatku wierzyicielem jakimś. jeszcze niepokazywał się. Już miał zejść Walek na dół, gdy zapukano do jego pokoju i oznajmiono mu. że na dole nań czekają. Dosyć zdziwiony znalazł w dziedzińcu przechadzających się razem ręką w rękę, jakby starych znajomych. gospodarza i barona Helmolda.

Luziński był już z nim niby od dnia pierwszego spotkania znajomy. przywitali się, ale na teraz badając się wzajemnie oczyma. ze szczególną ciekawością.

Walek był zakłopotany. Baron acz pan siebie i niedający nic poznać po sobie, był trochę skwaszony. że mu los dawał towarzysza nie do kalibru. bez tytułu. bez wychowania, bez polityry i prostego takiego nieszczańczuka. ale przekonać go było potrzeba.

— Panowie. rzekł Bogunio szydersko jakoś. macie z sobą pewnie do pomówienia o literaturze? nieprawdaż? idźcież do ogrodu i nagađajcie się.

Baron coś zabelkotał. Walek spuścił oczy. gospodarz znikł, dwaj panowie zostali sami. Z początku milczeli. rozpoczęcie rozmowy było w istocie trudnem.

— Pan Mamert Kładziński — rzekł baron. chciał, abyśmy się z panem skomunikowali.

— A... bardzo chętnie. odparł Walek.

— Pan zarówno wiesz moją tajemnicę, jak ja — pańską. Interesa nasze są jednej natury. powinniśmy sobie dopomagać wzajemnie.

Podał rękę grzecznie, Walek nie nawykły do podobnych zwierzeń. nie obyty z życiem. belkotał coś niewyraźnie.

— Ja się chcę starać o pannę Ennę. pan się już podobno zbliżył do hrabianki Izy. Mam nadzieję. że i ja interes mój z pomocą pana Mamerta wkrótce postawię na dobrej stopie. idźmy więc razem. Jaki jest pański plan? zapytał baron.

— Mój plan! szepnął lękliwie Walek, ale ja... ja jeszcze nie mam żadnego. nie zdałem sobie sprawy z położenia, nie miałem czasu się namysleć.

— Nie ma najmniejszej wątpliwości. wesolo przerwał baron. biorąc rzecz żartobliwie. iż my nasze panny będziemy musieli kraść. Że ani pann. ani nawet mnie, ta francuzka klika ich nie da po dobrej woli, to pewna. Zawczasu więc należy się zabezpieczyć, jak my to wykonamy. kto da ślub? gdzie? Pan. jako miejscowy. mógłbyś to przygotować.

— Ale jesteś pan tak blisko z panną Eumą? zapytał Walek.

— Ja — wcale dotąd nie, ale traktuję przez wszechmogącego Mamerta. a za mnie mówi niewola panien. ucisk ich. znudzenie. Panna mi się podoba, ma bardzo arystokratyczną powierzchowność, przywiążę się do niej, ona także. Uważam to za rzecz skończoną. wstępne formalności w tych dniach się dopełnią. mam nadzieję. Więc jak pan myślisz?

— Ale ja. ani doświadczenia, ani inwencji, ani planu dotąd nie mam — zawołał Walek. jeżeli baron możesz co poradzić, posłucham.

— Ja?... Wprawdzie tak bardzo nowicynszem nie jestem. nsmicchnął się Helmold—raz w życiu kradłem już pannę ubogiemu szlachcicowi. ale nie dla ożenienia... To mnie tyle tylko nauczyło. że trzeba mieć dobre konie, zresztą nie wiem nic.

Powóz, konie, ludzie, zdają mi się rzeczą najmniejszą, zresztą. najgłówniejsza ksiądz.

— Mnie się zdaje, przerwał Walek. że wedle prawa, gdy oboje młodych ludzi staje przed duchownym i objawia mu. że chcą być połączeni. żaden ksiądz nie może odmówić błogosławieństwa.

Baron zaczął się śmiać. — A! kochany panie Lubiński, to pan jeszcze na tym stopniu naiwności jesteś w praktyce życia! Cha! cha!

Może tak kiedy było, ale dziś panie zależy wszystko od formalności, od formulek, z których i jednej pominąć niepodobna. Ksiądz musi być grubo zapłacony

nim się odważy na rozminięcie z prawem. Masz pan takiego księdza?

Walek ramionami ruszył.

— No, to trzeba jechać. starać się i to w ten sposób, żeby nie wysledzono do czego pan zmierzasz. Najmniejsza nieostrożność zdradzić nas może. a najmniejsze podejrzenie uczyni wykradzenie niemożliwym.

— Ja dziś pojadę do miasteczka. odparł Luzziński— a pan baron?

— Ja wszelkiemi siłami, póki tylko przyzwolicie będzie można. starać się będę utrzymać na stanowisku. Przewiduję wszakże, iż mnie z Turowa grzecznie pozbyć się będą starali. Zawadzam im, bo ja... ja udaję, że nic nie rozumiem.

Wypędzony przybędę do miasteczka. bo widzę. poznawszy pana bliżej. dodał, że jesteś poetą. a zatem najniepraktyczniejszą w świecie istotą. trzeba będzie i za was i za siebie myśleć.

W miasteczku, gdzie się będziemy widywali?

— Najlepiej tam, gdzie pierwszym razem, szepnął Walek, w restauracji pod Różą.

— A no. dobrze, zawolał baron. Mielśmy dziś być razem u Mordka Szpetnego i Klaudyński z nami, ale zdaje się, że kontrakt z nim da się odłożyć na później. Pomówiemy o tem.

Nie było już co mówić dłużej, Helmold rękę wyciągnął.

— Zatem. rzekł, pakta między nami. wspólny interes, pomoc wspólna... mam nadzieję, że wszystko dobrze pójdzie.

Domawiał tych wyrazów, gdy dwie ręce sążniste spoczęły na ramionach obu młodzieńców, a głos Bogunia wesoły. krzyknął im nad uszami.

— Wszystko dobrze pójdzie. panowie moi, nie ma wątpliwości, ale chyba z czynną pomocą moją. Nie tajcie się. nie kryjcie, ja do sekretu jestem dobry, do figlów jedyny, wiem wszystko. Pozycja moja pod obozem nieprzyjacielskim czyni przymierze moje nieosza-

cowanem. Jestem niezależny, narazić się nikomu nie obawiam. Konie mam doskonałe, broń na wypadek wyborną. Słowem. powinniście mnie panowie szanować, bo węzeł strategiczny pozycyi w moich rękach.

— Cyt! cyt! rzekł baron, nie tu miejsce spisywać traktat, rozejdźmy się, oto już ktoś idzie.

W istocie szedł ktoś i bardzo zawadzający nawet w tej chwili. Bogunio poznał po nader wykwintnej rannej toalecie i szkiełku w oku. pana Rogera Skalskiego, który przybywał w odwiedzinę, bo któż do Bożej Wólki nie przyjeżdżał?!

Baron raczej przeczuł niżeli się domyślił. iż przyjazd ten nie był bez celu i szybko począł porównywać fizyognomią pejzażu z galicyjskimi prowincjami.

— Lasy i u nas miejscami są bardzo piękne, wschodnia Galicya szczególniejsz obfituje w puszcze. a Karpat naszych nie macie panowie. W Karpatach to polowanie!

Skalski się zbliżył. Bogunio otworzył ręce. Walek wysliznął się bokiem.

— A! a! Rogera! kochanego! zkadże! jak? co? którędy do Bożej Wólki przybywasz? o najrzadszy z gości!

Skalski się witał.

— A! i baron tu!

Uśmiechnęli się do siebie zębami.

— Jadę właśnie z ogledzin Paprotyna który mój ojciec kupuje, to jest prawie już kupił. Wracalem blisko. pomyslałem sobie. wstapię, co też nasz Bogunio porabia?

— Tyje! rzekł śmiejąc się gospodarz — zły znak — łysieć i tyć są to dwie ostateczności najboleśniejsze dla młodzieńca, który jeszcze nie zatrzasnął za sobą furtki małżeńskiej. A tu. patrz Rogerku! brzuch rośnie a włosy niechcą, łysina jak patyna. Więc papa kupił Paprotyn?

— Prawie skończono.

— Hm! pałac śliczny, ale gleba żytnia i owsiana, piachy.

— Co to gleba! przerwał Roger. przesąd! proszę zobaczyć w Niemczech jak rodzi na wydmach! A od czegoż g u a n o peruwiańskie, gospodarstwo poprawne?

Bogunio ruszył ramionami.

— Ja się zresztą nie bardzo na tem i znam, rzekł. główna rzecz, czy jesteś u a c z c z o? i czy ci czem służyć mogę.

— Czem łaska? rzekł Roger i zwrócił się do barona.

— Prawda. że nasze strony się wam podobać muszą? Sąsiedztwo miłe, ludzi pełno. towarzystwo najlepsze.

Baron potakująco się skłonił.

— Nie dziwuję się. żeś pan tu, panie baronie. aż z Galicyi zawędrował, to kąt jakiego trudno gdzieindziej znaleźć.

Mówił, baron był milczący. Guiewało go to szpiegowanie, czuł nieprzyjaciela w Skalskim, ale potrzeba było udawać zupełną obojętność — tembardziej, że Skalski mu się ze swemi projektami wypaplał. a on postanowił tać.

Nie uszło oka Rogera, że Luziński rozmawiał z gospodarzem i baronem poufale i że widząc go nadchodzącego. wysmiał się.

Pomiędzy Luzińskim a panem Rogerem. stosunek był więcej niż chłodny, skrycie nieprzyjazny. Oba udawali. że się nie widzą. nie znają. Walek niecierpiał aptekarczuka. Skalski ze wzdrgadą patrzył na podrutka — jak go nazywał.

— Ten Bogunio. szepnął, ma talent zawsze zbierać uajróżnorodniejsze towarzystwo. wszakże nawet zdaje mi się, że tu Luzińskiego widział?

— Przecie to mój szkolny towarzysz! rzekł gospodarz marszcząc się, a z kim ja żyć mogę, dalipam mój Rogerze. ten i dla ciebie dobry.

— No, nie gniewaj-że się — co znowu — śmiejąc

się, przymuszonym śmiechem zawołał Skalski, pozwolisz na to, że nie jestem obowiązany kochać wszystkich twoich szkolnych kolegów.

— Ale cóż ci winien Luzziński? zapytał Bogunio.

— Ja go prawie nie znam. pogardliwie odparł Skalski — to jest, znam. nie znam, ignoruję — ale to człowiek nie naszego towarzystwa?

Bogunio był czasem diable złośliwy.

— Proszę cię Skalski. coty nazywasz naszem towarzystwem? Ja jestem Turowski z Bożej Wólki, ty Skalski...

— Z Paprotyna, przerwał Roger.

— No — tymczasem z apteki — rzekł śmiało gospodarz, a on Luzziński z...

— Diabli wiedzą zkąd! przerwał Roger, boć przecie to jakiś podrzutek...

— Co tylko dowodzi może, iż go też rodzi hrabina, księżna lub co podobnego...

— Albo żebraczka.

— Diableś mi zarystokratyczniał sprzedawszy aptekę! rozśmiał się Turowski.

— Cóż ty mi apteką w oczy kolesz. ofuknął Skalski, jak gdyby to co ujmowało szlachectwu, że ojciec administrował.

— Ale nie ujmuję! nie! rzekł Bogunio. tylko znów nie widzę coby Luzzińskiemu szkodziło. że jego ojciec nie był nawet aptekarzem.

Skalski szarpnął rękawiczki z gniewu.

— Cher Boguslas, odezwał się—decidement, vous devenez mauvais genre.

— Roger, vous en êtes un autre! rozśmiał się, obracając w trywialny żart szorstką rozmowę gospodarz.

A że nie lubił kwaśnych min u gości, począł ścisnąć Skalskiego, śmiać się i potrafił go w końcu udobruchać.

Rzucił go potem na łup baronowi. pod pozorem pilnego zatrudnienia i wynknął się ku dworowi. około którego słyhać było wrzawę codzienną.

O jakie dziesięć kroków, za bzami ukryty, ogryzając sobie do krwi palce, czekał nań Luziński.

— Mój Boguniu, na miłość Boga, daj mi parę koni do miasteczka!

— A cóż ci tak pilno?

— Co ja tu będę robił?

— Z baronem...

— Mowiliśmy i dosyć — odparł Walek, ja muszę powracać — daj mi parę koni, zaklinam cię na wszystko.

— Dam ci cztery i każę zaprządz do koczka! uśmiechnął się Bogunio — trzeba, żebyś się wcześniej nauczył jeździć paradnie.

— Ale dajże mi pokój — ja żartów nie lubię — parę koni i bryczkę.

— A obiad?

— Za obiad dziękuję, pozwól mi jechać.

— Rozumiem, stan twego serca wymaga samotności. rozśmiał się Bogunio, nie będę cię wstrzymywał. Wiem prócz tego, że się ze Skalskim nie lubicie. Jedź kiedy chcesz.

To mówiąc, kiwnął na chłopaka przechodzącego.

— Stefek! w mig para koni dereszowatych do bryczki najtyczanki. natychmiast, w szleje zaprządz, sam powieziesz, a koni mi nie poochwacać!

Luziński ledwie miał czas pożegnawszy się wysunąć ku stajni, gdy znalazł już deresze przy najtyczance, siadł, a chłopak obejrzawszy się tylko, zaciął i ruszył.

Około południa stanął Walek przed groblą miasteczka, zsiadł, chłopakowi dał na piwo i pieszo, nie chcąc na siebie zwracać oczów, udał się do mieszkania w restauracyi pod Różą.

ROZDZIAŁ IX.

Pomimo tajemniczego wymknięcia się Luzzińskiego z miasteczka, niebytność nie przeszła niespostrzeżona. W małej nieścinie każda najmniejsza rzecz zwraca uwagę, każda plotka jest dobrą na głodne zęby.

Najprzód urażoną była i osobiście dotkniętą wysunięciem się tem niezrozumiałem pani Pauze. zwiększyło jej to nawet zwykłą fluksję i popsuło humor. Podejrzывała niewdzięcznika o jakieś pokątne miłości nieprzyzwoite. Było w charakterze tej nieszczęśliwej niewiasty, iż wszystkim ludzkim czynnościom, zwykle przypisywała za główny powód i dźwignię — miłość i intrygę. Nie bronił w jej oczach od tych podejrzeń, ani wiek, ani położenie, ani związki małżeńskie, ani, o zgrozo! charakter nawet kapłański. Byle w kim spostrzegła coś niewytłómaczonego, posądzała natychmiast o ukrytą miłość. Świat dla niej obracał się na tej jednej osi i gdyby, uchowaj Boże, pisała historią, niechybnie by ją całą spowiła w romanse bohaterów.

Walek więc był silnie przez nią podejrzany o jakiś stosunek, a że się tak długo absentował z pod Róży, niemogła mu tego przebaczyć. Przyjęła go nader zimno, dając uczuć całą wzgardę i niemal dozwalając wyrozumiewać, że mógłby sobie innego poszukać mieszkania.

Usposobienie to swej pryncypalki, zręcznie umiał zużytkować oberkelner pan Ignacy, dla którego przybysz był solą w oku i podszeptał gospodyni, że pokój

na górze może być potrzebnym. a Walek. gdyby był co dobrego. toby go jego opiekun za drzwi nie wypchnął.

Pani Pauze wszakże miała serce zbyt dobre, ażeby tak odrazu potępić się ważyła człowieka, skarcić go chciała, nie odepchnąć. wymódl poprawę i skrucę. Nie była zresztą dotykalnie pewną winy i jej doniosłości.

Cała służba restauracyi pod Różą, dała czuć przybyłemu, iż pani była zagniewana, obchodzono się z nim w sposób lekceważący. a gdy zażądał obiadu. oberkelner kazał mu posługiwać Hance i sam ani się ruszył.

Nikt do niego nie przemówił słowa. Kara ta za grzechy wszakże na zatwardziałym winowajcy nie uczyniła najmniejszego wrażenia, zamyślony. przejęty. zdawał się ani słyszeć. ani widzieć. ani rozumieć co się w koło niego działo.

— Jemu coś jest. szepnęła Hanka. która miała bystre oko. gdzieś mu się nie powiodło pewnie! Siedzi chmurny. dobrze mu tak! Bałamut jakiś, niech się nie włóczy za dziewczętami.

Pani Pauze chociaż udawała, że niewidziała nic. zdala wszakże przyglądała się nieszczęśliwemu, litościwe jej serce poruszyło się i kazała go prosić do swego pokoiku na kawę.

Hanka przysłała mu o amnestyi oznajmić. Walek wstał i obojętny poszedł.

— A pięknie się pan sprawuje, odezwiała się pani Pauze. gdzież to pan bywał?

— Ja? na wsi, rzekł Walek poprostu.

— Na wsi? u kogo?

— U mego kolegi w Bożej Wólce.

— Hm! hm! — potrząsając głową rzekła wdowa. a pieszko pan powrócić?

— Konie odprawilem od grobli, odezwał się Walek wzdychając. Cóż pani myślałaś?

— Cóż ja mam myśleć! co mnie do tego? — z pe-

wną urazą odezwała się pani Pauze. Życząc mu dobrze, naturalnie byłam niespokojna.

— Dziękuję bardzo pani.

— Bo tu się o pana też i dowiadywano, dodała wdowa.

— O mnie? kto?

— Pytał się o pana ten, nieznajomy jegomość, co aptekę słyszę knpił.

— Był tu?

— Przechodząc, pytał się Ignacego. a Ignacy mu powiedział, że niewiemy dokąd się pan udał.

— Dziękuję pani za wiadomość, pójdę mu podziękuję za troskliwość, odezwał się wstając Luzziński.

Wdowie wcale się ten pośpiech nie podobał, z jakim przypuszczony do jej mieszkania, młodzieniec któryby był powinien unieść ocenić tę łaskę, zaraz po kawie chciał to ustronie ciche opuścić. Westchnęła, Walek skłonił się, podziękował za kawę i znikł.

Uczeń, jakie po sobie zostawił, malować niebędziemy. Pani Pauze wyrzucała sobie gorzko dobroć swą i powolność, ale miała słabość dla tego sieroty.

Luzziński tymczasem pośpieszył do doktora Waltera, acz w istocie nie wiedział po co. Chciał się zerwać, był niespokojny, myślał, że mu stary dziwak pomoże radą. Nie zamierzał się przed nim spowiadać, ale w ogólnej rozmowie coś natrącić było można, mówiąc jakby o trzeciej osobie.

Nim jeszcze doszedł do dworku, na drodze już zetknął się z tym, kogo szukał.

— A! powróciłeś pan, zapytał niespokojnie wpatrując się w niego stary.

— Przed chwilą powiedziano mi, że pan byłeś łaskaw dowiadywać się o mnie, czy mogę mn czem służyć?

— O! nie! popytać go tylko chciałem o... Skalskich. ale to nie pilno. Był pan daleko?

Walek się zaczerwienił.

— Jeździłem do przyjaciela do Bożej Wólki.

Walter mierzył go oczyma, nic nie mówiąc. Tu

dodać należy, iż nieopatrzny Luziński, który był chwilowo pierścień dany mu przez hrabiankę Izę schował, zaraz po wyjeździe z Bożej Wólki, włożył go znowu na palec, a że niezawsze miał zwyczaj nosić rękawiczki, oko Waltera padło na jego rękę i dostrzegło przybysza. Stary miał tę niesłychaną pamięć ludzi, dla których w człowieku nic nie ma obojętnego, którzy go badają i pomną potem najmniejszy szczegół ubrania, mogący malować charakter. Na opalonej ręce Walka, pierścień w istocie wydawał się jak pożyczony.

Doktor wzrok w niego wlepił, zbladł, usta mu się ścięły, oko zaogniło i natychmiast znów przygasło.

— Czy wyszedłeś pan na przechadzkę? — zapytał go chłodno.

— Szedłem do pana.

— Chodźmy więc do mnie.

Szli obok siebie milczący. Doktor był głębiej zamysłony niż przed chwilą i dziwnie osmucony.

— Cóż? bawiliście się panowie na wsi? — zapytał.

— Trochę, ale mnie wrzawa nie jest miłą, wróciłem.

— W Bożej Wólce więc wrzawliwo?

— Znaną jest z tego.

— To podobno niedaleko od Turowa? — zapytał doktor wlepiając w niego oczy.

— Graniczy z Turowem...

— Tak! tak! przypominam sobie, mówił Walter, objeżdżałem tę okolicę, pod bokiem. Widział pan kogo z Turowa?

Walek nie chciał kłamać, a niemyślał się przyznać, potrząsł głową milczący.

— Dziwnych to ja się tu rzeczy nasłuchałem o tym Turowie i od Myliusza i od innych, mówił Walter, osobliwsza rodzina, nieszczęśliwa rodzina.

— O! to prawda! — szepnął Luziński.

— Są, są takie fatalizmy na domy i rody, ciągnął dalej doktor, z pokolenia w pokolenie przechodzi spadek nieszczęść, grzechów, błędów, aż naostatek kataklyzm przyjdzie i do reszty zdruzgotuje ruinę.

— Sądzę, że co do Turowskich odparł Luziński,

jeszcze się to może poprawić. Syn hrabiego wprowadzie nie daje nadziei odrodzenia, ale są dwie panny z pierwszego małżeństwa.

— Wiem, wiem całą tę historią, przerwał Walter. dwie już niemłode panny, które karmiono całe życie żółcią, octem, piołunem, męczono, znęcano się, aż oczywiście musiano z nich porobić najnieszczęśliwsze istoty, którym świat wydaje się piekłem, lub kałużą. Są, mówił dalej lekarz, koledzy moi doktorowie, którzy robią czasem doświadczenia ze zwierzętami. żywią je pół roku jakąś strawą niezdrową, aby się potem dowiedzieć po zabiciu, jakie zniszczenie ona wywarła na nieszczęśliwej istocie. Te panny zupełnie mi przypominają króliki, którym dodawano indygo, aby kości stały się niebieskie, co one poczną wytuczone nieważnością, zgorzkniałe niewolą, gdy śmierć te więzy potarga? — Walter uśmiechnął się gorzko. — No, dodał, niezazdroszczę szczęśliwym tym, którym biedne istoty dostaną się za życia towarzyski. Choćby wniosły miliony, choćby im chciały dać serca, mogą one je mieć jeszcze?

— Ale proszę pana, oburzył się Walek, przecie to niewiadomo jak indygo rozchodzi się w królikach i czy ucisk, niewola, niesprawiedliwość właśnie człowieka nie czynią lepszym, pobłażliwszym, skłonniejszym do miłości?

— Owszem, młodzieńcze mój, przerwał Walter, wiemy doskonale co robi farba i co może takie wychowanie. I ja boleję zawczasu nad losem małżonków dwóch hrabianek, a podwójnie, jeśli wybiorą sobie ludzi nie ze swojej sfery.

Rozmowa zaczynała być zajmującą i drażliwą razem, Lubiński zamilkł, doktor gorączkowo mówił dalej:

— Jest to prolog tragedyi, tak! szczęścia tam ani spokoju być nie może. Gdyby nawet panny inaczej zostały wychowane, jest jedno prawo, które mało cierpi wyjątków. Chcąc szczęścia, trzeba go szukać w swojej sferze, a nigdy po nie wyżej i niżej nie sięgać. Za-

słepia się człowiek chwilową namiętnością. pozorną sympatyą. ale życie jest nieubłagane, długie i wcale nie tak proste, jak się zdaje. Są w niem komplikacye. zadania, węzły, przy których różnica pojęć, obyczajów, nawyknień, wychodzi na jaw i wyzywa do walki. Gdy raz wypowiedziana wojna. życie zje walka i zetruje. Zuchwałym być trzeba nad miarę, aby się rzucać na wir, w którym stu przedtem utonęło pływaków.

Luziński nic do odpowiedzenia nie miał, lękał się nawet stawać w obronie położenia własnego, aby się niewydać z tajemnicą.

— To nieszczęście, poszepnął doktor smutnie że prawdy z doświadczenia zaczerpnięte, są straconemi niemal dla ludzi młodych i niedoświadczonych. Widzą oni niebezpieczeństwo i naigrawają się zeń. czasem ich ono pociąga nawet. Każdemu się zdaje, że to co jego poprzedników spotkało. jednego jego wybranego minąć musi. I tak giną muchy na świecach.

Była chwila milczenia. wchodzili właśnie do dworku doktora. Walter usiadł.

— Coś mi pan. rzekł. powróciłeś z tej wyprawy nieswój. zmęczony i smutny. W Bożej Wólce bywa gra. czybyś miał tę słabość?

— O nie! — zawołał Walek. nie grałem. nie grywam. powróciłem w tem samem usposobieniu, w jakim wyjechałem.

— Daruj mi, że pana pytam, dodał Walter. jestem sam. bez rodziny. potrzebuję się zawsze do kogoś przywiązać i komuś dokuczać. pod pozorem, że mu pomagam. To usposobienie smutne. którego pan doznajesz. znam jako lekarz. Właściwe ono młodości, gdy nadchodzi chwila ta. którą starzy Polacy nazywają Bożą Wolą. Pan alboś się zakochał. albo potrzebujesz się kochać i myślisz żenić!

— Ja! — zawołał Walek. ja!

— Ale nie zarzekaj się. uśmiechając dodał Walter. Sam może się nie znasz. W takim usposobieniu krytycznem, pierwsza kobieta, która się nastreczy, wzbu-

dza najgwałtowniejsze uczucie. To się pan żeń. ale nie po szalonemu.

Luziński chciał się śniać, niemógł. nsta mu się skrzywiły tylko.

— Wcale nie myślę ani się kochać. ani żenić. rzekł stanowczo.

— Dajesz mi słowo honoru? — z naciskiem spytał Walter.

Luziński zmieszał się bardzo i zamilkł.

— Będę więc natrętnym do końca. po chwili rzekł doktor, słuchaj pan. Jestem obcy, dla pana zupełnie obcy... w tych stronach także... mimo to, skutkiem pewnych stosunków, z których się panu wytłómaczyć nie mogę, znam strony tutejsze. ludzi, charaktery. położenia. doskonale. Muszę panu wyznać. że mnie szczęście wasze obchodzi dosyć i nie bez powodu. Powiem wam tylko to jedno, więcej nie mogę. że znałem waszego ojca.

Luziński zbladły zerwał się z krzesła, załamał rękę.

— Panie! — zawołał, powiesz mi o nim.

— Ani słowa, znałem go przypadkowo. krótko. nic nie wiem. ale to wytłómaczy dlaczego chcę i muszę z wami mówić otwarcie. Pan zawiązałeś intrygę ze zdesperowaną hrabianką Izą, dostałeś przyrzeczenie i pierścionek...

Luziński schował w tej chwili rękę. ale już było po czasie.

— Daj mi pan słowo honoru. że tak nie jest? — spytał doktor. a po chwili dodał: milczysz! bo jest tak jak mówię. Otóż mam sobie za obowiązek założyć cię. abys zerwał stosunki te, myśl szaloną porzucił i usłuchał mnie. Kładziesz sobie pęta na szyję, gubisz się, zgimiesz.

Luziński oburzony wreszcie, wybuchnął:

— Ale przypuszciasz, żeś pan odgadł mnie, czy wyspiegował, jakim prawem chcesz mojemu życiu narzynać swe doświadczenie?

— Prawa nie mam żadnego. spokoju nie rzekł Walter.

— Pan nieznasz osób, odgadujesz charaktery fałszywie, a nierozumiem nawet powodów, dla których chcesz obebrać biednemu człowiekowi następujące się środki do podźwignięcia.

— Bo to są środki złe, fałszywe, omyłne. odezwał się doktor. bo jeżeli masz talent. dźwignąć się powinienś o siłę własnej. a nie zaprzedać dla grosza.

Luziński gniewny ruszał ramionami pogardliwie.

— Proszę pana. zawołał, dajmy pokój tej rozmowie. niewchodzę w powody. Mówisz pan. że znałeś ojca mego. a dziecku chcesz zamknąć wrota do szczęścia.

Walter powstał i uderzył rękami. zalamując je z nadzwyczajną gwałtownością.

— Patrz, zawołał. na ten siwy włos, na spaloną twarz, zorane czoło. na wygasłe oczy, żyłem długo i mam prawo czytać życia drugim. Ty to nazywasz szczęściem. co jest przepaścią. Jakie szczęście? Ta kobieta nie kocha cię, ty jej nie kochasz, robicie kontrakt świętokradzki i chcecie w nim znaleźć szczęście? Czy pan wiesz co to jest ożenienie ubogiego człowieka z taką wielką panią, której dziesięć pokoleń antenatów siada na twojej piersi? Czy znasz upokorzenia jakie cię czekają, rolę którą bierzesz? śmiech i szyderstwo, z jakimi cię zaprzedańca wskazywać będą palcami? wiesz ty. że dziś użyty do wydobywania z nieszczęsnego położenia. jutro możesz być rzucony na śmiecie. jakeś zasłużył?

Luziński stał zburzony mocno, ale nieprzekonany wcale.

— Wszystko to deklamacye starego człowieka. któremu na świecie było uiedobrze. który się zawiódł na ludziach i drugim by smak życia pragnął odebrać. Daj mi pan pokój! Najprzód nieprzyznaję się do faktu, a gdyby w istocie coś podobnego się gotowało, wiem z kim i z czem będę mieć do czynienia.

— Właśnie, przerwał Walter. ludzisz się tem, iż ci

się zdaje, że wiesz to, o czem uie masz wyobrażenia, że masz być położenia panem, gdy będziesz jego sługą. Ale na zaślepienie ratunku nie ma. Są fatalizmy, niestety!

Westchnął doktor i zamyslił się. Luziński był niewzruszony.

— Dotknąłeś pan odezwał się po chwili. struny najboleśniej wibrującej w sercu mojem. wspomniałeś o ojcu, o rodzinie. powiedz mi pan co o nim?

— Niewiem wiele, znałem go. rzekł doktor. znałem bardzo uieszcześnie, z przeszłości mi się nie spowiadał, nieznam jej, a gdym go spotkał. był biedny i zmarł... zrozpaczony. Z pół słówek, które pochwycić od niego mogłem, wnoszę. że i w jego życiu stanowczą rolę grała kobieta. nie jego sfery. do której się przywiązał. z której przyczyny zginął... Ale jemu mogło to być wybaczonem. bo błędy i zaślepienia serca obudzą ją litość, a rachuby głowy i ambicyi rodzą wcale inne uczucie. Ty, panie Luziński, nie kochasz się, jesteś olśniony. sprzedajesz się dla fortuny. dla domuiemauego stanowiska w świecie. O fortunie nic uie wiem, musiano ją nadszczerbić, ale to rzecz najmniejsza. położenia zaś w świecie arystokratycznym nie zyskas. niemasz potemu ani powierzchowności. ani oglady. której się w twoim wieku już nie nabywa... Żona idzie za mężem. a biada mężom, których one wlec muszą za sobą pomiędzy ciasne szeregi uprzywilejowanych! Luziński mąż hrabianki Turowskiej. pozostanie nieszczukiem. na biletach pani większemi literami stać będzie née Comtesse Turowska, niż własne jej nazwisko, potracąc będą intruza i życie spędzisz żrac się gniewem i uieuawiścią.

— Widzę, że pan za nic rachujesz, że ja przecie nie jestem pierwszym lepszym z brzegu człowiekiem, że mam talent i że nim przy pomocy stanowiska, jakie ożenienie dać może. wyrobić, zdobyć sobie potrafię położenie całkiem, spodziewam się. właściwe i świetne.

Walter się rośmiał szydersko.

— Talent! zawołał, cóż! do poezyi? Któż to dziś

ceni? co to komu daje? Jeżeli się tego talentu zleką jak witryolu, którym polać im możesz ich suknie pożyczane i popalić, będą stronić, pochlebiać, nienawidzić mocniej jeszcze i szkodzić. Urok geninszu dla tłumu niezrozumiały. Obok najprawdźwiej, najświetniej obdarzonego człowieka, który talent wykołysał i wyolbrzymił pracą, stanie salonowy świszczypałka z ich żargonem, z dowcipkiem pożyczanym, ze śmiałością i zaciemni nawet geniusz. Literackimi gruntownymi zasługami dobija się wiesz czego? korony cierniowej i pomnika na grobowcu, ale nie stanowiska na świecie. Kto myśli o tem, by natchnieniem upiekl pieczeń, świętokradzłą jest, służyć trzeba idei, nie brzuchowi. Obok istotnych darów, fałszywe klejnoty ludzi zręcznych świecą jaśniej od prawdziwych dyamentów. Słuchają Tassów, których melodyjna poezya ucho im głaszcze, ale gdy w imię poezyi wieszcz wyciągnie dłoń do dłoni, serce chce przecisnąć do serca, zamkną go w szpitalu waryatów.

Luziński się uśmiechał fałszywie, ale zżółkł i gryzł się tem przeciwieństwem upartem. Głuchy był na argumentacye, chociaż go one męczyły.

— Szanowny panie, rzekł w końcu z uśmiechem kwaśnym, bardzo ocenić umiem jego łaskawą o mój los troskliwość, wszakże zostawcie to mnie. Będę wiedział co począć...

Zamilkli.

ROZDZIAŁ X.

Gdy wielki kataklyzma jaki przygotowuje się na ziemi, instynkt wszystkich stworzeń, których on życiu zagraża, czyni je niespokojnymi. Jeszcze niebo jest wypogodzone, wody wygładzone, powietrze łagodne, żadnej chmurki na horyzoncie, a już płastwo lata niespokojne, zwierzęta się chowają, stada dzikich stworzeń biegną same nie wiedząc dokąd, duch śmierci i zagłady niewidzialny, wionął po nad nimi. Coś podobnego na bardzo drobną skalę działo się w Turowie, gdzie wszystko szło najzwyczajniejszym trybem, nic nie zwiastowało gwałtownych przemian, a przecież hrabina, du Val, Manetka, don Luis, chodzili wszyscy jak powarzeni, coś przeczuwali, śnili o czemś, czegoś się lekali. Widmem, które ich z uspienia zbudziło, był niezaprzeczenie baron Hehnold, który choć doskonale grę swoją maskował, wszystkim był jednak podejrzany. Nie można mu było zarzucić, żeby się starał widocznie o którą z hrabianek, lub gwałtownie do nich cisnąć, owszem, zdawał się więcej zajmować żywą Manetką. Hrabina niezmiernie by temu była rada, gbyby na seryo nwierzyła — ale znów Luis, chociaż go to obchodzić nie było powinno, widocznie wpadał w zły humor, gdy Francuzka zbyt poufale, naiwnie niby, zbliżała się do barona Hehnolda. Du Val chodził zamysłony lub znużony. Pomimo, że Luis dość nawet jasno, i zrozumiale pozbyć się starał z domu barona, gość udawał, iż się tego nie domyśla. Na wsi odwiedziny dłuższe są we zwyczajach, urozmaicały je wycieczki do Bożej Wólki. Z całego dworu, młode hra-

biątko ułomne, jakoś najuiecierpliwiej znosiło pobyt barona. który najwięcej się o jego łaski starał. Widocznie hrabia Turowski miał improwizowanego przyjaciela w jakimś podejrzeniu.

Ale że nie było się czego uchwycić. a niewypadało robić historyi, zanoszono nieproszonego gościa, z dnia na dzień wyglądając jego odjazdu. Co najgorzej. że teraz. gdy raz był u panien baron. niepodobna było pokazać mu nienfności. zabronić do nich wstępu, a Iza najbezwstydniej w świecie. zapraszała na herbaty. podwieczorki. na muzykę. pod różnemi pozorami.

Kilka dni tak przeżył baron w położeniu nie do zazdrości. potrzeba bowiem wielkiego temperamentu i umiejętności. aby w domu niechętnym widocznie. narzucając się utrzymać i na wiele alluzyj oczy zamykać. zatykać uszy, a iść przebojem.

Baron był w potrzebie mistrzem i artystą salonowym. wprawnym w rozwiązywanie podobnych zadań. któreby nieco drażliwszego człowieka wygnały z placu dawno.

Lawirował tak. że gdy już. już miano go pożegnać w Turowie. wyskakiwał do Bogunia. a powróciwszy rwał rozmowę. ndawał. że nie słyszy. zagadywał Luisa i siedział. Były nawet chwile. że go tak śmieszył i bawił. iż hrabiątko zapominało się i wesołości topiło niepokój. ale wprędce bardzo ta załoga (jak ją zwano w pałacu) znowu ciężać zaczynała.

Jednego ranka. w ostatku. hrabina w coraz gorszym humorze i w większym niepokoju. nakazała sługaczemu. ażeby Luisa. jak tylko wstanie. jej przysłał. Stało się więc. że nim baron przyszedł do gospodarza. już ten. posłuszny rozkazowi. udał się do matki.

Hrabina chodziła gniewna po pokoju z założonemi w tył rękami. kawa jej stygła.

Du Val siedział nad swoją wyciągniętą w krzesło i ziewał. jakoś go to zbytecznie dotąd nie obchodziło. fertyczna Manetka ostrożnie jak myszka skakała z kątko do kątko. nie pokazując się zbytecznie. a nie-

chcąc przecie wyjść. bo się czegoś ciekawego spodziewała.

Luis wszedł. oczekiwano uan. hrabina po krótkim przywitaniu zapytała obcesowo:

— Kiedyż on jedzie? kiedy jedzie?

— Kto? spytał syn, muskając wąsika.

— No — baron. czego on tu siedzi? to nie jest bez znaczenia.

Luis ruszył ramionami.

— Albo ja wiem. jakie to może mieć znaczenie? Spojrzał na Manetkę. Ta się z nim uienstannie chichocze i to go trzyma.

Baronowa ruszyła ramionami i pogroziła synowi.

— Sto razy mówiłam ci. żebyś ty sobie z głowy wybił Manetkę.

— Ale ja niepotrzebuję wybijać jej z głowy. bo mi tam nigdy nie siedziała, rzekł Luis. Manetka spojrzała na niego i dała mu znak. że to na jego rachunek zapisze.

— Manetka służy za parawanik. przerwała hrabina — to jest chłopiec zręczny i wie dobrze co robi. on już ręczę ci zawiązał jakąś intrygę.

— Z kim? — zapytał Luis. siadając w fotelu.

— Z Izą. lub z Emmą. Iza widocznie mu się narzuca sama. z takim bezwstydem ohydny. nieprzyzwoitym, że ja na to patrzeć nie mogę, muie obrzydliwość porywa.

To mówiąc hrabina załamała ręce.

— Ale na miłość Boga. mógłbyś mu już dać do zrozumienia. żeby sobie jechał. po co tu siedzi? Otwarcie mu mów, że my nigdy na małżeństwo niewłaściwe. nie wygodne dla nas nie zezwolimy. On to przecie powinien zrozumieć, bo to się praktykowało wszędzie na świecie. gdzie szło o utrzymanie świetności rodziny. Poświęcano córki, oddawano je do klasztoru. aby linii męskiej dać potrzebny majątek. Nie mamy się wcale czego wstydzić, ani z tem kryć, idzie o ocalenie imienia hr. Thurowskich, a że dwie uparte. głupie stare pauny po dobrej woli nie chcą się poświęcić. no. znajdzie-

my sposób przecie przeszkodzenia wszystkim ich intrygom. W tem. co czynimy, nie ma nic nadzwyczajnego. c'est tout simple. cela s'est pratiqué partout et toujours.

Hrabina powtarzała to ciągle. chodząc po pokoju. podrażniona, usiłując swe tłumaczenie wpoić słuchaczom i pozyskać ich swojemu zapatrywaniu się na tę sprawę.

— Dopóki ja żyję, dodała, ręczę. że się do nich nikomu zbliżyć nie dopuszczę. użyję wszelkich środków. je suis dans mon droit, bronię praw syna.

— Ale któż mamie mówi. że baron ma najmniejszą myśl o pannach? przerwał Luis, — ja się założę. że nie. Nadto jest roztropny. żeby nie zmiarkował. iż tu przebojem nic nie wskóra, ale Manetkę by rad bałamucić i...

Manetka ukryta w części za firankami. a trochę za fotelem. wyrwała się ze swego kąta zaczerwieniona i gniewna. Stała przed Luisem. jakby wzywając go do walki.

— Kto to panu powiedział? coś pan sobie wymarzył? Możesz sobie panować nad siostrami. ale proszę mnie dać pokój. ja wiem co robię. Co się tyczy waszego barona. nie dbam o niego i nie myślę o nim. Gdy zechcę znaleźć co lepszego. ręczę.

Wstrzymała się nieco Francuzka, bo groźne wejście hrabiny ją hamowało, ale gniew buchał z jej oczu.

— Manetko! milczeć! zawołała. tupiąc nogą hrabina — słyszysz. milczeć — nie zapominaj się mówiąc do hrabiego, mojego syna, że jesteś tu na mojej i jego łasce i że jutro mogę cię wysłać do Paryża. gdzie będziesz w sklepie pracować. jak...

— No! to będę! to będę! krzyknęła rozgniewana Manetka i jak mi hrabina każesz jechać, pojedę i nie pożałuję tej pustyńi Turowa.

Ruszyła białemi ramionami. cała się trzęsąc.

— Manetko! co ci się stało? przerwała hrabina. oszalałaś!

— Tak, oszalałam, oszalałam.

Pobiegła do kątku, siadła na kanapie i zaczęła płakać.

Luis się zmięszał.

Hrabina pogroziła mu.

— Jeszcze mi tego brakło! szepnęła sama do siebie — ale prawdę rzekłszy winuam też temu.

Luis, proszę, byś się wcale nie miewał do kuzynki i raz na zawsze zostawił ją w pokoju.

Syn skłonił się posłusznie.

— Barona proszę dziś wyprawić! dodała matka.

— Bardzobym był wdzięczny mamie, lub du Valowi, żeby mi do tego dopomogli, odezwał się Luis, ja nie potrafię.

— Ale dziecko jesteś — krzyknęła hrabina, powiedz, że potrzebujesz wyjechać z domu za interesem, już ciż bez ciebie tu nie zostanie...

— Będę posłusznym, ale jeżeli zechce na mój powrót czekać w Bożej Wólce, poprzyjaźniwszy się z Boguniem, cóż ja na to powiedzieć mogę? Wiadomo mamie, że z tamtąd, czy do której z panien, czy do Manetki, jeżeli się zechce podkradać, nie łatwiejszego.

— Niech pan zapomnieć raczy o mnie, przerwała gniewnie Manetka, lub... lub...

— Lub co? spytał wzgardliwie Luis.

— Lub Manetka może tu coś powiedzieć, co dla hrabiego nie będzie wcale przyjemnem.

Hrabina odwróciła się ku niej, ale ta zakrywszy twarz, płakała znów.

Hrabiątko było tak zmięszane, iż oka matki to nie uszło.

Du Val przez cały ciąg rozmowy siedział milczący. W ogóle on wielomównością nie grzeszył i był raczej władzą wykonawczą, niż doradczą, w Turowie.

— Brunonie, kuzynie Brunonie, odezwała się, zwracając ku niemu hrabina, odezwij że się choć słowem, proszę cię.

Du Val puścił kłęb dymu. — Ale cóż ja tu u licha

powiem? rzekł powoli. Każecie mi barona wyforować no to pójdę i...

— Ale na miłość Boga! tylko znowu bez skandalu, rzucając się ku niemu. poczęła hrabina. Wiecie jak jesteśmy i tak niecierpianemi w sąsiedztwie, niechże nas nie biorą na języki.

— I dla tego, rzekł Luis, wołałem go zostawić ażby się znudził i sam wyjechał. a jestem pewny. iż się wybierze wkrótce. Ja okazuję mu twarz zimną, jest to człowiek dobrze wychowany, zrozumie.

— Manetka niech dziś nie wychodzi — dodała hrabina, obracając się do niej, powiemy. że chora, nie będzie miał pretekstu.

— A ja pójdę do niego na kawę. rzekł du Val i poufnie mu się zwierzę, że Luis ma pilny interes.

— Za pozwoleniem. nagle wtrącił Luis, boję się kuzyna du Vala—ja to sam ułatwię. Idę do niego.

— Czekaj. rzekła matka—kilka słów jeszcze.

Zwróciła się do Manetki. szepnęła jej coś na ucho, a dziewczę wyszło z pod chustki. rzucając groźne. mściwe wejrzenie na kuzyna Luisa.

— To są rzeczy podrzędne, odezwała się hrabina. zniżając głos—ale należy wcześniej naradzić się. obmyśleć plan postępowania. Luisie ani ty Brunonie nie chodźcie do tego biednego hrabiego, nie widzicie jego stanu. ale temu nieszczęśliwemu codzień jest gorzej. mówię wam. co chwila gorzej. Co pocniemy na wypadek katastrofy?

Jeżeli prawo nie daje nam absolutnej opieki nad pannami, Luisowi i mnie, one nieskończywszy żaloby. nam się wyrwą.

— Ale ojcu nie może być tak źle — zimno odezwał się Luis.

Du Val dodał cicho:

— Doktor mówi, że z tą chorobą można żyć niewiedzieć jak długo.

— Ale ja patrzę jak on z sił opada. jak w oczach gaśnie.

Wszyscy zamilkli, Luis dość obojętnie patrzył na posadzkę.

— Ten nasz interes z pannami był źle od razu poprowadzony. odezwała się hrabina — dziś go naprawić niepodobna. Ja byłabym w Rzymie otrzymała dyspensę dla Luisa. gdyby się chciał żenić z Emmą. wówczas wszystko by się dało ocalić.

Luis ramionami ruszył.

— Z siostrą! ze starszą ode mnie!

— Ale rzecz nie jest niepraktykowaną. w tak ważnych okolicznościach. gdzie idzie o utrzymanie znakomitej rodziny.

— Jużciż przynajmniej z dwiema nie mogłem się żenić. odparł Luis, a zawsze by jedna została.

— Łatwiej było podzielać na tę jedną, przez siostrę.

— Ale by to nigdy być nie mogło. przebaknął Luis. nigdy.

Hrabina ruszyła ramionami.

— Gdybyś ty był nieco starszy i więcej miał odwagi i determinacyi.

— Koniec końcem innej już rady szukać potrzeba — zawołał Luis — więc jaka?

— Ale ja właśnie pytam co począć?

— Ja nie wiem. szepnął du Val. ja prawdziwie nie wiem. Pilnować mogę, zastrzelić potrafię, gdyby kto się ważył coś przedsiębrać — ale radzić!

— Ani ja — rozśmiał się szydersko Luis.

Hrabina poczęła chodzić po pokoju.

— Wszystko zapóźno! odezwała się. dziś musimy wyteżoną i tak sytuację przedłużać, przeciągać i zostać na łasce losu.

Cóż ja słaba. jedna kobieta mogę. gdy nikt mi nie umie podać ręki.

Du Val siadł pogrążony w zadumie.

— Moja rada tylko jedna, zawsze jedna. prawników zręcznych dobrać i znaleźć jakiś powód do obciążenia pańien procesem. Proces jest zawsze możliwy. Dawno potrzeba było o tem pomyśleć.

Hrabina spojrzała nań i zdawało się, że myśli ta, już dla niej nie uwa. darmo rzuconą nie została, ale w tej chwili potrzebowała jeszcze. wybierającemu się wychodzić synowi, powiedzieć dwa słowa; wyprowadziła go z sobą do drugiego pokoju.

— Luis, rzekła po cichu, muszę cię jeszcze raz przestrzedz. prosić! dajże pokój Manetce! Byłabym ślepą, gdybym niewidziała, że za nią lataasz. Ona jest blizką. jest bardzo blizką krewną twoją.

Luis spojrzał na matkę.

— Kuzynką? spytał.

— No, tak—kuzynką — odparła hrabina, mimowoli zarumieniona. dosyć, że blizką i że nie zniosem...

— Ale proszę mamy, zimno odezwał się Luis, przecie mama wiedziała, że ja jestem młody. że ona ładna i że zbliżając nas...

— Niespodziewałam się byś był bezwstydnym i zepsutym—grożąc zawołała matka.

— Mais je suis de mon âge, rzekł spokojnie Luis, a zresztą, ona sama trochę winna.

— Zmusisz mnie, że ją odesłę.

— I—to już będzie zapóźno! odezwał się z najzimniejszą krwią młody hrabia — zrobi mi to przykrość, a nie zaradzi nic.

— Jakto! rzucając się gwałtownie ku niemu i łamiąc ręce z gniewem, wybuchnęła hrabina — jakto! śmiałeś, pod moim dachem?... A! ja nieszczęśliwa!

I padła na krzesło, zanosząc się od płaczu. Luis stał bardzo chłodny i gotów od razu burzę przetrzymać.

— Ale cóż się znów tak strasznego stało! rzekł, ruszając ramionami, nie mogę się przed mamą spowiadać ze wszystkiego, tylko ręczę, że ja niewiele temu winienem, a Manetka bardzo dobrze wiedziała co czyniła.

Matka siedziała wciąż, zakrywając sobie oczy, czego Luis nie mógł zrozumieć, jakiś gwałtowny smutek, rozpacz ją ogarnęły, a przecież ust otworzyć nie mogła, nie rzekła słowa, wskazała synowi drzwi. Luis powoli wyszedł.

ROZDZIAŁ XI.

Gdy baron Helmold, udając jak najlepszy humor, z zarcikiem na ustach i cygarem w ręku wszedł do pokoju hrabiego, zastał go przechadzającego się ze zmarszczonem czołem i nieusposobionego wcale do weselości. Milcząco podali sobie ręce.

— Mam wielką przykrość, odezwał się Luis—domowa głupia sprawa, przebacz mi, jestem nieswój.

Matka moja chora, ojcu gorzej, słowem, głowę tracę.

— Czybym ci, kochany hrabio, nie mógł być użytecznym? zapytał baron.

— Dziękuję! nie! to są sprawy, których ręka obcych dotknąć nie może, de la nature la plus intime.

Baron doskonale zrozumiał, że to znaczyło, iż mu się na ten raz nieodwołałnie wybierać ztąd wypadało.

— Jakże mi przykro, odezwał się, iż właśnie w takiej chwili będę zmuszony Turów opuścić. Hrabianki prosiły mnie na ranne śniadanie, pójdę je pożegnać, a potem natychmiast wyjeżdżam.

— Do Warszawy? spytał roztargniony Luis.

— Zapewne, nieco później, ale jeszcze jakiś czas dla interesów familijnych w tej okolicy zabawię.

Gospodarz nic nie odpowiedział, chociaż hrabinę odszedł był zagniewaną, czuł potrzebę poradzenia się i doniesienia jej o śniadaniu.

— Pileś już kawę?—spytał Helmolda.

— Dziękuję, jestem po kawie.

— Zatrzymaj się tu chwileczkę, ja wnet powracam,

matka mi kazala przynieść książkę. zaniosę jej. powiem dwa słowa i jestem nazad.

To mówiąc. rzucił się ku drzwiom i znikł. Hel-mold popatrzał za nim z uśmiechem. widział, że z n'im grano komedję. ale potrzeba było w swej roli zostać do końca.

Luis wbiegłszy na górę. usłyszał w przedpokoju rozlegający się głos hrabiny i szlochanie Manetki. domyslił się łatwo sceny. Wejść. czy nie. wahał się chwilę. ale czasu nie było do stracenia, otworzył drzwi.

Mania we łzach cała. klęczała na posadzce, hrabina stojąc nad nią, rozwścieczona jak furja. straszna. zdawała się grozić jej ściśniętymi pięściami. Na widok syna krzyknęła:—Precz i wskazała mu drzwi. ale Luis nie usłuchał rozkazu i wszedł błady. ale na pozór nieporuszony.

— Precz! mówiłam ci. powtórzyła matka.

— W tej chwili rozkazu spełnić nie mogę. rzekł chłodno Luis. Mama się niepotrzebnie unosi, na cały dom slychać krzyk. a ja mam oprócz tego pilną sprawę.

Mania klęcząc na ziemi. płakała.

— Powtarzam jeszcze, idź i nie śmiej mi się mieszać do tego co ja robię.

— Ja się nie mieszam wcale. odparł Luis. ale tylko nawiasowo przychodzę powiedzieć. że bądź co bądź. choć pogniwaliśmy się z sobą. ja Mani nic zrobić nie dam. Wie mama. że ja co postanowię. to dotrzymam. Mania nie jest nic winna. prócz. że mi w ostatnich dniach nadto kokietowała barona. ale baron wyjeżdża po śniadaniu u panien. Otóż co mamy zrobić z tem śniadaniem?

Hrabina zgrzytnęła tylko zębami. rzuciła na syna okiem nie matki. ale rozgniewanej kobiety i wskazała znowu drzwi:

— Precz.

— Pozwoli mama, że ja znów widząc ją tak rozgniewaną. Mani tu nie porzucę. Chodź Manetko. chodź!

Ale dziewczę płaczące. obie ręce wyciągnęło odpychając go.

Było długie milczenie. Luis popatrzał. dał chwilę do namysłu i nie biorąc do serca tragicznych objawów. odezwał się flegmatycznie:

— Zatem śniadaniem u panien już ja rozporządzę. Niech mama ochłonie, ja doprawdy całej tej historii nie mogę zrozumieć. Widziałem mamę daleko więcej pobłażającą w innych wypadkach tego rodzaju.

Jeszcze chciał mówić, gdy hrabina odwróciła się do niego i drżącymi rękami popchnęła go za próg. zatraskując drzwi za nim.

Luis miał tę zimną krew zepsutej młodzieży. która nie burzy się łatwo. przecież potrzebował zejść bardzo wolno na dół, aby mimowolnego wzruszenia na twarzy jego nie wyczytał baron.

Helmold zaś ani próbował pod tą maską dobać tajemnicy przeczuwanej. odgadując tylko. że zapewne o niego chodziło.

W bocznem skrzydle, w mieszkaniu hrabianek. przysposabiano śniadanie. posłano przez grzeczność. a raczej na psikusa prosić hrabinę. która się wymówiła bólem głowy i Manetkę. zmuszoną pozostać niby dla pielęgnowania tej migreny.

Wykomenderowany tylko został dla zdania raportu i na obserwację pan Bruno du Val. a naturalnie towarzyszyć miał baronowi. syn domu.

Hrabianki tylko przez sługi coś dowiedziały się głucho o jakichś scenach raunych w pałacu. ale zrozumieć nie mogły co się tam stało.

Baron zmuszony do opuszczenia Turowa dosyć był smutny; z czasu. który tu przepędził. niewiele potrafił skorzystać. Zbliżył się nieco do Emmy i tyle tylko mógł z półsłówek wymiarkować. że opuścić ojca nigdyby się nie odważyła, choćby nawet serce ją ciągnęło... Toż samo powtórzył mu Mamert, który pod pozorem rachunków zbliżył się do hrabianek i nadzwyczaj zrećtnie dał im do zrozumienia. mimo nadzoru. niby nic nie mówiąc. iż baron zakochany i że obie razem

decydować by się powinny. nakłaniając Izę do złamania oporu siostry. ale ani Iza. ani niewola. ani półsłówka Mamerta nie zdołały poruszyć młodszej. by opuściła ojca. Oświadczyła w niewielu słowach. z głębokiem jednak przekonaniem. że jakiegokolwiek losy ją czekają. biednego starca nie rzuci. Z całej tej rodziny ona jedna w tem przywiązaniu do dzieciinniałego rodzica czerpała siłę. rezygnacją i szlachetniejsze uczucie. które pragnienie zemsty przemagało.

Budziło to poszanowanie nawet w takich ludziach jak Mamert. co sami kochać nie umieli i rachubie poświęcić przywykli wszystko. Emma w oczach siostry urosła na heroinę. ale ten heroizm stawał na przeszkodzie ziszczeniu najgorętszych jej pragnień.

W późniejszych rozmowach Emma oświadczyła stanowczo. że przyjęłaby barona bez wstępu. choć się jej niezbyt podobał. ale nie weźmie nikogo. dopóki obowiązek przykuwa ją do łóża chorego ojca. Iza doszła do tego. że żartując spytała ją:

— No. a gdyby cię siłą porwano? cóżbyś była winna?

— Nie dałabym się porwać siłą. odpowiedziała. bo serce by mi pękło na myśl tego losu. jakiby tu ojca spotkał.

— A! mój Boże! — zawołała Iza na to, ty ich znasz. jutro by ci ojca sprzedali. nawet nie drogo. mogłabyś go sobie wykupić!

Emma lży miała w oczach. ale odpowiedziała tylko:

— Daj mi pokój. rób co chcesz. ja zostanę. ale pocóż byś ty dla mnie miała się poświęcać. idź. ja się nie lękam. niech co ma być. wykona się. Nie bój się o mnie.

Rozmowa dwóch siostr i nader ostrożne traktowania Mamerta nie doprowadziły do niczego. Iza wszakże nie zrozpaczyła wcale o przyszłości. Postanowiła przez Myliusza starać się. aby ojca przewieziono do miasteczka. a ztamtąd Emma by go łatwo już z sobą zabrać mogła.

Wszystko to dosyć było trudne do wykonania i obiecywało się ciągnąć długo.

Na ostatniej nocnej schadzce z panem Klandzynskim, baron Helmold dowiedział się jak rzeczy stały, zafrasował nieco, ale jeszcze nie wyrzekł się planów. Musimy wszakże wyznać, iż te trudności gromadzące się dokoła, zachwiały nim nieco. Nawykł był do intryg, do pokątnych robótek, ale do takiej historii osłoniętej tajemnicą, niebezpiecznej, splątanej, pełnej zakłóceń możliwych, mogącej się nieudać, nie miał już zbyt wielkiej ochoty. W dodatku panna Emma choć mu się bardzo wydawała przyzwoitą, nie była tak urocza, aby uczucie w sercu wzbudziła, a zwłaszcza w sercu już dosyć wyrobionem i mnogich nowicyatów noszącem pamiętki.

Baron Helmold stał właśnie na tych krytycznych rozstajach wahania, gdy człowiek nie wie sam czy iść naprzód, czy się cofać. Droga z razu wydała mu się prostą i krótką, teraz do zbytku krętą i przedłużoną. Ale u celu stała cyfra wcale poważna jeszcze, mimo ustępstw uczynionych dla pośrednika, o których baron wcześniej z sumieniem się rozgadywał, czyby ich, jako wielce niemoralnych i niegodziwych, nie można było się pozbyć.

W takich usposobieniach zastała towarzystwo Turowskie godzina rannego śniadania.

W tym samym świecie, gdy się kilka osób zebrać miało tak znękanych, zmęczonych, rozdrażnionych, pod tytułem ciężarów trosk, z takim na umysłach brzemieniem, nie umiałoby pewnie ani ukryć w sobie cierpienia, ani przybrać wesołości wymuszonej. Ale od czegoż wychowanie, ton dobry i umiejętność życia? Ludzie przyzwyczajeni nigdy nie powinni okazać po sobie co czują, ani pozwolić drugim zajrzeć do swej duszy. Z wyjątkiem pana du Val, który nie był całkiem salonowym, wszyscy zresztą stawili się z uśmiechami na godzinę naznaczoną.

Hrabianka Iza najszczególniejszą odznaczała się wesołością, prawie zbyt uczynną i dającą do myślenia du

Valowi nawet. Emma mimo zwykłej swej melancholii, nie dawała poznać po sobie, że cierpi. Luis sarkastycznym się stał i cierpki. Baron udawał obojętnego turystę. Śniadanie podane było na przepysznych srebrach i wielce wspaniale. Iza ilekroć mogła upokorzyć tem pałac i Luisa, nigdy nieomieszkała. Du Val patrzył na te serwisy, jakby w myśli rachował, ileby za nie mógł wziąć, gdyby mu się do rąk dostały.

— Szkoda nam, że baron odjeżdża. śmiało i na złość bratu odezwiała się Iza, ale po cóż się tak spieszyć? chyba że u nas bardzo nudno.

— O! pani! niezasłużyłem na tak straszliwe posądzenie, odparł baron, *mais, entendons nous*. ja wprawdzie wyjeżdżam, ale nie odjeżdżam. Język polski ma des nuances adorables (umyślnie to znać dodał po francuzku, aby lepiej dowieść). Wyjeżdżam z Turowa, dodał, ale nie odjeżdżam z tych stron. Najprzód będę u rodziny dla interesów. potem chcę się jeszcze pokreślić po okolicy.

— Słyszysz Luis! dodała Iza złośliwie nieco, ale na pozór bardzo naturalnie. Baron nam obiecuje powrócić.

— Jestem z tego niezmiernie szczęśliwy. rzekł, uśmiechając się hrabia.

Du Val szepnął po cichu:

— Niechby go diabli wzięli.

W tej chwili baron spojrzał na Emmę. spotkał jej wzrok i otrzymał jakby cień nadziei. Emma nie chciała zrywać zupełnie.

— Więc pan teraz jedzie do rodziny. spytała Iza.

— Tak pani, ale wprzód pożegnaj pana Bogusława w Bożej Wólce.

Du Val i Luis spojrzeli na siebie.

— Kiedy tak, odparł młody hrabia. to pan baron jeszcze nie możesz powiedzieć, ani kiedy. ani dokąd pojedziesz. Wólka znana jest z tego, że niełatwo gości puszcza i często zmienia ich plany podróży.

Baron nic nie odpowiedział.

— A rodzina pańska daleko ztąd? — zapytała Iza.

— Jak na tutejsze drogi i środki przenoszenia się z miejsca na miejsce. odezwał się Helmold. to dosyć daleko, bo dziesięć tych mil. z których jedne przebywa się w godzinie, a inne czasem pół dnia jechać trzeba.

Rozmowa stała się ogólną i obojętną.

Iza łamała sobie tymczasem głowę. jakby brata i du Vala gdzieś odprowadzić. zagadać. wyciągnąć. a baronowi i Emmie choć chwilkę dać pomówić z sobą. Zadanie to wszakże było tak trudne, że nawet najzręczniejsza intrygantka nie byłaby go może potrafiła szczęśliwie rozwiązać, gdyby skład okoliczności nadzwyczajny nie dopomógł.

Po du Vala najprzód przysłała hrabina w jakimś pilnym bardzo interesie. a ledwie się to stało. Mamert Klaudyński wszedł szukać Luisa. dla nader ważnego także i niecierpiącego zwłoki interesu i wyprowadził go z sobą do przedpokoju. W mgnieniu oka Iza rzuciła okiem na barona. pobiegła do fortepianu i zaczęła coś z takim grą brio, że można było najbezpieczniej spiskować. nie lękając się podsłuchania. Baron nadto był zręczny. żeby z chwili. może przez Klaudyńskiego wcześniej mn zgotowanej, nie korzystać.

— Pani zawołał. zbliżając się do Emmy. niezwykajne położenie do niezwykajnych zmusza kroków. Przebacz mi moją śmiałość. Pani wiesz o moich zamiarach?

Emma nie zmięszała się wcale.

— Wiem. rzekła. pan też zapewne wiedzieć musisz, co mnie tu wiąże i zmusza odebrać mn wszelką nadzieję?

— Wszelką nadzieję! — zawołał baron. a! nie! mylisz się pani, nuiem szanować jej uczucia. ale też potrafię czekać na pomyślniejszą chwilę.

— Czekać? — odparła Emma. nie mów pan tego słowa. a wątpię. byś miał dla mnie to uczucie. które cierpieć i czekać dozwala.

— Owszem. zawołał baron. to uczucie mam dla niej i dowiodę tego. a może stałość moja obudzi w jej sercu...

Emma uśmiechnęła się, patrząc nań prawie z politowaniem.

— Panie baronie, my nie tym językiem mówić do siebie powinniśmy. nie łudźmy się. Bądźmy sobie do-brymi przyjaciółmi. ale czem innem. niestety. trudno! ja nie jestem szesnastoletnią dziewczką romansową, ani pan akademikiem...

Baron się nieco zmieształ.

— Ale pani...

— Ale panie baronie. to wcale nie przeszkadza pro-jektom dalszym, pan masz dla mnie trochę szacunku. ja dla was trochę wdzięczności. z tym zapasem można pójść razem w drogę życia! Ale nie teraz, nie. Wiesz co mnie wstrzymuje?..

Iza grała zapamiętałe.

— A jeżeli Bogu się podoba usunąć przeszkody. jeżeli okoliczności tak się ułożą, że będziemy mogli hrabiego wziąć do siebie, czy rachować na swe słowo dozwolisz mi pani?

Emma spojrzała nań smutnemi oczyma.

— Dotrzymam słowa. gdy go dam. rzekła — ale je-dno pytanie?

Zawahała się nieco.

— Jeżeli Bóg tak zrządzi by ojciec był z nami — będziesz mu synem. dziecięciem przywiązanem?

— Przysięgam, rzekł baron. na chwilę wzruszony.

— Wybaw mi ojca—jestem twoją! zawołała Emma, rumieniąc się i podając mu rękę. Baron właśnie schylił się ją całować, gdy straszliwy akord dał się słyszeć na fortepianie i ledwie miał czas odskoczyć ku Izie. gdy Luis wpadł do pokoju oczyma szukając winowaj-ców. Emma układała bukiet w wazonie. Iza podniesio-ne miała oczy na Helmolda. Podejrzzenie spadło na nią, ale ona na groźne wejście brata, odpowiedziała wyzywającym uśmiechem szyderskim.

Baron miał już kapelusze w ręku, pożegnał się i odjechał.

Ledwie się za nim drzwi zamknęły, gdy Iza rzu-ciła się na szyję siostrze.

— Emuniu moja! będziemy wolne! zawołała, będziemy wolne?

Ale do tej swobody droga jeszcze była daleka, a cel sam, może za jasno malował się w oczach olśnionych.

Emma smutnie tylko odpowiedziała:

— Ty będziesz wolną — ja! — nie.

ROZDZIAŁ XII.

W sprzedanej aptece, pomimo, że zamysłano mocno o wyniesieniu się na wieś, jak tylko ostateczna umowa o nabycie Paprotyna zostanie zawartą — leniwo szło jednak opuszczenie starego domu, do którego jak do żółwiowej skorupy przyrosło życie tych nawet istot, coby się były z nienawistnej oficyny wyrwać pragnęły.

Teraz gdy już przychodziło sprzedaną kamienicę porzucić, niewczesne rodziły się żale, nie mówiąc już o starym Skalskim, który chodząc wdychał tylko, nie śmiejąc przed dziećmi wynurzyć się ze swą boleścią, ani o pani Skalskiej, która po kątach płakała kryjąc się przed córką — nawet panna Idalia i Roger kwaśno się pakowali i powoli. Nowy też nabywca nie naglił tak bardzo.

Pannie Idalii szło w ogóle wcale nie po myśli i odbijało się to w jej humorze. Całe ranki, z cygareta

w ustach. leżała zadumana na szesłagu w swoim pokoju, stękała. a biedna matka była przez nią umęczona.

I tego dnia właśnie. choć już bardzo starannie na rano ubrana, panna Idalia wyciągnięta patrzyła w sufit zamysłona, gdy weszła pocziwa matka z czerwonymi oczyma.

— Co ci to jest. moja duszko? spytała — leżysz ciągle. możeby się poradzić Myliusu?

— A! niechże mi mama z tym głupim starym da pokój! odpowiedziała córka. puszczając kłęb dymu. Co on mi poradzić może? Ja nie jestem chora na chorobę. ale na duszę chora. Bo czy może być na świecie położenie nudniejsze nad moje. Schnę tak w tej dziurze opuszczona.

— Ale moje dziecko...

— Mama tylko płakać i stękać umie. a poradzić mi i dopomódz. nie ma wyobrażenia. Inne matki — niech to mamy nie gniewa, przecie myślą o córkach. ja sama sobie radzić muszę i nie mam żadnej pomocy od mamy.

— W czym że ja ci odmawiam pomocy?

— Mama mi nie odmawia. bo ja o nią nawet nie proszę. wiem. żeby to było darmo. Mama nie ma pojęcia nawet. Inne matki przecie myślą o córkach. choć ich mają po kilka. ja jestem jedna a opuszczona. Nie, nie. w niczem od was nie mam poparcia, nie jestem zrozumianą.

Matka która zwykła była płakać w takich razach. poczęła lzy ocierać. w istocie nie pojmowała zupełnie czego od niej żądano.

— Czego chcesz moje dziecko — mów?

— Już jak tylko ja mamie mówić o tem muszę, to źle.

— Ja jestem najnieszczęśliwszą w świecie istotą.

Zamilkła na chwilę.

— Przecież mama to zrozumieć powinna, że ja muszę wyjść za mąż i mam prawo zrobić świetną partję. Mama z tem swoim nabożeństwem. myśli. że na moją intencję pomodlić się. to dosyć. Ale mnie Święty

Antoni za mąż nie wyda. jeśli się mama starać nie będzie.

— Za kogo?

— Za kogo? to dobre pytanie. odparła Idalia. nie idzie za kogo. byle dobrze i tak jak mi się należy.

— Ale zkadże ja ci wezmę? szlochając mówiła matka.

— Nie! to nie do zniesienia! przerwała córka. przecież to rzecz mamy szukać. a moja przyjąć lub nie. Naturalnie, że w ten sposób. ja się zmarnować muszę. Już mi życie obrzydło.

Matka na seryo po cichu płakać zaczęła.

— Mnie nie idzie o kochanka. zawołała Idalia, ale o męża! o takiego męża. któryby mi przyszłość zapewnił.

Widzi mama przecie. że nie jestem żadną marzycielką. że nie wymagam rzeczy nadzwyczajnych, chcę człowieka bogatego, choćby nawet nie młodego, to mi wszystko jedno. a tego muszę mieć. Ten głupi baron galicyjski. jestem pewna, że goły jak turecki święty, pojechał do Turowa. gardzę nim, jest nikczemny. Jeśli przyjedzie tu. okażę mu całą wzdargę moją.

Czyż mama jeszcze nie rozumie do czego ja zmierzam?

— Do czego zmierzasz? spytała z za łez pani Skalska.

— Mama by się powinna domysleć, każda inna matka pojęłaby to łatwo. Ale ja, sama nawet takie projekta robić muszę.

— Jakież? jakie?

— Czyż mama nie widzi. że ten stary doktor Walter. milioner. jest dla mnie najwłaściwszą partją?

— Stary. co kupił aptekę? ależ wy właśnie w aptece nie chcieliście siedzieć.

— O! ja bym też starego okulbaczywszy, nie siedziała z nim pewnie w aptece.

— Ale ten człowiek mógłby być ojcem twoim.

Idalia ruszyła ramionami.

— To co? odparła. właśnie taki najlepszy. bo musi słuchać młodej żony i fantazyom jej dogadzać. Kochanie to głupstwo, to bałamuctwo. zostawić je trzeba czternastoletnim pensyonarkom. rozsądna kobieta. nie powinna się wiązać sercem.

— Moja Idziu! eh też ty dziś wygadujesz?

— Ja? to co myślę. niech mama wierzy i Waltera choć dziki. choć nieprzyjemny. choć się broni. złapię. muszę złapać. Ale niechże by mi mama i ojciec cokolwiek przynajmniej pomogli. Ja sama muszę o wszystkim myśleć.

Matka ciągle szlochała. poczęła jakoś desperacko patrzeć w okno, nie wiedząc już co mówić i co myśleć, Idalia była niewyczerpaną i paplała ciągle.

— Luni rodzice. mówiła. zaraz by dla córki na tę myśl wpadli sami. a u nas, to ja muszę wyprzedzać mamę. ojca i rozpoczynać o własnych siłach.

— Komuż by na myśl przyszło co podobnego, odezwała się matka. wdychając, człowiek nieznany nikomu. niewiedzieć kto. zkąd. jakiego charakteru, przeszłości, fortuny jego nikt nie wie. złamany, zgrzybiały. mogłazem ja nawet przypuścić. aby mu dać córkę.

— Ale bogaty! bogaty! bogaty! zawołała panna Idalia — jestem przekonana. że bogaty i że z nim zrobiłabym co chciała. Musi być jak każdy stary, bez nadziei życia nowego. spragniony młodości. nie mogę mu się nie podobać. Gdybym raz go wzięła. o! ręczę! takbym pokierowała jakbym chciała sama.

— Ale jemu to nie w głowie. widzisz. że ucieka od nas. że go zaprosić niepodobna!

— To co? spytała Idalia ruszając ramionami. właśnie cała sztuka żeby go ściągnąć, przełamać ten opór. zwyciężyć. Niech tylko rodzice postarają się żeby tu bywał. przecież jest tysiące pretekstów. a ja resztę na siebie biorę.

Matka oburzyła się niemal. mimo zwykłej łagodności.

— Niech mnie Bóg broni, bym do tego rękę przyło-

żyć miała. odezwała się smutnie. to małżeństwo byłoby świętokradzkim.

— O! o! przerwała Idalia — pełno takich małżeństw na świecie. Stary, dwa czy trzy razy starszy ode mnie. no to co? więc naturalnie prędzej umrze, a ja wówczas pójdę sobie za mąż jak zechcę. Któż tak nie rachuje? to chleb powszedni.

Na te słowa wszedł Roger, który był w nocy powrócił, z miną dumną i kwaśną jak zawsze. podał rękę Idalii. a matce głowę kiwnął.

— Weź-że choć ty moją stronę — poczęła siostra. bo to nieszczęście z takimi rodzicami. którzy dzieci zrozumieć nie mogą.

Roger ramionami ruszył.

— Mama niechce przypuścić, żebym ja mogła pójść za doktora Waltera. a ja sobie postanowiłam go mieć.

— Przyznam ci się. że postanowienie i śmiało mi się wydaje i trochę dziwne. Ale on by być mógł ojcem twoim.

— Znowu i ty toż samo pleciesz! zawołała Idalia. rzucając z niecierpliwości cygarete, to właśnie jest co mi się w nim podoba! Ja go poprowadzę. Jest niezawodnie bardzo bogaty.

— Wiesz-że żkąd ta fortuna? spytała matka po cichu.

— A mnie co do tego! śmiejąc się mówiła Idalia— on mógł zrobić majątek jak najpaskudniej. a ja go jak najuczciwiej zabiorę po nim. Człowieka się nie boję. bo się nie dam. Fortuna to potęga. to wszystko. ja muszę być bogatą.

Roger śmiał się.

— Dziś jesteś bardzo jakoś podrażniona. rzekł. takie rzeczy robią się. ale się nie mówią.

— Dla czego? odpowiedziała Idalia—ja sobie z tego śmiesznego wstydu nic nie robię! Czy ja powiem. czy nie. dla czego za niego idę. przecież i on i wszyscy to rozumieją. że nie dla jego siwych włosów i zmarszczek, tylko dla pieniędzy. A ty byś się nie ożenił

ze starą hrabianką dla miliona! To są rzeczy powszednie.

Roger się uśmiechnął.

— Bo to są wszystko dzieciństwa. dodała Idalia, te udawania, te sentymenty, kiedy wszystkiem rządzi rachuba.

— Czemu ty. poczęła po chwili, nie zbliżysz się przynajmniej do Waltera. Rodzice mi pomagać nie chcą.

— A ja nie mogę! rzekł Roger.

— Czemu?

— O. bo tam już podobno wśróbował się podrzutek ten, Luziński. W wielkich słyszę łaskach teraz u Waltera.

— To go wykurzyć! przerwała Idalia, o! gdybym ja była mężczyzną, inaczej bym sobie rady dawać umiała, wy wszyscy jesteście wymokłe śledzie. Żadnej energii, żadnej śmiałości, fe! fe!

— Luziński ma rozum. on wie, że tam coś zyskać może. opanuje go i mnie będzie szkodzić.

— Ich trzeba poróżnić. trzeba go ztamtąd wypędzić. ale na miły Bóg, dajcie mi tu doktora Waltera na godzinę, a ja sama to wszystko zrobię, przecież pójść do niego nie mogę.

— Ale kochana Idziu, rzekł Roger, chociaż w zasadzie możesz mieć bardzo słuszość. zdaje mi się, że się łudziś co do Waltera. Ce n'est pas un homme du monde, vous n'aurez pas de prises sur lui. gbur, zużyty, stary, fantastyk.

— Zostawcie to mnie! rozśmiała się Idalia. nie ma starego mężczyzny, który by się młodej a zręcznej oparł kobiecie. jeżeli mu ona potrafi dać do zrozumienia, iż go wyróżnia od innych. Ja jestem swego pewna on oszaleje, zapomni o wszystkim, tylko mi go dajcie! tylko mi go dajcie!

Matka płakała. Roger począł się śmiać, ale śmiać tak, że się położył na fotelu. Idalia wzięła drugą cygarete. Czy na odgłos śmiechu, czy z innego jakiego powodu, wszedł właśnie ojciec, niesmiało, po cichu,

rozglądając się. bo dzieci zawsze w nim strach obudzały. wiedział. że nigdy bezkarnie się z nimi zetknąć nie może. Patrzył na Rogera i Idalię niemal przestraszony. nie pojmował czego się tak śmiać mogli. gdy matka płakała; chociaż zresztą rzecz była nie bez przykładną.

Skalski niechętnie rozpoczynał rozmowę sam na sam z dziećmi. wiedząc na pewno. że mu głowę zmyją. Wszedł. popatrzał zdumiony i milczał.

— Roger bardzo wesoły! rzekł cicho i skromnie.

— Ale bo ojciec nie wie o co chodzi! Idzia mamie burę daje. zachciało się jej szybki z okna. starego Waltera.

— Na co? starego Waltera? spytał ojciec.

— Chce za niego gwałtem iść za męża.

Ojciec stanął jak osłupiały. sądził. że to żarty. ale Idalia w tej chwili poczęła:

— Cóż ojciec robi takie wielkie oczy? Czy to tak dziwne, czy co? No. tak jest, doskonała partya!

— Prawda, apteka! westchnął Skalski. bo mu zawsze żal było tych mózdzierzy, w których ucierały się groszaki.

— O! ho! właśnie bym ja mu dała siedzieć w aptece! zawołała Idalia. Ojciec tak niedomyślny jak drudz, a ja seryo chcę mieć Waltera.

Skalski ruszył ramionami.

— Należy go tylko ojcu właśnie do apteki ściągnąć. zmusić do bywania jak najczęściej. a już resztę biorę na siebie.

— Taki starzec, toż on starszy ode mnie. rzekł Skalski.

— Dosyć. że ja skazaną jestem na to. żebym się każdemu tłumaczyła — poczęła Idalia. a kiedy ja chcę z zasady mieć starego męża!

— To go sobie weź. a mnie daj pokój. rzekł Skalski, wzdychając — ja ani pomagać, ani przeszkadzać nie będę.

Matka i on spojrzeli na siebie.

— Otóż to są rodzice! mówiła Idzia obracając się

do Rogera — słyszysz. gdy idzie o szczęście dziecka. Przecież ja mówię, że to będzie moje szczęście stanowić.

Stary aptekarz nadto był przybity i smutny by się wdawać w dłuższą rozmowę, siadł przy żonie i począł wycierać okulary. wzdychając.

— To dobre jest, zawołał po chwili. bo właśnie dziś Walter ma być u mnie, aby podpisać transakcyą.

— I ojciec go nie prosi do salonu? zapytała córka.

— Ja go poprosić mogę, ale on nie przyjdzie.

— No! to ja go sama poproszę! zawołała córka.

Roger śmiał się ciągle.

Rozmowa się na tem przerwała, ale Walter wieczorem w istocie przyszedł do gabinetu Skalskiego, a Idalia, która go szpiegowała, w kilka minut zbiegła prosić na herbatę do matki.

Doktór popatrzał na wystrojoną ładną pannę i skłonił się milczący.

— Bardzo paniom dziękuję, mam zajęcie.

— O! cóż znowu. żeby pan nam nie zrobił tej przyjemności i nie zaszedł na chwilkę. ale bardzo proszę!

To mówiąc. zbliżyła się śmiało. podała mu rękę i opierającego się nieco pociągnęła na górę z miną tryumfującą. Matka zobaczywszy ją wchodzącą do salonu, zbladła i zaczerwieniła się. Walter był widocznie zakłopotany, nie rad ze siebie i wydawał się szorstki jak nigdy. ale Idalia już była postanowiła nie zważać na nic. Siadła przy nim i zaczęła rozmowę od tego, jak się on nudzić musi.

— Ja się nigdy w życiu nie nudzę, odparł Walter, bo pracuję.

— To się pan męczy.

— Mnie tylko ludzie męczą.

— Jakto i kobiety?

— Szczególniej kobiety, odparł doktor. bom odwykły od ich towarzystwa.

— Więc trzeba nawyknąć.

— A na co mi się to zdało? — spytał Walter.

— Juściż pan wróciwszy do kraju. nie pozostaniesz tak pewnie sam i zechcesz stworzyć sobie rodzinę?

Doktór popatrzał na nią oczyma wielkimi.

— Rodzinę, pani moja, tworzy w życiu człowieka nie jego wola, lecz Boża, gdy się ona rozerwie. gdy węzły co ją łączyły pękają, zostaje ból na wieki. Na żalobie tej nic już zasiać nie można!

— Więc pan miał rodzinę, wdzięcząc się i głęboko patrząc mu w oczy, mówiła Idalia.

— Miałem. wymarła! — rzekł sucho doktor.

Dziewczyna zamilkła, bawiąc się wachlarzem, ale doktor nie mógł oczów podnieść, by się z jej wejściem nie spotkać. Widocznie go to niepokoiło.

— Czego ona może chcieć ode mnie? — pytał się w duchu samego siebie.

— Z tym człowiekiem trzeba obcesowo. szeptała sobie Idalia.

— Co pan lubi? — zapytała go chwili.

— Ja samotność i pracę!

— Muzykę?

— Bardzo. rzekł doktor, ale muzykę prawdziwą.

— A jakąż pan nazywa prawdziwą?

Walter uśmiechnął się.

— Tę, która ducha podnosi, uspokaja, karmi. która wyraża jego bóle i koi, w której idzie o myśl, nie o sztuczne spowicie jej i uduszenie.

Idalia nie wiele rozumiała.

— To znaczy, że pan lubi tylko muzykę poważną. religijną.

— Muzykę, odparł Walter, bo co innego muzyka a granie, tak jak co innego obrazki jarmarczne, a sztuka.

Idalii chciało się ziewać, na gruncie po którym stąpała. czuła się niepewną i obcą. Ale to nudziarz. mówiła do siebie.

— A czytać pan lubi?

— Lubię, odparł Walter spokojnie, ale to tylko co uczy myśleć.

Idalia już nie pytała.

— I pan tak chce sam zostać zawsze, odezwiała się po długim przestanku.

— Jak to pani rozumie? — zimno odparł Walter. mam już wielu znajomych.

— Ale cóż to są znajomi? pau... pan się nie myśli ożenić?

Walter się rozśmiał. Idalia zaczerwieniła.

— Chybabym oszalał. rzekł głośno.

— Dla czegoż? pan tak starym nie jesteś.

— Pani znajdujesz?

— Pan jesteś zajmującym. bardzo zajmującym i mo-
żesz się podobać.

Walter zwykle surowy, począł się śmiać ironi-
cznie, gorzko.

— Żartujesz sobie pani ze mnie.

— Słowo pauu daję, że mówię seryo. zupełnie seryo.

Na chwilę doktor zamilkł. popatrzył, ramionami
ruszył.

— Jak się pani zdaje, spytał, ile ja mogę mieć lat?

— No. w najgorszym razie pięćdziesiąt kilka. choć-
by sześćdziesiąt.

— A wie pani jaki zwykle bywa średni wiek czło-
wieczy?

— Nie. nie wiem. to pewna. że ludzie żonaci dłu-
żej żyją niż bezzemni.

— W jakiejże to pani czytała statystyce?

— Nie pamiętam.

— Ale dla czegoż tak pani idzie o mnie? — szyder-
sko dodał Walter.

— Ja się panu z moich dziecinnych i naiwnych do
zbytku pytań wytłomaczę... Ile razy widzę człowieka
możnego. bez rodziny. żal mi tych co by z nim jego
szczęście podzielać mogli i jego samego, to położenie
nienaturalne...

Walter zamilkł.

— Pani moja. rzekł poważnie. nie trzeba nigdy
z ludźmi nieznajomymi dotykać kwestyj podobnych.
Któż wie jakie się w nich bóle i wspomnienia porusza?

— A! do licha! — rzekła panna sama do siebie. a w głos dodała: — przepraszam, bardzo przepraszam. za to siądę do fortepianu i zagram pann Mendelsohn'a. który przecież liczy się czasem do poważnych muzyków.

Walter całą tą rozmową zdawał się raczej zdziwiony niż poruszony, gdy Idalia usiadła grać, skorzystał z tego, aby się jej pilnie przypatrzeć, ale w oku starca nie błysł ani promyk tego zajęcia, które w nim obudzić chciano.

Mama już uprzedzona o swych obowiązkach, poczęła szeptać doktorowi o przymiotach córki, pocziwa kobieta wymogła nawet na sobie pochwałę szczególną, iż córka jej miała osobliwe zamiłowanie w ludziach poważnych i nawet oddawna uczyniła postanowienie nie wychodzić nigdy za mąż za młodego człowieka.

— Dziwne to bardzo, pani dobrodziejko, rzekł doktor chłodno, ale tylko dowodzi nieznanomości świata i ludzi.

Gdy Idalia wstała po oklaski, Walter powiedział jej coś pochlebnego, uniesienia wszakże w tem nie było. Panna, która się spodziewała, że nrokiem, swym za serce pochwyci Waltera, smutno przekonała się, iż to nie było tak łatwem do dokonania jak się jej w początkach zdawało. Nie zrazila się tem przecie. Wśród herbaty wszedł zasepiony doktor Mylins. Od rozstania z Walkiem Łuzińskim, o którym nigdy nawet nie mówił, uważano, iż znacznie posmutniał i był jakby zwichnięty. Nawet dawna jego prawdomówność nastąpiła jakimś zubożeniem. Ramionami ruszał, ale się nie odzywał.

— Darnjcie państwo. że tak nieproszony po starej znajomości wchodzę, odezwał się w progu, ale szukam pana Waltera, który szukał mnie. Przecieżem go przydybał.

Walter zarówno zdawał się uradowany przybyciem Mylinsa, jak on znalezieniem go, chwycił zaraz kapelusz i mimo, że panna Idalia chciała mu go z rąk odebrać, grzecznie się wymówił i wyszedł.

Gdy odeszli dobrze od apteki. Walter się zatrzymał.

— Znasz doktorze oddawna Skalskich?

— Jakże być może inaczej.

— Cóż powiesz o pannie Idalii?

— O pannie Idalii! — powtórzył doktor, trudno co powiedzieć, prócz. że poszłaby za mąż za starego diabła. gdyby miał jaki milion w pazurach.

— A! a! — rzekł Walter.

— I to dodam. że się was uczepi. dopowiedział Mylius. bo czuje pieniądze, zresztą ni to złe ni dobre, dosyć popsute, zwichnięte. może by się dało przerobić na co pocziwego. ale ciężko.

— To epizod. przerwał Walter i rzecz małej wagi, mam z wami mówić o ważniejszym czemś.

Westchnął.

— Niepodobna by was los waszego dawnego wychowanka nie obchodził! Przyznaję się, że mnie on interesuje.

— Niegdyś, smutnie odezwał się Mylius, było to jakby moje rodzone dziecko, kochałem go bardzo. może nadto kochałem i dlatego dziś stał mi się więcej niż obojętnym. nie ma go dla mnie.

— Sądziłem, że to usposobienie wasze przejdzie, a chłopaka szkoda by było, gdyby zginął.

— Należy wcześniej go opłakać, rzekł Mylius. bo nieochybna zguba go czeka.

— Dla czego nieochybna? — trochę żywo przerwał Walter, macie żal, to was czyni stronnym w sądzie i przewidywaniu. Dopóki można. trzeba go ratować.

— Tak. dopóki było można, rzekł Mylius, moja to wina może, ale dziś jest bodaj zapóźno. Pieszczotami mojemi wyrosło w nim złe. zagłuszyło dobre i dziś to już moralna ruina.

— Ale jeżeli się poczuwasz, żeś go popsuł. nie jest-że obowiązkiem poprawić?

— Jak? — zapytał Mylius, dziś on mnie i całemu światu pluje w oczy. któż nad nim przewagę jaką mieć może? kogo on poszanuje? — Tak. dodał po krótkim

milczeniu, jest-to może i moją winą i winą ogólnego wychowania młodzieży. która żadnej dziś powagi nie uznaje. Doświadczenie dawniej szanowane, dziś łączy się w ich pojęciach z jakimś upadkiem i wyzyciem człowieka. starszych uważają za niższych od siebie, za zacofanych, za biednych i na litość zasługujących tylko. Śmieją się z przestroóg, lekceważą nauki, które im dajemy. nie mamy już w imię czego odzyskać utraconej władzy. Smutny stan rzeczy, ale prawdziwy. Walek jest takim, jak jego rówieśnicy. Ani pan, ani ja, ani nikt go już nie przekona, bo mu się zdaje, że on jasniej widzi nad wszystkich. Zarozumiałość jest cechą wieku, jest młodzieży dzisiejszej piętnem. Ledwie się mówić nauczą, już szydzą.

Walter spojrzał na Myliusą, który to mówił chłodno, tęskno, ale z rezygnacją nie przypuszczającą, by można co radzić na chorobę. Widocznie zdawała mu się nieuleczoną.

— No — ale cóżecie o tym głupim Walku mówić mi chcieli? zapytał po chwili.

— Jest rzecz według mnie największej wagi, dowiedziałem się jej wypadkiem, szczegółów nie znam, faktu jednak pewien jestem. Jedna z hrabianek Turowskich zawiązała z nim stosunki, wedle wszelkiego podobieństwa zanosi się tam na historią, która może się skończyć u ołtarza. Chłopcu hrabstwo i majątek zawróciły głowę, wiąże sobie kamień do szyi — i przepadnie.

Walter zamilkł, a Mylius milczał też długo, przyjął wiadomość niedowierzającą niby, podumał, potem rzekł:

— Ze wszystkich niedorzeczności jakie Łuziński zrobić może, byłaby to jedna jeszcze najbardziej przebaczona.

— Ale następstwa? ona jest starszą od niego o wiele, a potem wielka pani. Bierze go jako narzędzie do oswobodzenia, a rzuci, gdy jej będzie zawadą.

— Wszystko to być może, odparł Mylius zimno — mnie to, przyznaję się wam, nie obchodzi — niech ro-

bi co chce. Jakkolwiek wam się zdaje, że stanowczo wiecie, iż tam się coś podobnego święci, ja wam powiem, że bardzo wątpię.

— Dla czego?

— Bo mam dowody, że panny hrabianki wcale o tem na teraz nie myślą. Przynajmniej w tej chwili nic nie grozi. Świeżo prosiły mnie i zaklinały, abym użył wszelkich możliwych środków przekonania i skłonił hrabinę do przeniesienia starego, chorego ojca, do miasteczka. Jedna z nich z kolei chce być przy nim. Miarkujesz pan, że gdyby się zbierało na jakąś intrygę, ojciec by na pierwszym planie już nie był. Zostawiono by go w Turowie.

— Ale jakże wy znówu nie widzicie, że to potwierdza moje domysły? przerwał Walter. Chcą mieć ojca w miasteczku, aby był pretekst widywania się tutaj z tym obałamunconym chłopakiem.

— I hrabianki mój dobrodzieju, rzekł Mylius — są dobre panny, przecież hrabianki! Nie zapomną one co winny imieniu, żadna z nich Luzińską być nie zechce.

Walter trząsł głową.

— Mój doktorze, odezwał się — wszystko to słuszne w powszednim, zwyczajnym toku rzeczy, lecz tu są okoliczności przeważne, dla których się zapomina o hrabstwie — niewola i chęć odemszczenia za nią...

— To są domysły i marzenia — zawołał Mylius, ręczę wam, to być nie może. A choćby się której zamarzyło nawet, prędko jedna drugiej wybije z głowy. W ostatku, ożeni się, no! to się ożeni. Mogło by być gorzej.

— Ale nie może być gorzej! bo to widoczna zguba!

— Co on was obchodzi? — ja myśleć o nim nie chcę. Mówią, że nad pijanemi jest Opatrzność, ja wam powiem, że i nad waryatami jak on. — Zostawmy to Opatrzności. — Ja o nim wiedzieć nie chcę.

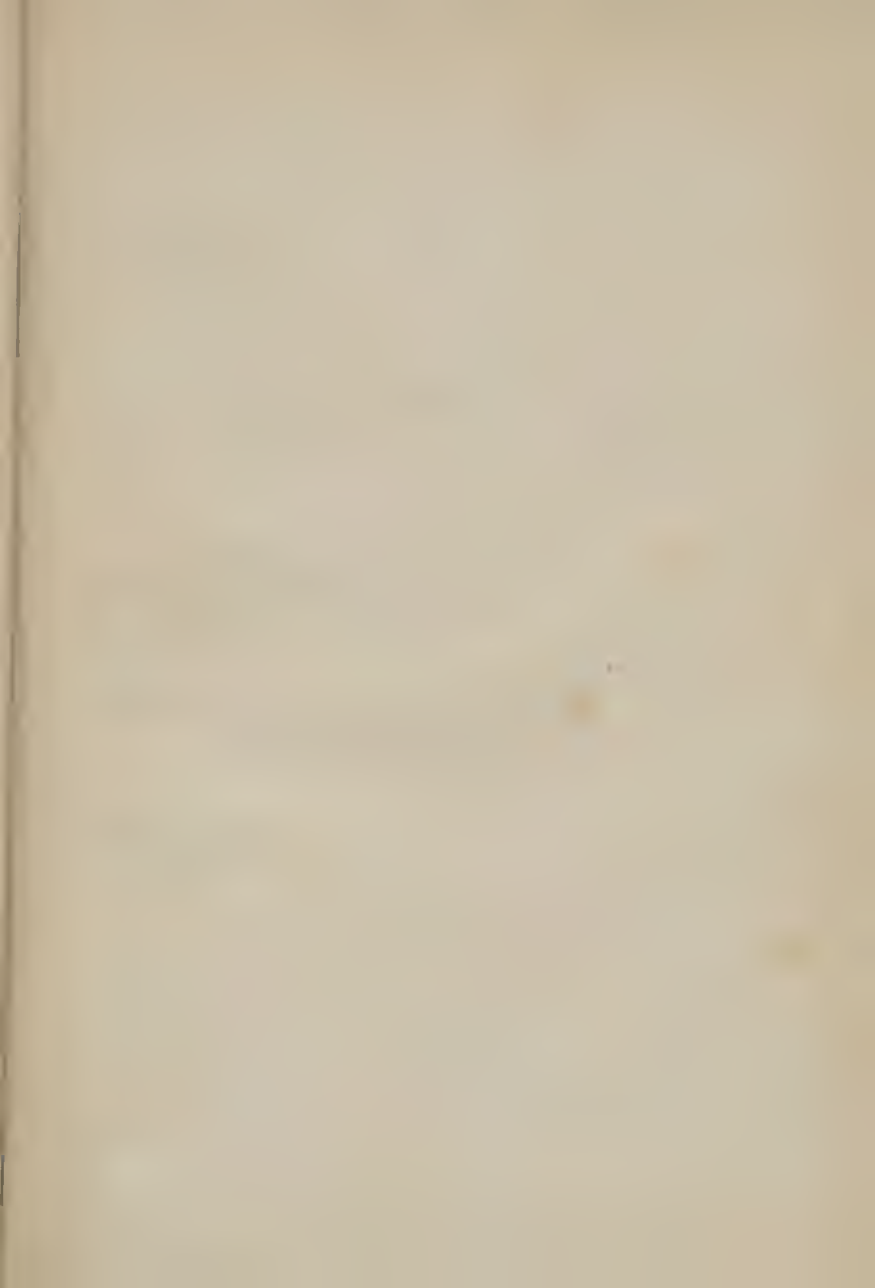
— Nielitościwy jesteś doktorze.

— Nie, jestem jeszcze zbyt świeżo ranny, wybuchnął Mylius, bym się do niezabliźnionej dał dotknąć rany. Dobranoc.

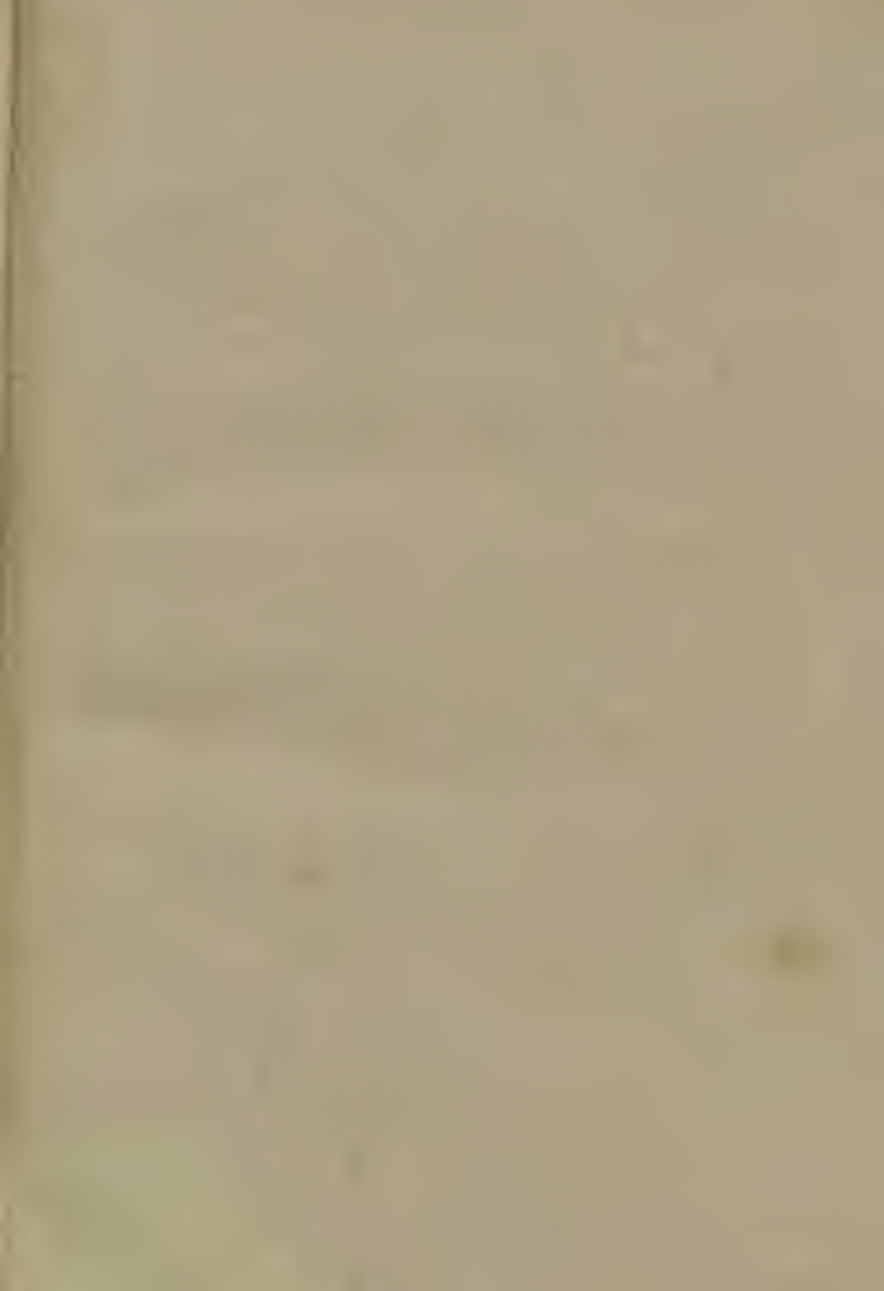
I tak się rozeszli, a Mylius, stary biedak, obejrzawszy się do koła, poszedł do domu przez rynek i postął chwilę patrząc w okna panny Apolonii.

KONIEC TOMU DRUGIEGO





61787214116



WYBORU POWIEŚCI J. I. KRASZEWSKIEGO

(WYJANIE TOME)

Wychodzi rocznie 20 tomów.

PRENUMERATA WYNOŚI.

| | | |
|--------------------------|-------------|---------------|
| Kwartalnie (za 5 tomów) | . . . | Rs. 1 kop. 50 |
| „ „ „ z przesyłką | „ 1 „ | 75 |
| Półrocznie (za 10 tomów) | . . . „ 3 „ | — |
| „ „ „ „ z przesyłką | „ 3 „ | 50 |
| Rocznie (za 20 tomów) | . . . „ 6 „ | — |
| „ „ „ „ z przesyłką | „ 7 „ | — |

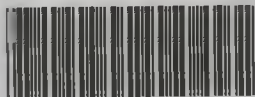


WYSZŁY Z DRUKU TOMY:

1. **Boża Opieka**, powieść.
2. } **W mętnej Wodzie**, powieść.
3. }
4. } **Dzieci Wieku**, powieść, Tom I i II.
5. }
- 6 } Zawierać będzie **Dzieci Wieku**, (T. III dokoń.)

Biblioteka Raczyńskich

JK 539



JK0539